ROZMOWA „DO RZECZY" Z SZEFEM MON

Polacy mogą spać spokojnie – zapewnia minister Mariusz Błaszczak

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 24/480 13–19 CZERWCA 2022 CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

Warzecha o tym, jak łatwo w Polsce o łatkę „ruskiego agenta"

PORADNIK ANTYINFLACYJNY: NAJLEPSZE LOKATY BANKOWE I OBLIGACJE SKARBOWE

Małpia ospa, czyli małpowanie COVID-19

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829 Nakład: 54 000 egzemplarzy

CO POLSKA OBIECAŁA BRUKSELI

Tajemnice „kamieni milowych" na drodze do Krajowego Planu Odbudowy – ostry tekst Rafała A. Ziemkiewicza

Polskie banknoty obiegowe

Zestaw srebrnych monet kolekcjonerskich NBP

Narodowy Bank Polski wprowadza do obiegu srebrne monety kolekcjonerskie o nominałach 10 zł, 20 zł, 50 zł, 100 zł, 200 zł oraz 500 zł, które tworzą wyjątkowy zestaw: „Polskie banknoty obiegowe". Na prostokątnych monetach zaprezentowane zostały stylizowane wizerunki banknotów będących obecnie w obiegu.

Zestaw do nabycia
od 21 czerwca 2022 r.
w Oddziałach Okręgowych NBP
oraz w sklepie internetowym:

KOLEKCJONER.NBP.PL

eprasa.pl f4e3c581c3

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Aborcja, tęcza i zemsta

Co w tej chwili najbardziej zadręcza Polaków? Na pewno galopujące ceny żywności, energii i inflacja oraz, co jest z nią ściśle związane, dramatyczny wzrost oprocentowania kredytów. Setki tysięcy ludzi z coraz większym trudem je spłacają.

Nie da się ukryć, że do tej pory polski rząd nie potrafił sobie z tymi wyzwaniami poradzić. Czy dlatego, że nie mógł, bo po prostu zderza się ze ścianą – tak chyba można określić wojnę na Ukrainie? Czy też nie potrafił? Tu dowodem nieudolności było przygotowanie i wprowadzenie w życie Polskiego Ładu, o którym to najwyraźniej władza chciałaby zapomnieć. Ile siły wyższej, a ile własnych błędów – o to można się spierać. Jednak żeby naprawdę ocenić to, co robi PiS (lub czego nie robi), trzeba porównać jego poczynania z innymi realnymi ofertami na rynku politycznym. Ilekroć to robię, zawsze ogarnia mnie ta sama dramatyczna bezradność. Być może rząd wykazuje się tromtadracją, bywa naiwny i daje się ogrywać „naszym europejskim partnerom", ale kiedy sobie wyobrażę, jak wyglądałaby Polska po ewentualnym zwycięstwie opozycji, czuję mrowienie. Nie przesadzam, po prostu czytam i słucham, co mają do zaproponowania panowie Tusk, Budka, Hołownia et consortes (swoją drogą ciekawe, że mimo całego poprawnościowego gadulstwa opozycji nie udało się wykreować do tej pory żadnej kobiety lidera politycznego).

Można było sądzić, że w takiej sytuacji jak teraz doczekam się wreszcie czegoś w rodzaju kontroferty. Po to przecież są partie opozycyjne, nieprawdaż? A tymczasem, jakby to ująć, szukam słów, smutek tropików. Co bowiem proponuje opozycja? Najpierw Donald Tusk. Nie tak dawno pisałem o jego szaleńczym projekcie 20-procentowej podwyżki dla całej sfery budżetowej. Tym razem Tusk miał inny pomysł. Na spotkaniu w Wałbrzychu mówił, że Platforma Obywatelska przedstawi projekt legalnej aborcji do 12. tygodnia życia. „To ma być decyzja kobiety w porozumieniu z lekarzem, a nie księdza, prokuratora i działacza PiS" – mówił Tusk. Co za idiotyzm. Jaki koszmarny populizm, w którym chodzi wyłącznie o wzbudzenie negatywnej emocji wobec księdza, prokuratora czy działacza PiS. Co to ma wspólnego z pytaniem o to, kiedy zaczyna się ludzkie życie i od kiedy należy je chronić? Czy Tusk chce nam powiedzieć, że człowiek zaczyna się od 12. tygodnia? A przedtem to, co jest w łonie matki, jest czym? Zbiorem komórek, wrzodem, guzem? W jaki zatem sposób z tego, co nie jest człowiekiem w 12. tygodniu (a dlaczego nie w 11. lub 13. albo dowolnym innym), powstaje chroniona prawem osoba? Nie rozwijam tego, Tusk po prostu chce w Polsce wprowadzić znaną z Zachodu odmianę aborcyjnego barbarzyństwa.

To jednak nie wszystko. Horyzonty intelektualne lidera PO są szersze. Poza swobodą zabijania nienarodzonych dzieci Tusk zamierza walczyć o szacunek dla osób o innej orientacji seksualnej czy transpłciowych. Dlatego ogłosił, że będzie za legalizacją związków partnerskich. „Musimy pokazać, że w kwestii godności człowieka nie może być kalkulacji politycznej. Debata o adopcji dzieci jest jeszcze przed nami". Rzeczywiście, on nie potrafi powiedzieć jednego zdania prawdy. „Nie będzie kalkulacji" i „Debata o adopcji dzieci jest jeszcze przed nami". Zapowiadana debata to właśnie „kalkulacja". Homoaktywiści już dawno to opisali: najpierw legalizacja związków, a potem „przed nami", przyznanie im prawa do adopcji dzieci. Ten właśnie przerażający i niegodziwy projekt to propozycja polityczna lidera opozycji. Zrównanie tego, co naturalne, z deprawacją i kapitulacją wobec LGBT – wspaniała idea.

A więc nowa polska opozycja ma być aborcjonistyczna i tęczowa. Jaka jeszcze? Oczywiście, bo to marzenie pojawia się raz po raz na ustach zagończyków, mściwa. Według Borysa Budki – to była odpowiedź na pytania o obecny kryzys – po prostu trzeba karać, karać i jeszcze raz karać. Kogo? Dziennikarzy mediów publicznych, prezesów i pracowników spółek Skarbu Państwa, prokuratorów itd., itp. „Ci ludzie muszą iść do więzienia, tutaj jest system zero-jedynkowy, jeżeli ludzie nie zobaczą, że w przyszłości, jeśli ktoś postąpi podobnie, to trafi za kratki, to znowu historia kiedyś zatoczy koło" – grzmiał z całych sił. Za wschodnią granicą szaleje wojna, a jeden z przywódców opozycji zapowiada wsadzanie do więzień polityków, menedżerów i dziennikarzy związanych z obecną władzą.

Właściwie na tym można zakończyć. Chociaż nie, jeszcze drobiazg, a mianowicie coraz bardziej natarczywe domaganie się od Komisji Europejskiej, żeby żadnych pieniędzy Polsce nie przyznawać. Naprawdę, szkoda słów, bo wszystkie, które cisną mi się na usta, nie mogą zostać wypowiedziane na głos. Wulgaryzmów unikam. ©℗

eprasa.pl f4e3c581c3

TEMAT TYGODNIA

14 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WYPRZEDAŻ NIEPODLEGŁOŚCI
Co oznacza dla nas KPO?

18 ŁUKASZ ZBORALSKI
AUTODESTRUKCJA

KRAJ

20 ROZMOWA Z MARIUSZEM BŁASZCZAKIEM
POLACY MOGĄ SPAĆ SPOKOJNIE
To jest wojna nas wszystkich

23 PIOTR SEMKA
KACZYŃSKI BUDZI PIS Z LETARGU

26 ZUZANNA DĄBROWSKA
OFERTA (NIE) DO ODRZUCENIA

28 JERZY KARWELIS
MAŁPOWANIE COVID

30 ROZMOWA Z PROF. WITOLDEM TYBOROWSKIM
PRZYZWOITOŚĆ ZWYCIĘŻY

32 TOMASZ ROWIŃSKI
DWA NARODY: KOŚCIELNY I LAICKI

34 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
POGROMCY SZARZYZNY

KULTURA

36 PIOTR GOCIEK
IMPERIUM KONTRATAKUJE
Nowy serwis streamingowy

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

45 PRAWNA OBRONA PRZED POLONOFOBIĄ
HOLOKAUST I WOLNOŚĆ SŁOWA PRZED EUROPEJSKIM TRYBUNAŁEM PRAW CZŁOWIEKA

OPINIE

62 JAN FIEDORCZUK
POLSKA SŁUGĄ UKRAINY?
Wspierać, ale nie własnym kosztem

64 ŁUKASZ WARZECHA
JAK ŁATWO ZOSTAĆ „RUSKIM AGENTEM"

66 ROMUALD SZEREMIETIEW
PRZEBRZMIAŁY SCHEMAT KONTRA BEZPIECZEŃSTWO POLSKI

70 PAWEŁ CHMIELEWSKI
POLITYKA ZAMIAST NAUCZANIA

HISTORIA

72 JACEK KOMUDA
ORKOWIE W EUROPIE
Na wschodzie bez zmian

ŚWIAT

78 MACIEJ PIECZYŃSKI
KREMLOWSKI JASTRZĄB
Następca Putina?

82 ROZMOWA Z PROF. MARKIEM JANEM CHODAKIEWICZEM
DZIAŁAĆ GŁOWĄ, A NIE SERCEM

EKONOMIA

86 JAKUB WOZINSKI
BEZ EURO LŻEJ
Unia walutowa nie opłaca się Polsce

88 JACEK PRZYBYLSKI
SIÓDEMKA Z PRZODU

FELIETONY:

SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (13), ZYCHOWICZ, KOPER (76), PRZYBYLSKI (81), GABRYEL, WARZECHA (84), KOMUDA (93), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (96), NOWAK (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl f4e3c581c3

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2022

JUBILEUSZOWA X EDYCJA WYJĄTKOWYCH NAGRÓD W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER GŁÓWNY

KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER

PKO Fundacja

eprasa.pl f4e3c581c3

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Kamila Frach, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczyk-Stefaniak, Magda Zubrycka-Wernerowska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Wojciech Olkuśnik/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 54 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Mój Lwów", Krzysztof Masłoń „DRz" 22/2022

Szanowny Panie Redaktorze,

dziękuję Panu za piękną opowieść o Lwowie. Przyznam, że jako człowiek stosunkowo młody (dwudziestokilkuletni) ani nie miałem jeszcze okazji we Lwowie być, ani zetknąć się z ludźmi darzącymi to miasto sentymentem. Owszem, z historii i książek czegoś o Lwowie się dowiedziałem, miasto to zaczęło w jakimś stopniu mnie interesować, ale żaden z tych opisów nie sprawił, abym szczerze zapragnął Lwów odwiedzić i poznawać.

Zmienił to Pański artykuł. Myślę, że ważny i potrzebny, zwłaszcza dla pokoleń, dla których „polski Lwów" to historyczna abstrakcja. „Do Lwowa się dojrzewa" – pisze redaktor Masłoń, a ja zastanawiam się, czy moje pokolenie także dojrzeje. Ilu z nas? Kto ma nas do takiego dojrzewania zachęcać? Szkoła? Nie liczyłbym…
Dlatego raz jeszcze dziękuję za tę podróż przez Lwów oraz historię i zachęcam Redakcję do częstszych tego typu wycieczek. Lwów jest tylko jeden, ale polskich już niepolskich miast jeszcze wiele.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Szanowna Redakcjo,

[…] „Kościół św. Marii Magdaleny, do celów sakralnych udostępniany dziś od wielkiego dzwonu" – pisze [Krzysztof] Masłoń. Tymczasem parafia św. Marii Magdaleny funkcjonuje dzisiaj normalnie. Co prawda, kościół nie jest jej własnością, jednak msze święte są tam odprawiane CODZIENNIE od poniedziałku do soboty o godz. 8. Natomiast w każdą niedzielę w kościele św. Marii Magdaleny sprawowane są trzy msze święte – o godz. 9 i 10.30 w języku polskim oraz o godz. 12.30 w języku ukraińskim.

Z poważaniem
Marcin Hałaś

eprasa.pl f4e3c581c3

NA PIERWSZY OGIEŃ

ZHP spycha Boga z piedestału

PIOTR SEMKA

Jak zarządził 42. Zjazd Związku Harcerstwa Polskiego – przystępujący do ZHP będą mieli możliwość wyboru między już istniejącą rotą przysięgi a dodatkowym jej wariantem niezawierającym słowa „Bóg". Jak deklarują władze Związku: „Zmiana to wyjście naprzeciw osobom, które poszukują swojej drogi i często nie są gotowe na określenie wyznania". Wersja przysięgi, która dotychczas obowiązywała, brzmiała: „Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym/posłuszną prawu harcerskiemu". Alternatywna wersja brzmi: „Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Polsce, stać na straży harcerskich zasad, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym/posłuszną prawu harcerskiego".

Wprowadzenie dwóch wersji przysięgi skrytykowali kapelani, którzy od lat służą opieką duszpasterską harcerzom z ZHP. Jak piszą: „Zmiany wprowadzające drugą alternatywną rotę czynią niespójnym cały proces wychowawczy w ZHP. [...] Usankcjonowanie zwolnienia się ze służby Bogu podważa tożsamość harcerza polskiego, narusza ponad 100-letnią tradycję skautingu stworzonego przez Baden-Powella i harcerstwa utworzonego przez Andrzeja Małkowskiego, które było jednoznacznie zorientowane na Boga i wartości chrześcijańskie".

Kapelani zwrócili uwagę, że dodatkowo skasowanie w stosunku do młodszych harcerzy formuły „Zuch kocha Boga i Polskę", stanowiącej pierwszy punkt prawa zucha, wyczerpuje w ich opinii znamiona nietolerancji, a nawet może być odbierane jako dyskryminacja. Jak wskazują: „Z biegiem czasu zaowocuje to ateizacją członków ZHP i konfliktami o podłożu nie tylko moralnym, ale w ogóle ideowym".

W całą sprawę natychmiast włączyli się publicyści liberalni, którzy wsparli decyzje ZHP i zaatakowali kapelanów. Ich argumentacja jest bardzo prosta. W ZHP bywają, a i wcześniej bywali, młodzi ludzie, którzy nie wierzą w Boga i zmuszając ich do przysięgi z odniesieniem do Istoty Najwyższej, gwałcono ich sumienia. Inny argument był taki, że dowolność przysięgi zadziała na korzyść ZHP, bo przyciągnie teraz coraz liczniejszych młodych dalekich od religii.

Wszystkie te zarzuty wskazują, że ich autorzy niewiele wiedzieli o praktyce działania harcerstwa w Polsce, począwszy od początku XX w. Nikt nigdy nie egzekwował zasady przyjmowania do ZHP wyłącznie osób wierzących. Nie zmieniało to jednak faktu, że wiarę do 1939 r. i po odrodzeniu harcerstwa po upadku PRL uważano za bardzo istotny element tożsamości harcerskiej. W wypadku harcerzy niewierzących stosowano praktykę stosowaną w armii amerykańskiej w stosunku do homoseksualistów – „Don't ask, don't tell", czyli „my nie pytamy, a ty się nie przechwalaj". Chodziło o to, że harcerstwo w swej istocie ma ważny element szacunku dla religii.

Teraz znów powstaje rozdwojenie. Czy można więc się dziwić, że kapelani biją na alarm? Zwyciężyła czysto laicka, wzorowana na wzorcach francuskich zasada doktrynalnej laicyzacji. Jak się okazuje, rację mieli ci harcerze, którzy zakładali czy to Związek Harcerzy Rzeczypospolitej, czy inne niezależne organizacje harcerskie, przewidując, że ZHP z łatwością znów wróci do dawnych schematów. No i właśnie wrócił. ©℗

FOT. MINISTERSTWO KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

USA: MUZEUM OFIAR KOMUNIZMU

Od 13 czerwca drzwi dla zwiedzających otworzy najnowsze muzeum w stolicy USA. Muzeum Ofiar Komunizmu w Waszyngtonie (Victims of Communism Museum) – którego oficjalne otwarcie odbyło się w ubiegłą środę – powstało z inicjatywy Fundacji Pamięci Ofiar Komunizmu. Jednym z jego zadań jest jak najszersze pokazanie polskiej opowieści dotyczącej komunizmu i jego ofiar: od walki z bolszewicką Rosją w 1920 r., przez działalność antykomunistycznego podziemia, aż do powstania NSZZ „Solidarność". ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl f4e3c581c3

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Qui prodest?

Największym wrogiem każdego polityka jest jego własny język – to wiadomo od dawna. Ale nawet największy wróg, żeby zadziałać skutecznie, potrzebuje jakiegoś pomocnika.

W wypadku Rafała Trzaskowskiego, nieco już podstarzałego wiecznego delfina Platformy Obywatelskiej, by zaszkodził sobie szeroko komentowanym wyznaniem, że za młodu był „dupiarzem", takich pomocników musiało być co najmniej dwóch. Jednego łatwo wskazać z imienia i nazwiska: to Jakub Wojewódzki, znany pod infantylnym zdrobnieniem Kuba. Można go lubić albo nie, ale ma jedną pożyteczną cechę: potrafi wprawić swych gości w taki amok, że chcąc być równie wyluzowani, równie „spoko", dżollero i „dżezi" jak sam Kubuś, albo i jeszcze bardziej, zupełnie zagłuszają w sobie głos rozsądku, który inaczej kazałby ugryźć się w język.

Ale choć to Wojewódzki wydobył z Trzaskowskiego „dupiarza", to nie on chyba sprawił, że dowiedziała się o tym cała Polska. Co istotne: dopiero trzy tygodnie po emisji audycji z przechwałkami. Przez trzy tygodnie nikt „dupiarza" nie wspominał, palnięcie Trzaskowskiego kompletnie, wydawało się, uszło uwadze publiczności. I nagle filmik z „dupiarzem" trafił na TikToka i zaczął być przedmiotem powszechnej „beki". I Trzaskowski stracił powagę: a dla polityka stać się śmiesznym to przecież gorzej niż cokolwiek innego.

Ta beka nie zaszkodziłaby Trzaskowskiemu, gdyby nie przeniknęła do medialnej bańki, w której zamknięty jest elektorat antypisu. W końcu kto w tym elektoracie pamięta dziś, jak u tego samego Wojewódzkiego wydawał z siebie obleśne rechoty redaktor Michnik, dywagując o „ruchaniu"? Ale, co za przypadek, nikt inny, tylko reporter TVN24, właśnie na antenie tej stacji, na transmitowanej „lajf" konferencji Donalda Tuska, zadał mu pierwsze pytanie… o „dupiarza" właśnie!

Tusk, kto ciekaw, odpowiedział, że Trzaskowski już za to przeprosił, i bardzo słusznie zrobił, ale przecież nie o to chodzi, co powiedział, tylko że do „bańki" dotarło, iż jedyny kontrkandydat Tuska to taki, hm, no, mało poważny jest…

Że zacytuję Gandalfa Szarego: „Przypadek, jak to mówią w Śródziemiu". ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Trzy wojny i Katyń

Podróże kształcą, nawet krótkie. W Parlamencie Europejskim wiele koleżanek i wielu kolegów poznałem dzięki wspólnym dojazdom na lotnisko. Pół godziny drogi wystarczyło często, żeby porozmawiać o wszystkim, a im większy dystans polityczny – tym rozmowa bywała ciekawsza. I tak właśnie usłyszałem poruszającą historię od koleżanki z fińskiej lewicy. Rozmawialiśmy o Rosji i ostrożnie wspomniałem: „Potrafiliście tak jak my obronić się przed nimi sto lat temu, tylko nam nie udało się już później, a wam – owszem". A na to moja koleżanka: „A ty wiesz, że mój ojciec był wtedy ważnym dowódcą? Mamy nawet w domu dyplom »dla towarzysza broni w trzech wojnach«, który ojcu na zakończenie służby (bo po wojnie wystąpił z wojska) przekazał marszałek Mannerheim".

„To twój ojciec – zapytałem zdziwiony – brał udział w wojnie o niepodległość?". „Nie – zaśmiała się – w wojnie lapońskiej. Wy nie wiecie, że po wojnie zimowej i kontynuacyjnej mieliśmy jeszcze trzecią, w 1944 i 1945 r., już po stronie aliantów". Po czym nagle się zamyśliła i dodała: „Zresztą mnie na świecie w ogóle mogło nie być. Ojciec w wojnie zimowej dostał się do niewoli i (tego też nie wiecie) Sowieci szykowali już naszym oficerom »fiński Katyń«. Na szczęście przyszło zawieszenie broni, ojciec wrócił do domu, a po wojnie ja się urodziłam".

Tak wygląda Europa. Próbują ją zamknąć w ideologicznych konstrukcjach, poprawnie zakneblować, a tymczasem żyją w niej narody, które wbrew wszystkim ideologiom zachowują pamięć o tym, jak stały się tym, czym są. Nie spodziewałem się od skandynawskiej koleżanki, popierającej wszystkie najpoprawniejsze rezolucje, usłyszeć i o Mannerheimie, i o wojnie z Sowietami, i o ocalonych z fińskiego Katynia, o którym świat powinien wiedzieć. Są dziwy na naszym kontynencie, o których się biurokratom z Brukseli nie śniło! Czasami tylko wystarczy wspólnie powspominać, byśmy na nowo byli tymi, kim jesteśmy. ©℗

eprasa.pl f4e3c581c3

Już za tydzień

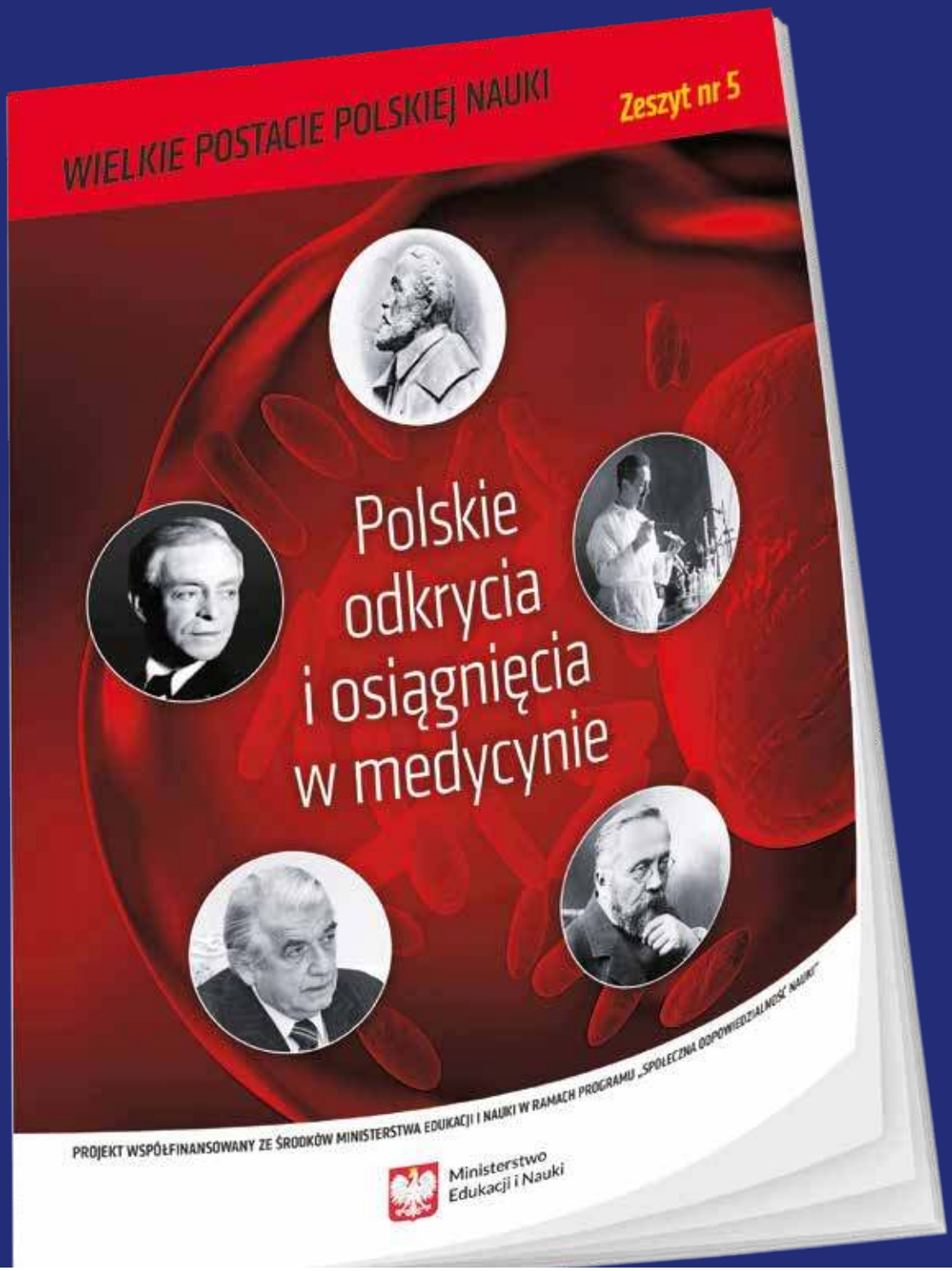

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI"

Ministerstwo Edukacji i Nauki

eprasa.pl f4e3c581c3

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O ciętej ripoście

W Italii trwa dyskusja nad sensem nadawania programów o wojnie na Ukrainie z udziałem kremlowskich propagandystów. Z jednej strony wymaga tego obowiązek przedstawiania racji obu stron. Z drugiej jednak, biorąc pod uwagę rozmiary rosyjskiego zakłamania, to szerzenie absurdalnych tez kremlowskiej propagandy.

Popularny dziennikarz TV La7 Massimo Giletti ubiegłej niedzieli poprowadził swój program nie z Rzymu, a z placu Czerwonego na tle Kremla. Do udziału zaprosił rzeczniczkę arcykłamcy Ławrowa Marię Zacharową. Niewiasta rozpoczęła od krótkiego wykładu historycznego. Z wywodów wynikało, że odpowiedzialne za wojnę na Ukrainie są Stany Zjednoczone, NATO i Unia Europejska, których głównym celem jest zniszczenie wielkiej, świętej Rosji. Stwierdziła nawet, że Putin uprzedził jedynie militarny atak swoich wrogów. Gdy Giletti próbował oponować, Zacharowa powiedziała mu, że jest naiwny, głupi i nie ma o niczym pojęcia.

Podczas transmisji wielokrotnie zachwycano się architekturą Kremla, który ponoć pomagali budować Włosi. Wiele też było o nierozerwalnych związkach kultury rosyjskiej z europejską. Gdy kobieta po 35 minutach przestała bredzić, Giletti poprosił o komentarz naczelnego dziennika „Libero", Alessandra Sallustiego. Padły słowa, którymi teraz delektuje się cała Italia:

„Myślałem, że pojechałeś do Moskwy rozmawiać z ludźmi, może też z Putinem. Tymczasem okazałeś się sługusem dalece najgorszej propagandy z możliwych. Zachwycasz się Kremlem. Może warto byłoby przypomnieć, że tam zapadały decyzje o największych zbrodniach komunizmu". I zakończył: „Nie chcę być listkiem figowym twojego programu i tych dwóch dupków, którzy koło ciebie stoją". Jednym z nich był pierwszy propagandysta Rosji – Władimir Sołowjow. Sallusti wstał, wyłączył połączenie internetowe, i tyle go widzieli. Zapadła wymowna cisza. Chwilę potem Giletti zasłabł. Słowem – nokaut po trzech celnych, suchych ciosach.

Wiwat Sallusti, wiwat wszystkie Stany, szczególnie Zjednoczone! ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl f4e3c581c3

Port Gdynia

od 100 lat buduje przyszłość miasta, gospodarki i biznesu

Budowa portu w Gdyni była konieczna dla rozwoju odrodzonej po zaborach Rzeczypospolitej. Dziś, po 100 latach od powstania, Port Gdynia dalej służy rozwojowi regionu i polskiej gospodarki morskiej

Wąski pas granicy morskiej II RP liczył 147 km, z czego aż 74 km stanowił brzeg Półwyspu Helskiego. W granicach odrodzonej Polski znalazły się wyłącznie dwie niewielkie przystanie w Pucku i Helu.

Co prawda, Polska mogła korzystać z portu handlowego Wolnego Miasta Gdańska, ale obawiano się ograniczeń z tym związanych. Jak słuszne były to obawy, pokazało zablokowanie przeładunku broni dla polskiej armii w czasie wojny polsko-bolszewickiej. II RP potrzebowała własnego portu ze względów bezpieczeństwa i w celu umożliwienia dynamicznego rozwoju kraju.

TYMCZASOWY PORT WOJENNY I SCHRONISKO DLA RYBAKÓW

Wybór miejsca pod nowy port powierzono w 1920 r. inż. Tadeuszowi Wendzie. Co ciekawe, Gdynię jako miejsce „sposobne" dla portu prawie 300 lat wcześniej wskazywano już królowi Władysławowi IV. Wtedy pomysłu nie zrealizowano.

Pierwsze prace pod nadzorem inż. Wendy rozpoczęto w październiku 1920 r. W 1921 r. doprowadzono do Gdyni bocznicę kolejową, a w kolejnym roku zorganizowano kapitanat, na początku zlokalizowany w drewnianym baraku. Przełomem uznawanym za formalny początek Portu Gdynia było przyjęcie przez Sejm odpowiedniej ustawy z 23 września 1922 r.

Sejm upoważnił w niej rząd „do poczynienia niezbędnych zarządzeń celem wykonania budowy portu morskiego przy Gdyni na Pomorzu jako portu użyteczności publicznej". Początkowo mniejszy obiekt miał być stopniowo rozbudowywany. Uroczyste otwarcie Tymczasowego Portu Wojennego i Schroniska dla Rybaków miało miejsce wiosną 1923 r.

Port stawał się „oknem na świat" II RP. Wraz z jego rozwojem rosła Gdynia, wcześniej niewielka osada rybacka. Pod koniec zaborów w całej gminie mieszkało zaledwie 1229 osób. Teraz budowano w niej wille, pensjonaty i hotele, a wakacje w tym miejscu stały się niezwykle modne. W marcu 1926 r. Gdynia otrzymała prawa miejskie i liczyła już 12 tys. mieszkańców.

MINISTER BUDOWNICZY

Osobą szczególnie zasłużoną dla rozwoju Gdyni był Eugeniusz Kwiatkowski, minister przemysłu i handlu w latach 1926–1930. Późniejszy wicepremier wielokrotnie podkreślał znaczenie dostępu do morza dla niepodległości i rozwoju gospodarczego Polski. Zdobył olbrzymie fundusze na nowoczesną rozbudowę portu. Dzięki niemu zbudowano port handlowy, stocznię i port wojenny na Oksywiu. Otwarty Dworzec Morski obsługiwał transatlantyckie połączenia pasażerskie.

„Każdy nowy metr wybrzeża, każdy nowy dźwig, każdy skład towarowy, każda nowa placówka handlowa w Gdyni, […] każda nowa fabryka na Wybrzeżu, każdy bank, każda nowa więź cementująca Gdynię z Pomorzem, a całe województwo pomorskie z resztą państwa to wielka zdobycz, to poważny aktyw naszego dorobku państwowego" – pisał Kwiatkowski w 1931 r.

W ciągu zaledwie kilku lat gdyński port rozrósł się do rozmiarów przewyższających port w Gdańsku, stając się największym na Bałtyku i jednocześnie jednym z największych w Europie. Sama Gdynia w 1939 r., tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej, była miastem zamieszkanym przez blisko 130 tys. osób.

W trakcie drugiej wojny światowej w Gdyni stacjonowała niemiecka marynarka, a port był bombardowany przez aliantów. To i ewakuacja Niemców przed Armią Czerwoną przyniosły poważne zniszczenia.

WIERNI TRADYCJOM

Po wojnie port odbudowano. Dzięki rozbudowie pod koniec lat 60. przekroczył on zdolność przeładunkową, którą miał w II RP.

Rok 2022 jest szczególnie ważny dla gospodarki morskiej w Polsce, gdyż obchodzimy jubileusz Portu Gdynia. Od stu lat Port Gdynia jest najważniejszą częścią Gdyni, generatorem rozwoju regionu i polską bramą na świat. Branża morska i działalność portu nadają charakter miastu, którego tradycja i przeszłość, dotychczasowy i przyszły dorobek są nierozerwalnie powiązane.

Dziś nowoczesny i stale rozwijający się Port Gdynia jest jednym z najważniejszych polskich portów morskich. Spółka jest wierna wizji inż. Wendy i ministra Kwiatkowskiego – portu służącego rozwojowi miasta i polskiej gospodarki.

– Dzięki decyzjom, które podjęto sto lat temu, dzisiaj mamy Port Gdynia. Sto lat historii portu pokazuje, że za każdym ogromnym projektem stoją ludzie i ich pasje. Dzięki Gdyni Polacy uwierzyli, że stać ich na realizację najambitniejszych marzeń i wyzwań XX w. Od powstania portu nieustannie trwają tu prace inwestycyjne, obecnie realizowane ogromne przedsięwzięcia podejmowane są z myślą o następnych pokoleniach – podkreśla prezes zarządu spółki Port Gdynia Jacek Sadaj.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl f4e3c581c3

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, wygląda na to, iż Europa po 2035 r. będzie wyjątkowo szczęśliwym miejscem zamieszkanym przez wyjątkowo szczęśliwe osoby wszystkich, hm, różnorodnych rodzajów. Skąd o tym wiemy – zapytacie.

Otósh w swojej niezmierzonej mądrości Unia chce, aby po 2035 r. nie można było kupić nowego samochodu spalinowego, a ponadto wymyśliła, iż wycofane zostaną piece grzewcze na gaz.

W ten sprytny sposób Europa spowoduje, iż benzyna i gaz z dnia na dzień przestaną być potrzebne i jest to zaprawdę genialne posunięcie.

A dlaczego osoby będą szczęśliwe? To proste. Wszystko będzie zasilane energią słoneczną oraz energią płynącą wprost z radosnych i postępowych europejskich serc. Im więc bardziej będziemy się do siebie uśmiechać, im milsi dla siebie będziemy, tym więcej napędzimy nowych samochodów i tym więcej domów ogrzejemy.

I tak oto jednym posunięciem legislacyjnym zostaną uratowane klimat i planeta, a także zaprowadzona powszechna szczęśliwość i uprzejmość, tak się właśnie stanowi dobre prawo.

Strasznie nas zasmuciła sprawa z Rafałem Trzaskowskim. Zachował się jak prawdziwa osoba stanu, przyznał się do słabości, sam określił się z dużą dozą autoironii oraz autorefleksji jako „dupiarz", po czym wylało się na niego morze, ba – nawet ocean hejtu.

My jesteśmy 100 proc. za Rafałem i apelujemy, iżby na niego nie szczuć, nie prześladować go i nie rozbijać jedności zjednoczonej opozycji z powodu tak błahego lapsusu językowego.

Pomyślcie sobie, jak Rafał w końcu wygra wybory, czy w tym, czy w kolejnym dziesięcioleciu, jak fajnie będzie mieć takiego wyluzowanego prezydenta, który potrafi porozumiewać się młodzieżowym językiem, który jednocześnie brzmi tak dystyngowanie i z francuska.

Rząd planuje kolejną akcję dyskryminującą mniejszości i podobno chce wprowadzić świadczenie „500+" dla małżeństw o odpowiednio długim stażu. Sama idea wyklucza z możliwości pobierania tego świadczenia osoby pozostające w wieloletnich związkach poliamorycznych, związkach partnerskich, związkach nieheteronormatywnych, singli i osoby aseksualne.

W dodatku jest to ejdżyzm i kolejny przykład dyskryminacji osób młodych, iż świadczenie w większości przypadków w proponowanym kształcie trafiłoby do emerytów. Już nawet nie będziemy wspominać, iż to kolejny raz jest promowanie jedynej akceptowanej na mentalnym Podkarpaciu formy związków między osobami płci odmiennych.

A nawet gdyby ktoś z naszego kolektywu zdecydował się na małżeństwo z nadzieją, iż za 40 lat dostanie „500+", to przy tak zasuwającej inflacji istnieje ryzyko, że za te 40 lat trzeba będzie państwu dopłacać.

Nie zdziwilibyśmy się, gdyby taki był cel. Teraz zapłacić emerytom, a osobom młodym za te 40 lat dokopać w rewanżu za to, jakie postępowe poglądy i sympatie mają teraz. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Słowa na „k"

Adam, to jest bardzo niesprawiedliwe, ta moja dymisja.
Michał, dałeś ciała, więc nie płacz. Poministrowałeś sobie, ciesz się. Jak nie będziesz teraz hałasował, to ci może za jakiś czas jakąś spółkę załatwię. Tylko cicho siedź.

No dobrze... Ale tak, żebym miał furę służbową, dobra?
No chyba nie będziesz mi tu warunków stawiał? Zwłaszcza po tym, jak się zachowałeś jak kretyn.

Ale kiedy ta baba źle o nas mówiła.
Sekret ci zdradzę: wielu ludzi o nas dzisiaj źle mówi. Wszystkich będziesz zwalniał?

No nie, wszystkich nie da rady, tylko tych na państwowym...
Na litość!... Przynajmniej mogłeś nie zmyślać, że była wulgarna.

Nie zmyślałem, tam naprawdę słowa na „k" leciały.
Od tej naczelnik?

Oj, nie wiem już, zamieszanie było... Może to mnie się wyrwało. Ale było na pewno! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Doczekaliśmy czasów, gdy obrońców praworządności nazywa się zdrajcami ojczyzny działającymi na szkodę Polaków".

TOMASZ LIS, *były redaktor naczelny „Newsweeka", na Twitterze*

eprasa.pl f4e3c581c3

dwaj panowie g

Ciekawa rzecz: słyszeliśmy od wiewiórek w Eine Totalopposition, że żądna jest wiedzy. Głównie o kalendarzu wypraw Jarosława Kaczyńskiego w interior, by zawczasu zorganizować wycie. Sorry, nie pomożemy. Ale odnotujmy zabawniejszą rzecz: ponoć słabo jest z kandydatami do wycia. To koniec. Pełnia dyktatury w Polsce – żeby ludziska woleli plażę zamiast darcia mordy…

Tymczasem wielkie darcie mordy na Polskę miało miejsce w europarlamencie. Że hańba, zdrada, bo Ursula ośmieliła się klepnąć Polsce kasę. Zastanawia nas podział wśród europosłów Eine Totalopposition. Nie wszyscy głosowali za karaniem Polski. Niektórzy się wstrzymali. Zatem zamiast zwykłą targowicą okazali się, powiedzmy, „półpatriotami". Mamy jednak złą wiadomość. Nie ma czegoś takiego jak „półpatriota". Podobnie jak nie ma czegoś takiego jak półhonor.

Uwaga, teoria spiskowa! Niektórzy zastanawiają się, dlaczego bracia Węgrzy mówią to, co mówią, na temat Ukrainy. A często nie jest to fajne. Teoria mówi, że „Węgrzy mówią głośno to, co Niemcy myślą po cichu". Jest to teoria wprost z korytarzy brukselsko-strasburskich: ustawka Budapesztu z Berlinem, pokłosie dobrych kontaktów z czasów wspólnego członkostwa w EPP oraz zakulisowych negocjacji w sprawie odpuszczenia Węgrom pewnych spraw. Lubimy teorie spiskowe. Tylko w takie wierzymy.

Ujawniamy! Jeśli na ulicach miast Belgii ujrzycie żółtego aston martina model James Bond, to za kierownicą ani chybi siedzi znany polakożerca Guy Verhofstadt. Wprowadza to nas w głęboki dysonans poznawczy. W „Bondach" czarne charaktery poruszają się jednak raczej jachtami, helikopterami lub łodziami podwodnymi.

Apropos czarnych charakterów: radni warszawscy ogłosili Hankę Gronkiewicz-Waltz honorowym obywatelem. Co budzi w nas gorący sprzeciw, bo to pojęcie strasznie patriarchalne. Jeśli już, to „honorową obywatelką". Ale to wyklucza osoby niebinarne, transbinarne i ogólnie niezdecydowane. Proponujemy więc posługiwanie się zwrotem „radni warszawscy ogłosili HGW honorowym Czymś". Co to jest „honorowe Coś"? Ano coś takiego jak półpatriota.

Czekamy niecierpliwie, aż warszawscy radni z PeŁo ogłoszą Rafcia Trzaskowskiego czymś honorowym. Może być np. „honorowym dupiarzem". Choć złośliwcy znający skutki jego działań jako prezydenta stolicy mogliby sugerować słowo „dodupiarzem". Przy okazji: zawsze chcieliśmy być jak Jarosław Kaczyński. I okazało się, że jesteśmy: my, tak jak on, nigdy w życiu nie słyszeliśmy słowa „dupiarz". A słyszeliśmy naprawdę wiele.

Krótka refleksja lingwistyczna. W czasach PRL, gdy młody Rafcio wprawiał się w sztuce pożerania niewieścich serc, na panów nałogowo skaczących z kwiatka na kwiatek nie mówiono ani dupiarz, ani bawidamek, tylko po prostu dziwkarz. Od razu zaznaczamy: nie chodziło o podkreślenie udziału środków wymiany towarowo-pieniężnej w skakaniu, lecz wskazanie na pewną obustronną otwartość w relacjach międzyludzkich.

Sam Rafcio, próbując (dość nieudolnie, przyznajcie) przepraszać, wskazał, że mówi, co mówi, gdyż jest „osobą dosyć nietuzinkową". Ośmielamy się mieć inne zdanie, osobników zachowujących się wobec pań podobnie oraz sięgających po podobną retorykę widzieliśmy w życiu wielu.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Apropos osób nietuzinkowych: straszne rzeczy dzieją się w polskim oddziale RASP, czyli wydawcy „Newsweeka". Trwa bowiem polowanie. Chodzi o to, że po zniknięciu ze stanowiska Tomka Lisa pozostało palące pytanie: Kto przez długie lata chronił mu tyłek? Trzeba to ustalić. No więc centrala z Zurychu ustala. Na razie ustaliła, że straumatyzowanych ludzi jest w polskim oddziale RASP więcej. A kultura korporacyjna wymaga, by jakoś im zadośćuczynić.

Apropos ludzi zwolnionych. Z Moskwy posunięto zupełnie niewinnego Piotra Skwiecińskiego, czyli szefa Instytutu Polskiego. W ramach retorsji za wydalenie ruskich szpiegów z Warszawy. Otóż dowiadujemy się, że Skwiet niedługo zagrzeje miejsca w Warszawie. Idzie w ambasadory. W jednym z krajów byłych Sowietów. Nie możemy zdradzić, o jaki kraj chodzi, ale nie ukrywamy, że będzie dla nas dostarczycielem nowych dowcipów o Radiu Erywań. Gdyż wszystkie, jakie znamy, mają kilkudziesięcioletnią brodę.

Ważą się losy jednego z kandydatów na ambasadora w ważnym państwie unijnym. Ciekawy przypadek: facet młodszy od nas, a zdołał się ubabrać w komunizm. Ubiegając się o studia w NRD-owskim odpowiedniku MGIMO, chwalił się, że tatuś w ramach KBW zwalczał zbrojne bandy reakcyjnego podziemia. W latach 80. zapisał się do ZSMP i regularnie jeździł na obozy organizowane przez Towarzystwo Krzewienia Kultury Świeckiej. W Sowietach nazywało się to prościej – organizacja bezbożników. Na dodatek chłopak został zarejestrowany przez Zarząd II Sztabu Generalnego. Nie wiemy wprawdzie, w jakim charakterze, ale przecież nas znacie – dowiemy się.

Na koniec kultura. Powstaje nowa wersja filmu „Akademia Pana Kleksa". Panu Kleksowi się na razie upiekło i nie zostanie zastąpiony przez drag queen. Ale głównym bohaterem nie będzie chłopiec Adaś, lecz dziewczynka Ada. Pójdźmy dalej. Jak już zmieniać klasykę, to zacznijmy u źródeł: w raju jako pierwsi mieszkali Ada i Ewa. ©℗

eprasa.pl f4e3c581c3

Rafał A. Ziemkiewicz

Rząd PiS dokonał zdumiewającej wolty, kompletnie zaprzeczając wszystkiemu, co głosił, z czym szedł do władzy i w imię czego jego wyborcy wybaczają od lat oczywiste niedostatki sanacyjnego modelu sprawowania władzy. Krajowy Plan Odbudowy to kapitulacja!

Nawet żelaznemu elektoratowi nie udało się sprzedać narracji, że to, co rząd wynegocjował z Ursulą von der Leyen (na zdjęciu z premierem Mateuszem Morawieckim), to sukces FOT. ALEKSIEJ WITWICKI/FORUM

Wyprzedaż

Wzamian za mglistą obietnicę odblokowania Polsce dostępu do 57 mld euro z budżetu UE i ze wspólnego długu, zaciąganego (także i pod nasze gwarancje) w ramach tzw. mechanizmu NGEU, polski rząd zobowiązał się do spełnienia ponad 160 bardzo szczegółowych żądań Komisji Europejskiej. Dotyczą one bardzo wielu dziedzin funkcjonowania państwa, od regulaminów prac rządu i parlamentu do prawa pracy i służby zdrowia. Większość zobowiązań – i to te najbardziej brzemienne w skutki – dotyczy jednak źródeł i cen energii. Wszystkie mają jeden mianownik: prowadzą do obniżenia konkurencyjności polskiej gospodarki, dramatycznego obniżenia poziomu życia Polaków, utraty możliwości samodzielnego podejmowania przez nich kluczowych decyzji dotyczących własnego kraju oraz unifikacji w ramach uporczywie forsowanego przez europejskie mocarstwa i eurokrację planu budowy europejskiego państwa federalnego. Większość narzucanych przez Unię zmian mamy wprowadzić w terminie trzech–czterech lat.

Mimo że blokowanie polskiego KPO oraz związane z tym targi ciągnęły się ponad 13 miesięcy, finał wszystkich zaskoczył. Większość Polaków, nawet członków opiniotwórczych i politycznych elit, była przekonana, że spór dotyczy organizacji wymiaru sprawiedliwości. Tymczasem w momencie triumfalnego ogłoszenia przez rząd, że miliardy – dawno już przez premiera obiecane i nawet już publicznie rozdzielone między konkretne fabryki kiełbasy wyborczej – wreszcie do nas trafią (pomińmy fakt, że entuzjazm ten natychmiast zgasiła przewodnicząca von der Leyen, bardzo surowo sprowadzając naszych prezydenta i premiera na ziemię), okazało się, że warunków do spełnienia jest ponad 160 (nie umiem wyjaśnić, dlaczego akurat 116 z nich nazwano „kamieniami milowymi", a pozostałych nie) i jedynie trzy dotyczą tzw. praworządności.

Żadna z owych zmian, poza kwestią Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego, nie była przedmiotem publicznej dyskusji, w żadnej nie próbowano nawet uruchamiać mechanizmów społecznej konsultacji. Nie wiemy, kto właściwie, z czyjego upoważnienia, negocjował szczegółowe zapisy, jaka była w tym rola resortów. Ogłoszenie tak wielkiej liczby „kamieni milowych" było zaskoczeniem, którego większość Polaków chyba jeszcze nie zdą-

eprasa.pl f4e3c581c3

niepodległości

żyła przetrawić i ogarnąć. Tym większym, że PiS nagle wpasował się w retorykę „totalnej opozycji", którą sam wielokrotnie nazywał zdradą narodową, sam zaczął posługiwać się jej dotychczasową logiką, w której to Europa jest motorem naszego rozwoju i źródłem cywilizacji, przede wszystkim zaś zaprzeczając całkowicie własnym wieloletnim zapewnieniom o budowaniu „Europy ojczyzn", poszedł w poświęcaniu polskiej suwerenności na rzecz „pogłębionej integracji europejskiej" dalej, niż kiedykolwiek postulowała to „proeuropejska" opozycja.

OPOZYCJA OGRANA

Ta ostatnia istotnie została ograna. Sprawa „praworządności" okazała się dla Unii tylko argumentem przetargowym, a poparcie dla opozycji i „sędziowskiego Ługańska" – jak pozwoliłem sobie nazwać separatystyczne i zbuntowane przeciwko Polsce prawnicze państwo w państwie – jedynie taktyką wymuszania na Polsce ustępstw. Sędziowski rokosz, od lat, dzięki poparciu organów unijnych, tworzący główny front walki z „państwem

eprasa.pl f4e3c581c3

PiS", nie zyskał niczego. Kluczowe dla pomagdalenkowego establishmentu prawniczego postulaty delegalizacji Krajowej Rady Sądownictwa i usunięcia ze stanu sędziowskiego wszystkich przez nią rekomendowanych w ogóle przestały być już przez Unię popierane. Natomiast w kwestii Izby Dyscyplinarnej uzyskali rokoszanie de facto tyle, że zmieni ona nazwę, a sędziowie przez nią zawieszeni będą mieli prawo odwołać się do jej nowego odpowiednika. Zważywszy, że większość z nich zawieszona została za kwestionowanie statusu sędziów rekomendowanych przez KRS, a w tej sprawie TSUE potwierdził stary wyrok polskiego TK, że żadne ewentualne uchybienia przy rekomendowaniu kandydata nie mogą być powodem podważania jego prawa do orzekania, nic im to nie da.

Gdyby więc cała rzecz sprowadzała się tylko do „praworządności", do owych trzech pierwszych „kamieni milowych" zakryptonimowanych w dokumencie jako „komponent F", opinia europoseł Spurek, że „Komisja Europejska skapitulowała przed Kaczyńskim", byłaby trafna.

Takiego właśnie, jak w przypadku skrajnie lewicowej posłanki, odbioru wizyty przewodniczącej KE w Polsce oczekiwała władza. Dowodzi tego połączenie w czasie spektakularnej w zamierzeniu wizyty i „odblokowania KPO" z partyjną konwencją, na której prezes ogłosił „mobilizację" swych aktywistów i zwolenników, wzywając ich, by „ruszali w teren" (w domyśle: z dobrą nowiną o unijnych miliardach „na jesieni" – nawiasem mówiąc, po stronie UE nikt nie dopuszcza przekazania pierwszych pieniędzy Polsce, nawet jeśli będzie bardzo grzeczna, wcześniej niż w przyszłym roku, możliwe więc, że owa jesień w propagandzie rządu jest mimowolnym zdemaskowaniem jakiegoś innego politycznego planu). Bez wątpienia władza spodziewała się, że po miesiącach przetrzymywania polskiego KPO i szermowania tą sprawą przez opozycję społeczeństwo dozna wielkiej ulgi i poczuje wdzięczność dla rządzących za rozwiązanie problemu.

I tu mamy jednak wielkie zaskoczenie. Mimo wielkich starań narracji o sukcesie nie udało się skutecznie „sprzedać" nawet żelaznemu elektoratowi. Jednoznacznie pokazują to pierwsze sondaże – wprawdzie ponad 20 proc. ankietowanych przypisuje sukces PiS, podczas gdy zaledwie 3 proc. opozycji, ale niemal tyle samo w ogóle żadnego sukcesu w obietnicy przewodniczącej von der Leyen nie widzi.

Na taki odbiór sprawy musiało wpłynąć zachowanie szefowej KE, która podczas wizyty zachowywała się jak gubernator w podbitym kraju, sztorcując publicznie polskiego premiera i prezydenta, by sobie nie myśleli, że Polska cokolwiek dostanie, zanim Komisja nie zostanie usatysfakcjonowana starannym wykonaniem jej poleceń (Tu znów nie wiadomo, ile z nich musi zostać przez KE zaakceptowane, by fundusze uruchomiono. Wszystkie? Wszystkie w danym dziale?). Oczywiście to upokarzające dla Polaków zachowanie obliczone było na spacyfikowanie lewicowo-liberalnych frakcji w Parlamencie Europejskim, dla których – nie bez wpływu rodzimej targowicy – złamanie Polski i jej manifestacyjne poniżenie stały się prawdziwą obsesją i które nawet najbardziej niewiążące deklaracje przyznania nam jakichkolwiek pieniędzy traktują jako zdradę „idei europejskiej": dobitnie pokazała to zwołana na wiosek frakcji ALDE, poparty przez socjaldemokratów i chadeków, debata, która stała się kolejnym seansem nienawiści do „nacjonalistycznej" Polski. Poniżanie Polaków nic zresztą przewodniczącej KE nie dało, bo radykalni zwolennicy „pogłębionej integracji", zupełnie nie rozumiejąc jej strategii odpuszczenia „praworządności" w zamian za wymuszenie poddania się federalizacji, i tak uruchomili procedurę odwołania von der Leyen ze stanowiska.

Nie to jednak jest główną przyczyną sceptycyzmu Polaków wobec „sukcesu" rządu w sprawie KPO. Nie sądzę także, aby wielką rolę odegrała propaganda mediów lewicowo-liberalnych, które nie mogąc otwarcie przyznać, że ich polityczni mocodawcy zostali przez europejskich patronów sprzedani, bo PiS dał Unii więcej, skupiły się na pomniejszaniu znaczenia wizyty i ogłoszonej warunkowo zgody na uruchomienie unijnych funduszy na „odbudowę".

Zasadniczy dla społecznego odbioru tego „sukcesu" jest fakt, że rząd PiS dokonał zdumiewającej wolty, kompletnie zaprzeczając wszystkiemu, co głosił, z czym szedł do władzy i w imię czego jego wyborcy wybaczają od lat oczywiste niedostatki sanacyjnego modelu sprawowania władzy. Po latach retoryki „wstawania z kolan", po latach zapewniania, że PiS stoi na straży polskiej niepodległości, którą Tusk i reszta lewicowo-liberalnej opozycji bez wahania sprzedaliby Berlinowi i Brukseli, po latach podkreślania, że narastające żądania eurokratów nie mają żadnych prawnych ani moralnych podstaw, że pieniądze z KPO nam się po prostu należą, a ich blokowanie bez oficjalnego podania przyczyny (formalnie rzecz biorąc, KE nie zgłaszała żadnych zastrzeżeń, po prostu cały ten czas wnikliwie analizowała nasz projekt), jest bezprawiem, po zbudowaniu na tych zapewnieniach i poczuciu doznawanej krzywdy politycznej tożsamości PiS spektakularnie kapituluje!

I jeszcze próbuje obudować to narracją sukcesu. W dodatku od pierwszej chwili ta narracja prezentowana była niespójnie. Już w pierwszych dniach „mobilizacji", występując w mediach, minister Buda usiłował przedstawić 116 „kamieni milowych" jako nasze własne inicjatywy, zrodzone w polskich ministerstwach i „w dużej części już wdrażane", minister Schreiber uderzył w ton „nic nie mogliśmy zrobić, zmusili nas", a minister Jabłoński sformułował tezę, że „te reformy musielibyśmy przeprowadzić i tak, a teraz przynajmniej dadzą nam na nie pieniądze" (co nie jest prawdą: zwrócą nam poniesione wydatki, jeśli uznają, że na to zasługujemy, przy czym ocenią to całkowicie uznaniowo, bo żadnych kryteriów w porozumieniu nie sformułowano). Przeciętny Polak oczywiście nie zdoła się wgłębić w zawiłości KPO, ale widzi symbole tej zmiany kursu. Na przykład to, że jednym z „kamieni milowych" okazuje się podniesienie wieku emerytalnego. Którego obniżenie zaraz po objęciu władzy – chyba jednak nawet najbardziej żelaźni zwolennicy PiS to jeszcze pamiętają – było obok „500+" i zakazu handlu w niedzielę najbardziej otrąbionym dowodem odejścia od „antyspołecznej" polityki PO.

POLSKA JAKO KONSUMENT

Podobnie jest z kluczową dla polskiej suwerenności kwestią niezależności energetycznej. Była ona obsesyjnie wręcz wskazywana jako podstawowa przewaga PiS nad opozycją. Tymczasem logika „kamieni milowych" nieuchronnie spycha nas do roli konsumenta energii z Niemiec, skazanego na wszystkie kaprysy dostawcy.

Nie miejsce tu na udowadnianie po raz kolejny, że wizja zaspokojenia potrzeb energetycznych nawet małego kraju produkcją wiatraków i ogniw słonecznych jest utopią na miarę sowieckich

eprasa.pl f4e3c581c3

wizji rozpinania na orbicie okołoziemskiej luster, dzięki którym zapanuje wieczny dzień i socjalistyczna gospodarka będzie mogła pracować całodobowo. Ograniczone zasoby rzadkich pierwiastków i koszty ich wydobycia, także ekologiczne, nieopłacalność produkcji i niska efektywność – wszystko to sprawia, że źródła energii, na które zobowiązujemy się przejść, zawsze pozostaną tylko kosztownymi gadżetami i nabijaniem kabzy publicznymi pieniędzmi wielkim koncernom. Polska niepodległość wymaga oparcia się na atomie albo powrotu do węgla. Węgla nam zakazano (cóż to za kpina ze zdrowego rozsądku, że mając jedne z największych jego zasobów w świecie, dziś rozpaczliwie sprowadzamy węgiel z Kolumbii czy Australii!), na atom zaś KPO nie przewiduje ani grosza.

Ogromne obciążenie dla gospodarki, a zarazem obniżenie poziomu życia, z takim trudem i takim społecznym kosztem osiągniętego po roku 1989, generuje cały blok regulacji. „Ekologiczne" zobowiązania wobec UE grożą wielkimi stratami dla rolnictwa. Wymóg ozusowania wszystkich umów o pracę w oczywisty sposób uderza w rynek pracy, z kolei usztywnienie procesu ustawodawczego (likwidacja „przedłożeń poselskich", skądinąd bardzo nadużywanych przez obecną władzę) bez gruntownej reformy systemu legislacyjnego może doprowadzić Polskę do ustawodawczego paraliżu, na miarę przedrozbiorowego liberum veto. I tak jest prawie ze wszystkim – jeśli nie oczywista szkoda, to co najmniej bezsensowna biurokratyczna mitręga.

Skąd w ogóle wzięły się te „kamienie milowe", które zaskakująco dla wszystkich okazały się prawdziwym przedmiotem targów, rzekomo prowadzonych o „praworządność"? „W części", cytuje „Dziennik Gazeta Prawna" anonimowego polityka Zjednoczonej Prawicy, „to propozycje polskich resortów, ale część to efekt zaleceń KE dotyczących reform w poszczególnych państwach. Komisja wydaje je co roku dla wszystkich państw, ale ich niewykonanie nie jest obarczone groźbą sankcji. Teraz Bruksela skorzystała z okazji i wpisała je jako »kamienie milowe«".

CENA WALKI

Wielokrotnie, opisując polską scenę polityczną, używałem porównania ze sportem. Zdrowa scena polityczna powinna przypominać piłkę nożną: każda drużyna ma swoją bramkę, której broni, granice pola gry i sens całego starcia są niezmienne. U nas natomiast polityka zamieniła się w boks: jedynym celem jest trafić w szczękę i znokautować przeciwnika, więc zawodnicy ustawicznie obskakują się wokoło, raz są tu, raz tam, gdzie przed chwilą był przeciwnik, a potem znowu. Nic stałego, wyłącznie taktyka. Jarosław Kaczyński jeszcze na początku lat 90. w wywiadzie rzece dla Teresy Bochwic użył nieco innego porównania: polityka jest jak żeglowanie, trzeba umieć wyłapywać wiejący w danej chwili wiatr i odpowiednio do niego nastawiać żagle. Którejkolwiek metafory użyć, prezes PiS na pewno okazał się mistrzem w zajmowaniu obiecujących taktycznie pozycji (czy też nastawianiu żagla do wiatru): bywał zwolennikiem reform Balcerowicza i zajadłym krytykiem „pana, który uchodzi za mądrego, a zwykle się mylił", „nowoczesnym" chadekiem, przestrzegającym przed politycznym katolicyzmem w stylu ZChN, i takim właśnie narodowym katolikiem, politykiem „centrowym", umiarkowanym albo radykałem. Do tego bokserskiego tańca dostosowali się z czasem jego przeciwnicy i stał się on jedyną zasadą polskiej polityki wewnętrznej: dowalić tamtemu, trafić go „na punkt", żeby się nakrył nogami, za wszelką cenę. Zasadą zaś polskiej polityki zagranicznej stało się to, że praktycznie jej nie ma, bo ona również służy wyłącznie uderzeniu w przeciwnika w kraju.

KPO wygeneruje ogromne obciążenie dla gospodarki, a zarazem obniżenie poziomu życia, z takim trudem osiągniętego po 1989 r.

PO i jej przystawki, pokonane w Polsce, przeniosły politykę na obce, unijne dwory, kołacząc o pomoc eurokracji i stojących za nią głównych europejskich stolic. Obce wsparcie nie wystarczyło do odzyskania władzy, ale pozwoliło mocno PiS wykrwawić. Ostatecznie więc Kaczyński poczuł się zmuszony podjąć tę grę i wykorzystać fakt, że rządząc, może realnie sprzedać Unii to, co PO może jej tylko obiecywać (przy czym wobec coraz wyraźniej widocznego nieudacznictwa obozu lewicowo-liberalnego jej obietnice brzmią słabo). Za wszelką cenę wybić opozycji z ręki argument „przez reformę sprawiedliwości PiS tracimy miliardy euro" – tak musiało brzmieć polecenie przekazane z Nowogródzkiej do rządu. A jedynym punktem odniesienia dla decyzji były sondaże, zgodnie z którymi Polacy w 80 proc. popierają członkostwo w UE, nie zastanawiając się nad tym, co ono oznacza, oraz obserwacja z czasów Tuska, że w związku z tym poprą najgorszy nawet rząd, który im „załatwia" unijne fundusze.

Cena, którą za danie Kaczyńskiemu możliwości pognębienia swych lewicowo-liberalnych pupili wynegocjowali europejscy federaści, okazała się bardzo wysoka. Jak wysoka – tego nie wiemy, bo nikt nie oszacował kosztów przyjmowanych ze względów czysto politycznych „kamieni", nawet tych, które podobno przygotowano w polskich ministerstwach. Nie do końca też wiadomo, ile z nich realnie da się wprowadzić, a ile pozostanie na papierze.

Być może ta ostatnia okoliczność miała wpływ na decyzje o ugodzie z Komisją Europejską. Podpiszmy, co każą, wybijmy Tuskowi z ręki jego jedyny już bodaj argument – a potem się zobaczy. Skutki rosyjskiej napaści na Ukrainę i przedłużającej się wojny i tak zmuszą Unię do odejścia od obłędnego ideolo „zielonej transformacji" zarówno na obszarze energetyki, jak i rolnictwa. A może w samej Unii się pokłócą i naprawdę odwołają von der Leyen za nadmierną propolskość? Może się poszczęści, jak ze wspólną walutą, którą przecież zobowiązaliśmy się przyjąć, a jak dotąd, szczęśliwie, udaje nam się odkładać to zobowiązanie „na święte nigdy"? A może się nie poszczęści – w przeciwieństwie do „kamieni milowych" KPO tamto zobowiązanie nie miało wyznaczonego terminu realizacji.

Choć nie jestem, jak czytelnicy zapewne wiedzą, wyznawcą kultu Piłsudskiego, to trudno nie zacytować dziś jego słów, że niepodległość nie kosztuje „dwóch groszy i dwóch kropli krwi". Piłsudski mówił oczywiście o kosztach odzyskania niepodległości, a nie jej sprzedania w ramach uczestnictwa w postulowanym „państwie europejskim". W tę stronę cena została właśnie utargowana bardzo dokładnie: 56,9 mld euro (z tym że na razie występujemy tylko o 35,4). Miejmy nadzieję, że coś przeszkodzi w ostatecznym dobiciu targu i konsumpcji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4e3c581c3

Autodestrukcja

Łukasz Zboralski

Lobbyści z Komisji Europejskiej postanowili zabić motoryzację i zakazać sprzedaży samochodów spalinowych od 2035 r. Polski rząd ten szalony plan chce wesprzeć – obiecał obłożyć takie pojazdy dodatkowymi podatkami. To dla Polaków oznacza katastrofę

W ubiegłym tygodniu Parlament Europejski przegłosował – od 2035 r. sprzedaż samochodów z silnikami spalinowymi w Europie zostanie zakazana. Trzeba jednak dobrze zrozumieć, że nie wymyślili sobie tego europarlamentarzyści. Oni tylko poparli propozycję Komisji Europejskiej. A KE jest narzędziem do wywierania wpływów i chronienia biznesów największych graczy unijnych. To ciało nafaszerowane lobbystami, których jedynym zadaniem jest zadbać o odpowiednie interesy.

Ktoś miał więc interes w tym, by całą Europę próbować przekierować na nowe tory, de facto odbierając przeciętnym obywatelom – a najbardziej tym najmniej zamożnym, a więc z Europy Środkowo-Wschodniej – możliwość poruszania się własnymi pojazdami. Bo co się stanie, gdy samochody spalinowe zaczną znikać?

Dla silników spalinowych – mimo wysiłków podejmowanych przecież od 1900 r. w USA – nie ma do dziś alternatywy. Elektryczne pojazdy nadal mają ograniczenia, z którymi nikt się nie uporał. Po pierwsze, niewielki zasięg – tylko bardzo drogie modele mogą pojechać kilkaset kilometrów na jednym ładowaniu. Najczęściej przeciętny zasięg nie przekracza nawet 200 km (a co dopiero zimą, gdyby chciało się mieć jeszcze ogrzewanie i jechać autostradą). Po drugie, czas ładowania – nadal nie udaje się napełnić elektrycznego „baku" w pięć minut, tak jak można to zrobić na stacji benzynowej z tradycyjnym pojazdem. Po trzecie wreszcie, trwałość – baterie tych pojazdów, tak jak każde, tracą swoją pojemność, a wymiana ich jest droga.

Przyszłość rysuje się zatem bardzo wyraźnie. Tylko zamożni ludzie, a na pewno duże koncerny, będą mogli nabywać auta elektryczne i dbać o taką flotę. Przeciętny Kowalski, którego samochód ma dziś średnio 15 lat (taki jest wiek parku samochodowego nad Wisłą), będzie mógł co najwyżej wypożyczyć taki pojazd od koncernu albo może kupić usługę przewozową – w obu wypadkach będzie to dla niego droższe niż poruszanie się własnym pojazdem. A przecież nie wszędzie dojedzie transportem publicznym, nawet gdyby ten nad Wisłą stał się za 10 lat superrozwinięty (wyobraźmy sobie, że wpadamy na pomysł, iż dziś rano wybierzemy się do znajomych mieszkających 350 km od nas, a po drodze odwiedzimy jeszcze innych, którzy mieszkają w lesie – da się pociągiem i autobusem?).

eprasa.pl f4e3c581c3

FOT. ADOBE STOCK

Jedno jest też pewne – przemysł motoryzacyjny nie straci. Niemcy, Francuzi są już gotowi do przestawienia się na produkcję elektrycznych pojazdów, ich firmy już to oferują, zatem sprzedadzą ich mniej, ale odbiją to sobie na marżach oraz redukcji zatrudnienia (po co tylu pracowników, jeśli nowych aut będzie się produkować dużo mniej, bo dla przeciętnych obywateli będą już poza zasięgiem).

PŁAĆ I PŁACZ

Zanim jednak UE wykończy całkiem jedyną możliwość swobodnego przemieszczania się ludzi, Polacy będą za to przemieszczanie płacić dużo więcej. I nie mówię tu tylko o ekstremalnie wysokich cenach paliwa (a zanosi się na to, że rosyjska agresja szybko się nie skończy i odwrót od taniej ropy staje się permanentny).

Niestety – co odkryliśmy z szokiem, przeglądając zapisy Krajowego Planu Odbudowy – rząd Zjednoczonej Prawicy, żeby dostać pieniądze z UE, zobowiązał się do rozpoczęcia niszczenia motoryzacji nad Wisłą. Zgodził się na obłożenie posiadaczy samochodów spalinowych nowymi podatkami. Już za dwa lata – od 2024 r. – droższa będzie rejestracja takich nowych samochodów. Natomiast od 2026 r. pojawi się jakaś dodatkowa danina od „brudnego" silnika każdego takiego pojazdu. Nie wiadomo jeszcze tylko, jak będą one wysokie. – To wszystko jest do doprecyzowania prawnego, programowego i do dialogu z Komisją Europejską – powiedziała podczas konferencji prasowej minister klimatu i środowiska Anna Moskwa. Co raczej nie może nas uspokajać, a jeszcze bardziej musi smucić.

Niestety, wygląda na to, że rząd zgodził się podporządkować żywotne interesy obywateli – ich możliwość przemieszczania się – życzeniom unijnych lobbystów. Świadczy o tym rozpaczliwe tłumaczenie szefa Komitetu Stałego Rady Ministrów, ministra Łukasza Schreibera, który pytany o to w Radiu Plus stwierdził: – To wszystko zostałoby narzucone czy wprowadzone tak czy inaczej.

Jeszcze bardziej kuriozalnie ta zgoda na zniszczenie motoryzacji wygląda, jeśli zauważymy, że ta sama UE pompowała w Polskę przez ostatnich 15 lat setki miliardów złotych na budowę nowych dróg. I właśnie, gdy kończymy dopiero szkielet szybkich połączeń przecinających kraj, wyprowadzamy obwodnicami ruch z małych nawet miast, ta sama Unia mówi: „Stop, teraz nie pojeździcie".

– Wszystkie nowe regulacje zmuszą nas do tego, że zamiast spalinowymi samochodami będziemy jeździć autami elektrycznymi, tramwajami, pociągami. I o ile może to być jakaś korzyść w dobrze skomunikowanych aglomeracjach, o tyle jednocześnie będzie to oznaczać wykluczenie komunikacyjne osób starszych, niepełnosprawnych, mieszkańców prowincji, małych osad, wiosek, miasteczek, gdzie komunikacja publiczna praktycznie nie istnieje – wskazuje Maciej Wroński, prezes Związku Pracodawców Transport i Logistyka Polska. I dodaje: – Jeśli taki ma być koszt tych zmian i na taki chcemy się godzić, to trzeba to głośno powiedzieć.

Na to jednak – jak wskazują opinie zwykłych ludzi – nikt godzić się nie chce. O ile Polacy zaczynali rozumieć np. potrzebę czystych stref w miastach i ograniczanie ruchu pojazdów spalinowych tam, gdzie dojechać można w inny sposób, tak całkowitego zakazania spalinowych silników nie akceptują. I, o dziwo, zbulwersowani są nie tylko konserwatyści, wielu ludzi o nastawieniu lewicowym czy ekologicznym też uważa, że eurokraci próbują wepchnąć nas w ślepy zaułek.

UDERZENIE W GOSPODARKĘ

Dzięki budowie dróg i lepszej sieci połączeń nie tylko zwykli mieszkańcy mogli bezpieczniej i szybciej gdzieś dojechać. Możliwy stał się też dogodniejszy transport towarów. A to zdecydowanie pomagało w polskim rozwoju gospodarczym. Zakaz aut spalinowych obejmie tylko samochody osobowe i lekkie dostawcze, ale to nie oznacza, że branża transportowa nad Wisłą – a jest ona hegemonem w UE – nie ucierpi. I nie tylko ona.

W Polsce bardzo silna jest branża automotive i ona się skurczy. – Oprócz fabryk samochodów mamy też wiele firm, często małych, które produkują komponenty dla przemysłu motoryzacyjnego niemieckiego, czeskiego. Jesteśmy tu dużym graczem – przypomina Maciej Wroński. – Jeśli zostanie ograniczona produkcja pojazdów, a zostanie, bo na elektryki nie będzie stać wszystkich, to się to odbije na tej części polskiej gospodarki – ostrzega. I dodaje, że branża automotive to też jeden z dużych klientów branży przewozowej. Więc i ona straci sporo kontraktów na przewóz towarów.

Warto wspomnieć jeszcze o skutkach gospodarczych, które nie są tak oczywiste. Wypchnięcie spalinowych osobówek z Europy będzie miało poważne skutki dla polskich narodowych gigantów – Orlenu i Lotosu. Bo postawiono wyłącznie na elektromobilność, wykluczając paliwa syntetyczne z odpadów. – A przecież to nie była zła idea – mówi Wroński. – Można było skoncentrować się na syntetycznym oleju czy gazie z odpadów, co też redukowałoby ślad węglowy do zera, ale mogłaby dalej działać dotychczasowa infrastruktura dystrybucji paliw. Po prostu zamiast ropy z Rosji nalewalibyśmy na stacji pistoletem syntetyk lub gaz. Musi budzić zdziwienie, że na to nie pozwolono na poziomie Unii Europejskiej.

Są tylko dwa scenariusze, w których mimo szaleństwa Komisji Europejskiej i usłużności polskiego rządu ludziom nie zostanie odebrana swoboda poruszania się. Pierwszy – ktoś zdoła tak rozwinąć będące już na rynku samochody wodorowe, że to one wyprą spalinówki i będą rzeczywistą alternatywą, a nie rzekomą, jak auta elektryczne. Drugi – UE zdąży się rozpaść, zanim doprowadzi do katastrofy w Europie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4e3c581c3

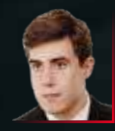

Z Mariuszem Błaszczakiem, ministrem obrony narodowej
rozmawia Karol Gac

Polacy mogą spać spokojnie

KAROL GAC: Panie ministrze, 24 lutego Rosja dokonała inwazji na pełną skalę na Ukrainę. Chociaż Amerykanie ostrzegali przed takim scenariuszem, to nie wszyscy zdawali się to traktować poważnie. Był pan zaskoczony, że Władimir Putin zdecydował się na taki ruch?

MARIUSZ BŁASZCZAK: Faktycznie, od jakiegoś czasu mieliśmy informacje, które dość jasno wskazywały, że może nastąpić najczarniejszy scenariusz, czyli pełnoskalowa inwazja. Jednak zaskoczeniem było i jest okrucieństwo, nie zawaham się użyć słowa, barbarzyństwo Rosjan oraz poziom ich kłamstw. Przypomnę, że przez miesiące, a nawet kilka dni przed niczym niesprowokowanym atakiem na suwerenną Ukrainę Kreml wmawiał całemu światu, że nie szykuje się do wojny. Zachowanie Rosji, prezydenta Putina jest cyniczne, niehonorowe i niemoralne.

Niemal każdy dzień przynosi kolejne informacje o rosyjskich zbrodniach i bestialstwie. Wydaje się, że agresja na Ukrainę zburzyła przekonanie, iż horror wojny w Europie należy do przeszłości. Zgodzi się pan z tym?

Niestety tak. Ta straszna wojna tuż przy naszej granicy świadczy o tym, że nie ma czegoś takiego jak stały pokój w Europie czy – jak wolą niektórzy – „koniec historii". Putin temu dobitnie zaprzeczył. A przecież symptomy takiego rozwoju sytuacji mogliśmy obserwować już od kilku lat. I my, jako Polska, głośno o tym mówiliśmy. Przestrzegał przed tym już w 2008 r. śp. prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Lech Kaczyński, mówiąc na wiecu w Tbilisi, stolicy Gruzji: „Dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na Polskę". Zachód wtedy nie do końca chciał słyszeć ten głos. Teraz się przekonujemy, że było warto słuchać. Rosjanie zburzyli cały powojenny porządek i architekturę bezpieczeństwa w Europie. Na takie działania nie może być zgody.

Według ostatniego badania CBOS aż 73 proc. badanych obawia się, że wojna na Ukrainie zagraża bezpieczeństwu Polski. Polska jest bezpieczna?

Jako minister obrony narodowej zapewniam, że Polska jest bezpieczna i że Polacy mogą spać spokojnie. Wojsko Polskie czuwa bezustannie – każdego dnia i każdej nocy. Rząd i MON konsekwentnie stawiają na rozbudowę i wzmocnienie naszego potencjału obronnego – zwiększamy liczebność Wojska Polskiego, skutecznie je modernizujemy oraz zgrywamy z wojskami sojuszniczymi, czyli inwestujemy w naszą interoperacyjność i silną pozycję w NATO. Wzmacniamy też sojusz z najsilniejszym mocarstwem świata, czyli ze Stanami Zjednoczonymi. Już ponad 10 tys. żołnierzy amerykańskich stacjonuje w Polsce. Razem ćwiczymy i razem będziemy bronić Polski, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Taka jest umowa między naszymi krajami. Jesteśmy zabezpieczeni na wielu poziomach, ale – co zawsze podkreślam i przypominam – naszym najważniejszym gwarantem bezpieczeństwa i przyszłości jest silne i dobrze wyszkolone Wojsko Polskie.

Nie jest tajemnicą, że Rosja liczyła na słabą reakcję Zachodu. Tymczasem Władimir Putin uruchomił procesy, których chyba się nie spodziewał. Swój akces do NATO zgłaszają Szwecja i Finlandia. Sojusz północnoatlantycki jest silny jak nigdy wcześniej?

NATO to najpotężniejszy sojusz polityczno-wojskowy w naszych dziejach. I już samo to jest „nieprzenikalną ścianą" dla Kremla. Wbrew intencji Putina inwazja na Ukrainę dodatkowo scaliła nasze myślenie i zwarła nasze szyki. Spowodowała, że jeszcze bardziej pogłębiła się dysproporcja sił pomiędzy NATO a Rosją. Putin chciał nas zdezorganizować, zdezorientować i osłabić. Liczył na brak decyzyjności, podziały i biurokrację. Otrzymał coś innego. Między innymi perspektywę rozszerzenia sojuszu o nowe państwa. NATO jest silniejsze, choć oczywiście skala reakcji i zaangażowania w pomoc Ukrainie różnych państw była różna. Polska z całą pewnością jest liderem, jeśli chodzi o wsparcie Kijowa na wielu płaszczyznach. Tak trzeba, bo Ukraińcy bronią nie tylko siebie, bronią też nas.

Kreml zakładał, że Ukraina wytrzyma co najwyżej kilka dni. Tymczasem wkrótce miną już cztery

eprasa.pl f4e3c581c3

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

miesiące, a Ukraińcy dalej się bronią. To nie byłoby oczywiście możliwe bez zachodniego uzbrojenia i amunicji. Pojawiają się jednak głosy, że Polska zbyt mocno zaangażowała się w pomoc Ukrainie i że nie jest to nasza wojna.

Jak już mówiłem, to jest wojna nas wszystkich. Wolna Ukraina to wolna i niepodległa Polska. Pomagamy i będziemy pomagać Ukrainie, jej rządowi i samym Ukraińcom. Na polu państwowym, dyplomatycznym, a także w obszarze wojskowym i czysto ludzkim. Polska jest ogromnym oparciem dla narodu ukraińskiego. Przyjęliśmy z otwartymi rękoma miliony ludzi – kobiet i dzieci – potrzebujących pomocy. To fenomen na skalę światową. To fenomen naszego narodu. Ukraina nie jest i nie zostanie sama. Będziemy stać u jej boku. Tak zachowują się liderzy. A takim jesteśmy w naszym regionie i nie jest to tylko moja opinia.

O ile Polska od razu pospieszyła z pomocą, o tyle naszego zachodniego sąsiada trzeba było mocno w tej sprawie naciskać. Nie dość, że Niemcy wstrzymywały sankcje, to w dodatku początkowo zaoferowały Ukrainie hełmy i nieprzydatny sprzęt. Jak pan ocenia dotychczasową postawę Berlina?

Niemcy od wielu lat, niestety, w wielu aspektach współpracowały z Putinem. Przekonywano nas, że to kwestie czysto biznesowe. Grano w ten sposób w bardzo niebezpieczną grę. Ważniejsze były Nord Stream, interesy, finanse. Czas pokazał, że Rosja stanowi faktyczne zagrożenie dla wszystkich w Europie. To niebezpieczny agresor z aspiracjami imperialnymi. I relatywizowanie tego faktu przez Berlin oraz mało zdecydowana reakcja po 24 lutego tylko potwierdziły, że tego nie było wolno robić. Z dyktatorami, terrorystami nie umawiamy się na pogawędki, z nimi po prostu się nie rozmawia.

Polska przekazała Ukrainie ponad 200 czołgów T-72. Wiadomo, że nasze braki częściowo miały uzupełnić Niemcy. Przyznał pan jednak niedawno, że negocjacje „nie idą tak, jakbyśmy sobie tego życzyli". Niemcy nie wywiązują się z wcześniejszych zobowiązań?

Jesteśmy na etapie konsultacji i poszukiwania rozwiązań. Faktem jest, że to, co Niemcy obiecały, czyli wypełnienie braków w sprzęcie wojskowym wynikających ze znaczących donacji Polski dla Ukrainy, nie doszło do skutku. Dodam dla wyjaśnienia, że chodzi o ciężki sprzęt. Liczymy na szybkie znalezienie optymalnych i satysfakcjonujących obie strony efektów. My naprawdę dajemy bardzo duże wsparcie. Oczekujemy tego samego również od naszych sąsiadów i partnerów. Ukraińcy walczą obecnie za całą Europę i muszą czuć wsparcie wszystkich państw Zachodu.

Rozmawiamy o Niemczech, ale i częste rozmowy prezydenta Francji Emmanuela Macrona z Władimirem Putina również są przedmiotem kpin. Mówimy o dwóch silnych państwach UE, które roszczą sobie prawo do decydowania o jej losach. Zapytam wprost: Czy wierzy pan w trwałą zmianę podejścia Zachodu, w tym przede wszystkim Berlina i Paryża, do Rosji i Władimira Putina?

Mam na to nadzieję, choć wszyscy widzimy, co się dzieje. Potrzebna jest jeszcze bardziej zdecydowana reakcja tzw. świata zachodniego. Musimy kontynuować i utwardzać sankcje. Wspierać Ukrainę, jak tylko możemy. Ścigać i karać zbrodniarzy. Ale przede wszystkim nie wolno nikomu zacząć akceptować agresji Rosji, przyzwyczajać się do niej. Musimy zatrzymać rosyjską machinę wojenną i zablokować finansowanie rosyjskiego potencjału wojskowego. Sankcje muszą być mocne i skuteczne, muszą wywierać realną presję na Kreml. W imię naszej wolności oraz wolności następnych pokoleń. Zło musi być nazwane i zwyciężone.

Przejdźmy na nasze podwórko. Wojna na Ukrainie sprawiła, że sprawy związane z bezpieczeństwem mają priorytet. Właściwie nie ma tygodnia, by nie informował pan o kolejnych umowach czy planach związanych z modernizacją armii. Abramsy, himarsy, patrioty, drony, śmigłowce... sporo tego.

Modernizacja sprzętu Wojska Polskiego to jeden z moich priorytetów. Mówiłem o tym od początku mojego urzędowania i konsekwentnie realizuję ten cel. Wymieniamy posowiecki sprzęt, zamawiamy

eprasa.pl f4e3c581c3

i kupujemy nowoczesne uzbrojenie. Polscy żołnierze to wybitni profesjonaliści, silnie zmotywowani, ale muszą dysponować nowoczesnymi technologiami i sprzętem. Teraz właśnie taki dostają – najnowocześniejszy i najlepszy na świecie. Kupujemy patrioty, abramsy, myśliwce F-35. Niedługo dostawy bayraktarów. Kilka dni temu ruszyliśmy z procesem pozyskania kolejnych baterii systemu Patriot. Wysłaliśmy także zapytanie ofertowe, by pozyskać dla Polski dodatkowych 500 wyrzutni Himars, które mogą razić cel na odległość do 300 km. Staniemy się tym samym potęgą artyleryjską w Europie. To sprzęt wojskowy, który stanowi absolutną pierwszą ligę światową. A ostatni czas to przecież jeszcze intensyfikacja zakupów uzbrojenia. Jest to możliwe dzięki wprowadzeniu – w atmosferze narodowej zgody, co mocno podkreślam – Ustawy o obronie Ojczyzny. To ważny dokument, który porządkuje polską obronność, daje nowe mechanizmy finansowania wojska i ustawia priorytety bezpieczeństwa naszego kraju.

Co jest dla pana priorytetem?

Moimi trzema filarami urzędowania jako szefa MON pozostaje niezmiennie zwiększenie liczebności naszych sił zbrojnych, skuteczna modernizacja, czyli nowy sprzęt wojskowy oraz trwałe umacnianie pozycji Polski w strukturach sojuszniczych NATO. Taką politykę realizuję konsekwentnie od kilku lat i przynosi ona efekty. Liczebność zwiększyliśmy, i to znacznie. W 2015 r. mieliśmy jedynie ok. 95 tys. żołnierzy, teraz jest 114 tys. wojsk operacyjnych i ponad 35 tys. Wojsk Obrony Terytorialnej. O nowym sprzęcie już mówiłem – są to skoki generacyjne dla Wojska Polskiego. Wycofujemy sprzęt postsowiecki, zastępujemy go produktami wojskowymi najlepszymi na rynku. W NATO jesteśmy postrzegani jako wiarygodny sojusznik z dużą siłą wojskową i cennym doświadczeniem. To na nas opiera się obrona wschodniej flanki sojuszu. Dla USA jesteśmy strategicznym partnerem. Zwiększa się liczba ich instalacji wojskowych u nas, przyjeżdżają kolejni żołnierze.

Część ekspertów wskazuje przede wszystkim na dwa obszary, które wymagają wzmocnienia – obrona przeciwlotnicza i Marynarka Wojenna. To nasze pięty achillesowe?

No to zaskoczę, bo właśnie oba wymienione obszary w ostatnim czasie zostały w znaczący sposób wzmocnione. Dla Marynarki Wojennej ruszył program „Miecznik", powstaną nowoczesne fregaty. Wybuduje je polski przemysł stoczniowy. Natomiast w obronie powietrznej możemy obserwować formowanie nowoczesnego, wielowarstwowego, zintegrowanego systemu, który powstaje na bazie programów „Wisła" i „Narew". Proszę mi wierzyć, że sprawy zdolności naszych sił zbrojnych traktuję z największą powagą. Po to powołałem Agencję Uzbrojenia, która upraszcza cały system i gwarantuje wysoką jakość zamówień. Wszystko to po to, by Wojsko Polskie było nowoczesne i sprawne.

Nasz przemysł może wytwarzać dobry i skuteczny sprzęt. To ważne w kontekście zdolności państwa w trakcie konfliktu

Liczne kontrakty to również ogromne pieniądze. Na ile musimy kupować uzbrojenie, a na ile możemy oprzeć się na naszym przemyśle?

Wyznaję zasadę, że jeżeli polski przemysł jest w stanie dostarczyć dobry sprzęt do jednostek wojskowych w określonym czasie, to takie zamówienie na pewno trafi do polskich zakładów i fabryk. Natomiast jeżeli nie będzie w stanie, to musimy szukać wśród zagranicznych partnerów. Bezpieczeństwo Polski nie ma ceny, a zagrożenia są stale obecne. Sprzęt wojskowy jest w obecnych czasach podstawą skuteczności wojsk. Nawet najlepiej zmotywowani żołnierze nie będą w stanie zwyciężać, jeżeli nie będą mieli odpowiedniego uzbrojenia. I naszą rolą, jako rządzących, jest, by taki sprzęt Wojsko Polskie miało. Wróciłem właśnie z podróży do Korei, gdzie także rozmawiałem o potencjalnych zakupach sprzętu sprawdzonego, który mógłby być także produkowany w Polsce. Pamiętajmy, że teraz jesteśmy państwem flankowym i liczy się sprzęt na tu i teraz, a nie za dekadę.

Karabinki Grot czy pioruny to chyba nasza najlepsza reklama?

Faktycznie, choć wiedzieliśmy, że to dobry sprzęt długo przed wybuchem wojny. A przypomnę, że szczególnie Grot był swego czasu mocno przez niektórych krytykowany. Dzisiaj już nie ma takich wątpliwości. Mamy w Polsce zdolnych inżynierów. Nasz przemysł może wytwarzać dobry i skuteczny sprzęt. To ważne w kontekście zdolności państwa w trakcie konfliktu. To nasze zaplecze obsługowe i gwarant dostaw.

Jeszcze przed rosyjską inwazją razem z wicepremierem Jarosławem Kaczyńskim przygotował pan Ustawę o obronie Ojczyzny, która przewiduje m.in. 300-tysięczną armię. To odpowiedź na współczesne zagrożenia?

Jest dokładnie tak, jak pan to ujął. Nowa ustawa z mechanizmem budowy licznego, 300-tysięcznego Wojska Polskiego jest odpowiedzią na współczesne zagrożenia. I – jak pokazuje sytuacja – to odpowiedź potrzebna, dobrze wykalkulowana oraz – jak dowodzi konflikt na Ukrainie – konieczna. My tworzymy nowe jednostki, a nie je likwidujemy tak, jak robiły poprzednie ekipy, dlatego powstała nowa dywizja na wschodzie – 18. Dywizja Zmechanizowana i dlatego powstają nowe brygady Obrony Terytorialnej. Nowa ustawa wprowadza nowe możliwości służby wojskowej. Jesteśmy elastyczni w procedurze rekrutacji. Wprowadziliśmy wiele zachęt, w tym finansowych. Od kilku tygodni prowadzimy nabór do nowej formuły pełnienia służby wojskowej – dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej. To roczna służba, dla każdego z początkowym wynagrodzeniem na poziomie 4,5 tys. zł i licznymi możliwościami rozwoju. Wszystko po to, by wykorzystać potencjał młodego pokolenia. Polacy popierają Wojsko Polskie i chcą służyć krajowi.

Do wojska zgłaszają się ochotnicy, a Polacy masowo ruszyli na strzelnice. Jaką lekcję powinniśmy wyciągnąć z wojny na Ukrainie?

Przede wszystkim taką, że wolność i pokój nie są dane raz na zawsze. O to trzeba stale zabiegać, dbać i walczyć. W myśl zasady – chcesz pokoju, szykuj się do wojny. Musimy mieć silne, nowoczesne i liczne wojsko. Tylko tak będziemy skuteczni w odstraszaniu przeciwnika. Ponadto musimy stawiać na masowość poznawania podstaw obsługi broni i zasad zachowania się w kryzysie. Świadomość musi być wysoka, ale i wysoka musi być gotowość do podjęcia walki w obronie ojczyzny. Motywacja w walce o swój kraj, o wolność jest szalenie ważna. Taką postawę prezentują właśnie nasi bracia Ukraińcy, którzy dzielnie stawiają opór niesprawiedliwej i niesprowokowanej rosyjskiej agresji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4e3c581c3

Kaczyński budzi PiS z letargu

Piotr Semka

PiS musi wziąć się w garść i w tym celu Kaczyński odchodzi z rządu, aby skupić się na ponownym meblowaniu partii. Prezes postara się powściągnąć lejce, którymi trzyma pod kontrolą lokalnych baronów. Zobaczymy, na ile będzie skuteczny w mobilizowaniu partii rok i parę miesięcy przed wyborami

To była pierwsza konwencja PiS od ponad roku. I nieprzypadkowo jedynym mówcą na niej był Jarosław Kaczyński. Wygłosił długą, ponadgodzinną mowę, nie mając żadnych kartek z przygotowanym wystąpieniem. Lider PiS ogłosił mobilizację partii i wyraźnie wystąpił w roli kogoś, kto partię chce wybudzić z letargu. Gdy przybycie Kaczyńskiego delegaci na konwencji przywitali hasłem „Zwyciężymy", ten dość ironicznie odparł: „Tak, zwyciężymy, ale może zanim zwyciężymy, to jeszcze przez chwilę mnie posłuchajcie". Kaczyński zapowiedział ponowny objazd po kraju polityków PiS, którzy mają opowiedzieć Polakom o sukcesach rządu. „To stara, wypróbowana metoda" – deklarował lider partii rządzącej.

Przed kongresem część liberalnych mediów zaczęła publikować rzekome przecieki z Nowogrodzkiej o pomyśle zamiany „500+" na „700+". Na zjeździe okazało się, że były to tylko dziennikarskie kaczki. Ale to, jak zdecydowanie odrzucono to suflowanie przez część mediów zwiększonej hojności PiS dla obywateli, dobrze pokazało, jak niewielki margines działania ma rząd. „To była ewidentna wrzutka naszych przeciwników. Wiedzą oni dobrze, że budżet nawet niewielkimi ruchami można znacząco rozchwiać. Zakładano, że wypuszczenie tej pseudosensacji psychologicznie zmusi PiS do zamienienia pięćsetki na siedemsetkę, co jeszcze bardziej utrudni naszą sytuację" – irytuje się jeden z uczestników konwencji.

PiS-owcy mieli jednak pewne powody do optymizmu. Polacy powoli zapominają o wpadce z Polskim Ładem. Naczelnik z Nowogrodzkiej zażegnał wewnętrzy konflikt z Solidarną Polską, choć Zbigniew Ziobro nie pojawił się jako gość na konwencji PiS.

Idealny moment do zakreślenia taktyki na lato i jesień. Kaczyński stał na mocnym gruncie, kiedy odnosił się do kwestii bezpieczeństwa państwa, o które w jego opinii PiS zadbał odpowiednio wcześnie i odpowiednio skutecznie. Przywołał np. wojnę na Ukrainie dla podkreślenia, że takie tradycyjne zasady jak patriotyzm, poczucie więzi narodowej i gotowość do walki są w dzisiejszych czasach najbardziej skuteczną reakcją na agresywną politykę Rosji.

Po raz pierwszy w tak wyraźny sposób zaprezentował myślenie o Polsce swego nieżyjącego już brata Lecha Kaczyńskiego jako oficjalną ideologię partii. Nieprzypadkowo zaczął swoje wystąpienie od słów brata Lecha: „My powinniśmy pamiętać – zarówno ci, którzy byli z nim, kiedy działał, kiedy żył, jak i ci, którzy przyłączyli się później, rozumiejąc, że to on miał rację, że to jego wskazania są właściwe dla Polski. My wszyscy musimy być kontynuatorami jego dzieła, jego myśli. Musimy iść tą drogą, którą wskazał".

Kaczyński przypominał, że to PiS zdobył pieniądze na świadczenia socjalne, które wprowadziła rządząca partia. Przy okazji tej konwencji krytyka opozycji była bardzo konkretna. Prezes PiS wskazał, że opozycji wciąż nie można ufać w kwestii zachowania programów pomocy najuboższym i że można podejrzewać, że powrócą do polityki degradowania funkcji państwa, przeciwstawiania państwa regionom czy odchodzenia od idei państwa narodowego.

Zbyt wielu szczegółów Jarosław Kaczyński jednak nie podał. Jak wskazywał: „Na pewno będą nowe pomysły i nowe działania. Musimy inflację opanować. Nie będę tutaj przedstawiał żadnych scenariuszy, terminów. Bo naprawdę nikt odpowiedzialny, nawet wśród najlepszych ekonomistów, nawet wśród noblistów, nawet oni nie potrafią tego, a cóż prosty polityk".

Lider PiS wezwał do opowiadania o sukcesach rządu, gdyż „kto ma to opowiedzieć, jeśli nie my, jeśli nie partia. My to musimy zrobić, dlatego ogłaszam mobilizację Prawa i Sprawiedliwości, całej Zjednoczonej Prawicy".

Nowe pomysły programowe mają być zaprezentowane bliżej terminu wyborów parlamentarnych. Politycy PiS mówili

eprasa.pl f4e3c581c3

niezobowiązująco o początku przyszłego roku.

PEŁNĄ PARĄ PRZEZ CHASZCZE

To, że była to pierwsza konwencja od roku, nie dziwi. Tak jak wszystkie partie PiS dopiero wychodzi z marazmu po dwóch latach COVID. Na dodatek na ten czas nałożyły się najpierw konflikty na granicy z Białorusią, a potem wojna na Ukrainie. Wytworzyło to sytuację, w której rząd harował na pełnych obrotach, ale rządząca partia popadała w bierność. Jeden z posłów PiS skarży się: „Prawie nie ma posiedzeń klubu. Często na krótko przed głosowaniem jesteśmy informowani, jakie stanowisko mamy zająć, i do widzenia. Posłowie z dłuższą praktyką sejmową mogą tylko wspominać, jak w epoce AWS każdy mógł zapytać premiera Jerzego Buzka czy przewodniczącego Mariana Krzaklewskiego o interesującą go kwestię. Pamiętam czasy z lat 90., kiedy szef klubu interesował się każdym posłem, aby w razie czego zmobilizować go do działania. Teraz, szczególnie jeśli jest się posłem z ostatnich rzędów, można być biernym i nikt złego słowa nie powie".

Rozmowy z posłami PiS pokazują, że gromadzi się powoli liczba nierozwiązanych spraw w partii. Jeden z polityków PiS: „Dużo z nas mówi, że w partii jakiś kokon zamknął się i otoczył całkowicie prezesa Kaczyńskiego. Domyślam się, że jakieś wąskie grono dyskutuje nad najnowszymi wydarzeniami, ale tacy posłowie jak ja dostają do zaakceptowania najnowszą linię partii czy też przekazy dnia".

Jeden z posłów opowiada dosyć znamienną historię. „Parę tygodni temu jedna z sondażowni opublikowała symulację szans na kolejną kadencję prezydencką i wsadziła do tego rankingu Marka Magierowskiego, obecnego ambasadora RP w Waszyngtonie. Jeden z zachodnich korespondentów wziął całą tę hucpę serio i pytał mnie, czy Magierowski miałby szansę na start w wyborach. Gdy odpowiedziałem, że dla mnie to zupełnie księżycowy scenariusz – długo patrzył na mnie, a potem bez słowa się odsunął".

JEST DOBRZE, ALE NIE BEZNADZIEJNIE

„Boże, aleśmy się wszyscy postarzeli" – ta uwaga, która wyrwała się jednemu z lokalnych działaczy PiS, była komentarzem do wyglądu pierwszych dwóch rzędów krzeseł na konwencji, gdzie dominował wiek 60+. Tak naprawdę spośród młodszych osób najbardziej rzucali się w oczy premier Morawiecki i paru młodszych wicepremierów. Problem pokoleniowy w PiS to kwestia, o której niespecjalnie jej politycy mają ochotę rozmawiać. Istotnie nie widać żadnej wyrazistej ścieżki kariery, nawet dla tych polityków PiS, którzy przekraczają pięćdziesiątkę. Urodzony w 1972 r. Adam Bielan przejął dużą część frakcji Porozumienia w Zjednoczonej Prawicy, ale Kaczyński nie wysuwa go tak do przodu, jak było to udziałem Jarosława Gowina.

Teraz, gdy Gowin jest chętnie zapraszany do TVN jako gość „Faktów po Faktach", nie widać podobnej przemyślanej polityki dla równoważenia szykowanej przez Władysława Kosiniaka-Kamysza Koalicji Polskiej. Choć z drugiej strony chełpliwe zapowiedzi byłego prezydenta Bronisława Komorowskiego, że nowa koalicja z łatwością przejmie wyborców PiS, niespecjalnie się realizują. Ale problemem jest też wytworzenie się dosyć pewnej siebie grupy po dwóch–trzech posłów PiS, którzy chcą rządzić swoim terenem. Szefowie lokalnych rozgłośni Polskiego Radia i lokalnych ośrodków TVP skarżą się na telefony od lokalnych baronów, którzy są przekonani, że za rzadko bywają zapraszani albo że zapraszani są nie ci politycy PiS, którzy w ich opinii zapraszani być powinni.

Temu zbyt dobremu samopoczuciu PiS-owskich baronów może przynieść kres idea Kaczyńskiego, aby w miejsce dotychczasowych regionów partii tożsamych z liczbą województw przejść na formułę ok. setki mniejszych okręgów, odpowiadającej siatce okręgów wyborów do Senatu. Jeden z delegatów na konwencję mówi: „Obawiam się, że nikt w partii nie wyciągnął odpowiednich wniosków z rozczarowującej kampanii PiS do Senatu w 2019 r. Wtedy po raz pierwszy okazało się, że iluś lokalnych baronów rozleniwiło się i nie prowadziło kampanii tak, jakby walczyli o wszystko. Jeśli to się powtórzy w kolejnych wyborach, to polegniemy".

Ale w dłuższych rozmowach z politykami PiS wychodzi jeszcze jedna bolączka. Poza rządem partia nie otwiera się na młodsze pokolenie. Gdzieś w otoczeniu Kaczyńskiego pojawiali się tacy młodzi jak np. Michał Moskal czy Waldemar Buda, ale wszyscy oni utonęli gdzieś w ministerstwach. Owszem, Waldemar Buda, wiceminister funduszy i polityki regionalnej, zabłysnął niedawno, doprowadzając do końca negocjacje z Brukselą w sprawie KPO, ale jego krytycy twierdzą, że wynegocjowana ugoda będzie jeszcze wielokrotnie wychodzić PiS bokiem.

W rezultacie sprawa przyszłości pieniędzy z KPO może wisieć jak cień nad partią. Jeśli okaże się, że Bruksela będzie mnożyć żądania pod adresem Morawieckiego, to ziobryści chętnie wejdą w swoją ulubioną tonację: „A nie mówiliśmy?!". Tym bardziej że narzucony przez Brukselę aneks do ugody z Warszawą z listą rozmaitych zaleceń Brukseli dla rządu jest bardzo szeroki. Marek Suski, pytany o ten problem, już reaguje irytacją. W Ra-

W dłuższych rozmowach z politykami PiS wychodzi jeszcze jedna bolączka. Poza rządem partia nie otwiera się na młodsze pokolenie

eprasa.pl f4e3c581c3

To, że była to pierwsza konwencja od roku, nie dziwi. Tak jak wszystkie partie PiS dopiero wychodzi z marazmu po dwóch latach COVID

FOT. PIS.ORG.PL

diu RMF FM mówi: „Głosowałem za KPO, ale nie za żadnymi aneksami. Nikt nie przedstawiał tego rodzaju rzeczy".

WIELKA GEOPOLITYKA I SKRZECZĄCA TERAŹNIEJSZOŚĆ

Ekipa PiS porusza się pomiędzy romantyzmem wielkich wizji długoplanowego strategicznego sojuszu z Ukrainą, z realnymi problemami związanymi z narastającą inflacją. Jarosław Kaczyński w ostatnich miesiącach silnie zaangażował się w kwestie zagraniczne i wojskowe, co skłoniło prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego do odznaczenia go bardzo wysokim odznaczeniem – Orderem Księcia Jarosława Mądrego.

Ale wojna się przeciąga i w jakimś sensie powszednieje. A im bardziej poczucie historycznej wyjątkowości wydarzeń będzie bladło, tym bardziej PiS będzie stawał wobec zaniepokojenia ludzi rosnącą inflacją. Politycy Prawa i Sprawiedliwości przypominają w tej sytuacji, że istotą wyboru przy urnach w czasie najbliższej elekcji nie będzie to, że wyborcy uważają PiS za ideał, ale porównanie oferty rządzącej partii z ofertą opozycji. Jeden z posłów PiS mówi: „Polacy wiedzą, że rosną koszty życia, ale rozumieją, że przy naszych rządach dostają maksymalnie duże rozmaite tarcze osłonowe w granicach możliwości budżetu. Jednocześnie rozumieją, że jeżeli do władzy przyjdzie z powrotem Platforma, Hołownia czy PSL, to na pewno troska o poziom ich życia nie będzie spędzała snu z oczu polityków ewentualnej nowej koalicji".

Na dodatek Platforma znowu nie potrafi zapanować nad przekazem swoich polityków. Rafał Trzaskowski, jako gość programu Kuby Wojewódzkiego, z dumą wspomina, że w młodości był „dupiarzem". Izabela Leszczyna swoimi wypowiedziami odnowiła obawy o istnienie „500+" w razie odsunięcia PiS od władzy, a Donald Tusk na wiecach obiecuje możliwość dokonania aborcji do 12. tygodnia rozwoju płodu czy legalizację związków partnerskich. „Jeśli chodzi o kwestie adopcji dzieci przez osoby jednopłciowe, to debata w tej sprawie dopiero przed nami" – mówił Tusk na spotkaniu w Wałbrzychu.

Co więcej, lider PO znów sięga po agresywny, jak najgorzej kojarzący się ludziom wierzącym język. W Wałbrzychu mówił, że aborcja „musi być decyzją kobiety w porozumieniu z lekarzem, a nie decyzją księdza, prokuratora i działacza PiS".

Taki ton Platformy na pewno będzie przez PiS wykorzystywany jeszcze nieraz w działaniach propagandowych w ciągu najbliższych miesięcy. Na razie partia musi wziąć się w garść i w tym celu Kaczyński odchodzi z rządu, aby skupić się na ponownym meblowaniu partii. Mówi się o możliwości rozdzielenia wyborów do Sejmu i do samorządu, tak aby pomiędzy jednym a drugim głosowaniem było przynajmniej parę miesięcy, a – jak można się domyślić – Kaczyński postara się powściągnąć lejce, którymi trzyma pod kontrolą lokalnych baronów. Zobaczymy, na ile będzie skuteczny w mobilizowaniu partii rok i parę miesięcy przed wyborami.

Jeden z liderów PiS wskazuje: „Jeśli uda się zwyciężyć w wyborach, nawet jeśli nie uzyskamy od razu większości, to na pewno znajdą się chętni do pomocy w wykreowaniu nowego rządu. Byleby tylko zająć pierwsze miejsce i uzyskać od prezydenta Dudy misję utworzenia rządu. Potem będzie już z górki".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4e3c581c3

Oferta (nie) do odrzucenia

Środowiska aborcyjne nie ustają w naciskach na polskie władze, domagając się ułatwień w aborcji dla uciekających przed wojną Ukrainek FOT. PIOTR ŻAGIELL/EAST NEWS

Zuzanna Dąbrowska

Gdyby za przyjęcie uchodźców z Ukrainy w Polsce odpowiedzialni byli rodzimi postępowcy, „szowinistyczne" lektury płonęłyby na stosach, a aborcja byłaby dostępna na każdym rogu

Polska oferuje przybyszom ze wschodu dużo i jeszcze więcej. Możliwość uzyskania numeru PESEL otwiera drogę do legalnej pracy. Państwo zapewnia darmową opiekę zdrowotną i edukację. Ukraińskie matki mogą pobierać świadczenia społeczne – m.in. „500+" oraz wprowadzony od tego roku Rodzinny Kapitał Opiekuńczy. Polacy, jak zawsze w sytuacji kryzysowej, pokazali najbardziej szlachetną stronę narodowego charakteru. Nikt w Europie nie zrobił dla uchodźców więcej niż my. Jednak dla strony lewicowo-liberalnej to wszystko nie ma znaczenia w obliczu agendy ideologicznej, która jest dla nich sprawą najważniejszą.

W punkcie pomocy dla uchodźców prowadzonym przez lubuski urząd marszałkowski przygotowano kosz z „produktami pierwszej potrzeby". Umieszczono w nim… prezerwatywy. Uwagę na absurd całej sytuacji zwrócił redaktor naczelny lokalnej „Gazety Lubuskiej", wskazując, że przecież wsparcie ma trafiać przede wszystkim do kobiet i dzieci. Według danych MSWiA na koniec kwietnia zaledwie 3,8 proc. z miliona uchodźców, którzy otrzymali numer PESEL, to mężczyźni w wieku produkcyjnym. Pozostali to dzieci, kobiety oraz mężczyźni powyżej 65. roku życia. Kogo więc urząd chce „obdarować" prezerwatywami? Nastolatków? Kobiety z dziećmi, których mężowie zostali w kraju i walczą z Rosjanami? Pytanie pozostaje bez odpowiedzi. To jednak nie koniec. Ten „artykuł pierwszej potrzeby" proponowany przez lubuskich urzędników ma dość krótki termin ważności, który upływa w lipcu. Dokładnie taką informacją opatrzono kosz z prezerwatywami. Uchodźczynie są więc nie tylko zachęcane do korzystania z prezerwatyw, lecz także do zrobienia tego szybko.

CO PRZESZKADZA LEWICY

Okazało się, że za pomysłem nie stały władze samorządowe, lecz aktywista Instytutu Równości. Prezerwatywy przekazała jedna z firm. Miały one być rozdawane podczas różnych imprez i wydarzeń „edukacyjnych" (Instytut przyznaje się do rozdawania ich m.in. w szkołach), ale wiele z nich odwołano. I tak prezerwatywy znalazły się w prowadzonym przez lubuski urząd punkcie pomocy. Władze nie zauważyły w tym niczego zdrożnego i pozwoliły, aby w ten absurdalny sposób nieść „pomoc" uciekinierom wojennym.

Oczywiście również Kubiak nie dostrzega w rozdawaniu prezerwatyw ukraińskim kobietom mocnego dysonansu. Ideologia jest przecież po to, żeby ją wprowadzać w życie. Nie jest przypadkiem, że lokalne władze – prezydent Zielonej Góry Janusz Kubicki oraz marszałek województwa Elżbieta Polak – nie potępiły rozdawania prezerwatyw uchodźcom. Wystarczy bowiem przejrzeć media społecznościowe,

eprasa.pl f4e3c581c3

aby zorientować się w aksjologicznych sympatiach włodarzy lubuskiego. Dodatkowo Kubicki i Polak udzielili patronatu organizowanemu przez Instytut Równości (ten sam od prezerwatyw) Marszowi Równości. Marszałek województwa patronowała też „Rankingowi szkół przyjaznych LGBTQ+", który zainicjowała ta sama „równościowa" organizacja. Widać, że władze samorządowe idą ramię w ramię z prohomoseksualnymi aktywistami. Nie dziwi więc, że nie zaoponowały wobec umieszczenia prezerwatyw w punkcie pomocy uchodźcom.

Promocja rozwiązłości nie jest jedynym polem, na którym lewica próbuje dziś realizować swoją agendę w związku z napływem Ukraińców. W polskich szkołach uczy się ok. 200 tys. dzieci uchodźców. Większość, bo aż 140 tys., to uczniowie szkół podstawowych. Resort edukacji od początku stawia sprawę jasno – Ukraińcy są przyjmowani, otrzymują wsparcie, ale muszą się dostosować. Nie będzie dwóch systemów edukacji – tego dla Polaków i drugiego, osobnego dla uchodźców. Dotyczy to także egzaminów. Uczniowie z Ukrainy mogą przystępować zarówno do matury, jak i do egzaminu ósmoklasisty w Polsce, co było elementem uzgodnień Warszawy i Kijowa. Ułatwieniem mają być polecenia w językach ukraińskim lub rosyjskim, uczniowie mogą korzystać ze słowników i mają więcej czasu. Odpowiedzi jednak muszą być udzielone po polsku. To według niektórych absolutny skandal. I to nie tylko ze względu na ewentualną różnicę w poziomach wiedzy.

Poznańska „Gazeta Wyborcza" opublikowała tekst, w którym cytuje emerytowanego polonistę z Wielkopolski. – „Reduta Ordona" Adama Mickiewicza dla ukraińskich uczniów? Przecież w przypadku niektórych z nich walczącymi z Polakami mogli być ich przodkowie – mówi oburzony Jacek Król. Autorytet „GW" nie kryje także oburzenia faktem, że młodzi Ukraińcy, aby przygotować się do egzaminu ósmoklasisty, będą musieli zapoznać się z okołowojennym klasykiem, czyli „Kamieniami na szaniec". – Młodzież musi mieć wiedzę o Szarych Szeregach i ich roli w Warszawie w trakcie wojny z hitlerowcami. A Ukraińcy mają swój opis historii drugiej wojny światowej – wskazuje polonista. Wydaje się zatem, że aby zadowolić stronę lewicowo-liberalną, z kanonu powinny zostać wykreślone wszystkie lektury, które w jakikolwiek sposób poruszają kwestie drażliwe. Polskości uczyć nie wolno, bo komuś może być przykro (przy czym śmiem wątpić, aby ukraińskie dzieci czuły się urażone polską historią; najczęściej problem z nią mają „unijczycy", a nie obcokrajowcy). Postulat znany nie od dziś, tylko nie w wymiarze ukraińskim, ale „kolonialnym". Nie tak dawno temu poseł Lewicy Maciej Gdula nawoływał, aby skończyć z czytaniem w szkołach „W pustyni i w puszczy". Powód? „To jest lektura przesycona rasizmem. Jest w niej nie tylko rasistowski język, język, który dzisiaj razi, np. użycie słowa »Murzyn«, lecz także są tam same rasistowskie klisze dotyczące osób czarnych" – przekonywał hiperpoprawny parlamentarzysta.

Cel jest jasny. Skoro już aborcja byłaby dostępna dla uchodźczyń, to dlaczego miałyby być jej pozbawione Polki?

Fala uchodźców z Ukrainy jest zatem postrzegana jako kolejna szansa do walki z patriotyzmem i wbijania do głów przekonania, że przywiązanie do wszystkiego, co narodowe, to zaściankowe kołtuństwo i przejaw szowinizmu. Cytowany przez „Wyborczą" polonista z Wielkopolski stwierdza bowiem, że minister edukacji dał popis szowinizmu właśnie, każąc przystępować ukraińskim dzieciom do egzaminów w takiej, a nie innej formie.

„OSOBY UCHODŹCZE" I ABORCJA

Oczywiście Polska jako kraj dalece nietolerancyjny jest także zagrożeniem dla osób LGBT. Dlatego wszelkiej maści Lambdy przygotowały ofertę i dla nich. Nie byłoby w tym nic złego, bo każdy może pomagać, komu chce. Lewica nie byłaby jednak sobą, gdyby nie wykorzystywała rosyjskiej agresji do ataku na „polski ciemnogród". – Osoby uchodźcze LGBT w pierwszym momencie wcale nie różnią się od wszystkich osób uchodźczych. Wszyscy, którzy przyjeżdżają do Polski, uciekają przed wojną. Ważne jest, by zaplanować dla nich długofalową pomoc. Nie wyobrażam sobie, żeby te osoby, które będą szły do psychologa, nie mogły się bezpiecznie wyoutować, bo spotkają się z dyskryminacją i usłyszą to, co dalej można w Polsce usłyszeć: że wojna to kara za bycie osobą LGBT – stwierdza w rozmowie z „Newsweekiem" Julia Maciocha, szefowa Parady Równości. To właściwie kwintesencja sposobu funkcjonowania aktywistów – stworzyć problem, aby następnie bohatersko z nim walczyć (i przy okazji kosić kasę). Cóż z tego, że w polskiej debacie publicznej ani razu nie padło stwierdzenie, że „wojna to kara za bycie LGBT" i brzmi to kompletnie głupio? Pani Julia tak sobie pomyślała, więc tak jest.

LICENCJA NA ZABIJANIE

W tym zestawie ideologicznych „wartości", proponowanych uchodźcom przez rodzimych postępowców, nie może zabraknąć oczywiście „podstawowego prawa człowieka", jakim jest aborcja. Właściwie od pierwszych dni rosyjskiej agresji polskie aktywistki histerycznie domagały się „wolnej aborcji" dla Ukrainek (pisałam o tym w „Do Rzeczy" nr 14/2022). Aborcyjny Dream Team forsuje narrację, że obowiązkiem Polski jest zapewnienie uchodźczyniom takich samych warunków, jakie miały w swoim kraju. Sprawą zainteresowały się już media zagraniczne. Niemiecka „Süddeutsche Zeitung" wystawiła laurkę polskim aborcjonistkom, które „mają dużo pracy". Jednocześnie Polska została ukazana jako zaścianek, do którego Ukrainki nie chcą przyjeżdżać ze względu właśnie na prawo aborcyjne „należące do najbardziej restrykcyjnych w Europie". „SZ" napisała o planach przetransportowania do Warszawy 380 kobiet z Buczy pod Kijowem. 120 z nich miało być ofiarami gwałtów. Połowa z nich przypuszczała, że mogła zajść w ciążę. „Gdy Ukrainki dowiedziały się, że w Polsce aborcja jest bardzo utrudniona, zdecydowały się na pozostanie w Ukrainie" – pisze autorka tekstu w niemieckim dzienniku, powołując się na stołeczne radne z klubu PO.

Środowiska aborcyjne nie ustają w naciskach na polskie władze, domagając się ułatwień w aborcji dla Ukrainek. Nie ma jednak złudzeń, że to realizacja taktyki nazwanej przez byłego wiceprezydenta Warszawy, zadeklarowanego geja Pawła Rabieja, „etapowaniem" – wielkie zmiany zaczyna się od małego kroku. Skoro już aborcja byłaby dostępna dla uchodźczyń, to dlaczego miałyby być jej pozbawione Polki? Cel jest jasny. Zabijanie nienarodzonych bez ograniczeń. Rzekome dobro Ukrainek jest jedynie pretekstem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4e3c581c3

Małpowanie

Jerzy Karwelis

Ja już sobie obiecałem, że jeśli świat kupi tę małpią ściemę z tą ospą, to się załamię. Bo to będzie oznaczało, że można nam już po tych dwóch latach wszystko sprzedać

Śledzę to i się załamuję praktycznie od początku. Mechanizm się powtarza, bo – przypomnę – pod koniec omikronu było już mnożenie nowych wariantów koronawirusa, ale jakoś nie pykło. Każdy nasłuchiwał wieści mutacyjnych znanego covidowego pochodzenia. Te wpadały i wypadały, jakby testowano tematy. Teraz mamy inną sytuację – jesteśmy po „pieredyszce", czyli spadku tematu COVID, który został najechany właściwie 24 lutego. Mieliśmy więc przerwę zrodzoną z nadziei, że to po wszystkim, jakby koniec tematu. Ponadto po takiej przerwie wraca temat niby taki sam, ale już nie dokładnie. Czyli jest patogen, ale już nie covidowy, strach ten sam, choć małpia ospa może… budzić ciekawość.

A więc z czym mamy do czynienia? Choroba to rzadka, jednak kuzynka ospy prawdziwej, którą ludzkość zdała się wyeliminować. Pochodzi od małp (jak podobno człowiek), a więc występuje raczej tam, gdzie małpy. Ostatnio pojawiła się dziwnym sposobem w wielu miejscach na Zachodzie, w Stanach, a także w Europie. W ilościach pomijalnych, ale – jak pisaliśmy – spanikowanym społecznościom i czujnym mediom to nie ujdzie uwadze, choć lata wcześniej takie rzeczy się zdarzały, i to na wielekroć większą skalę. Po COVID nic już nie będzie takie samo.

Co to za choroba? Roznosi się przez kontakt z błoną śluzową zakażonego, jego krwią, śliną, ma się także rozprzestrzeniać drogą kropelkową. Wygląda nieatrakcyjnie – jak to ospa. A więc kandydat jak znalazł. Nawet ciut lepszy niż korona, bo to widok i okropny, i od razu wskazujący na chorobę, nie to, co koronawirus, co to podstępnie ukrywał się w niby normalnych, bezobjawowych twarzach. Tu będzie widać wszystko (chyba że wrócą maseczki). Słabością „kandydata zastępczego" jest to, że podobno zwyczajna szczepionka na ospę daje temu wariantowi radę, ale się zobaczy.

NOWY WAGONIK, STARE TORY

Jak reaguje świat? No, po covidowemu, bo mamy przecież przetestowany dwuletni zespół działań. Covidowy wagonik wyskoczył z torów i leży gdzieś w medialnym rowie, przysypany wojennymi newsami. Niektórzy wieszczą (nawet covidowi medyczni celebryci), że czeka na jesień. Teraz wskoczył wagonik nowy, ale na stare tory. I poszło.

Pacjent zero? A kto go tam wie, bo u nas (jeszcze?) go nie widziano. Ważne, że pacjent medialny. Polsat donosi, że zjawił się taki z ospą małpią, z podstawowymi zatrważającymi objawami (gorączka, wysypka na twarzy). Choroba się roznosi – Belgia ma już więcej przypadków (wzrost o 300 proc.), bo trzy, a więc wprowadza 21-dniową kwarantannę dla chorych. Sprawa jest na tyle groźna i bulwersująca, że zajmują się nią media. Znowu Polsat, sprawdzona narracja covidowa: „Drastyczne zdjęcia dziecięcych ofiar małpiej ospy w Afryce. Krótka wypowiedź Andrusiewicza... Sutkowskiego i na koniec fotka małpy w zoo". Pojawiają się pierwsi małpiani płaskoziemcy, wątpiący w pandemiczność zjawiska i negujący alarmistyczne przekazy pandemiostreamowych mediów. Grzebaluchy gdzieś wygrzebały, że nawet ilustracje rzeczonej ospy pochodzą z podobnych alarmistycznych sensacji prasy brukowej sprzed 12 lat.

Pojawia się (cuda, cuda panie) od razu szczepionka wyraźnie wycelowana w małpiatkę. Po prostu naukowcy przechodzili z tragarzami obok telewizora na wystawie AGD, zobaczyli, co się dzieje, ruszyli do labów i już na drugi dzień… No i jest jakiś uzysk, bo na COVID zabrało im to, leniom, cały rok, zamiast zwyczajowych sześciu–ośmiu lat. Bavarian Nordic ogłasza, że podpisał już umowę na preparat zarejestrowany w USA już w 2019 r., który czekał na swoją okazję. Umowa jest również na dostarczanie specjalnej szczepionki do jednego z europejskich krajów, którego nazwy się nie wymienia (znowu tajemnice jak ze szczepionkami na COVID).

I tu się drogi rozjeżdżają. Bo jedni mówią, że na małpiatkę to zwykła szczepionka na ospę wystarczy. A przecież połowa luda wyszczepiona na ospę, więc to słabe jest. Bo co to za panika, jak połowa się może nie bać? Ale z drugiej strony to przecież nic nie przeszkadza, by się poszczepić jeszcze raz. No bo zaszczepieni na COVID i tak nie mieli żadnych (oprócz obyczajowo-dostępowych) przewag nad niezaszczepionymi. A więc i w tym wypadku szczepionka nie chroni cię w rezultacie przed niczym.

Drugi wariant, nazwijmy go komercyjnym, mówi, że to trzeba od nowa, nowa

eprasa.pl f4e3c581c3

FOT. ADOBE STOCK

szczepionka, nowy-stary (bo covidowy) system szczepień. I okazuje się, że ta nowa szczepionka nie tylko już jest, lecz także, że ma zacnych udziałowców. No bo to i Vanguard, i Blackrock, ciemne ramiona finansowego globalizmu, w dodatku sponsorujące oczywiście zajazd swych akolitów w Davos. I zgłasza się Polska. Doktor Grzesiowski, twarz polskiej pandemii, Człowiek (m)Roku, nagradzany przez media (chyba za dostawę świeżych, panicznogennych soundbite'ów i telewizyjnych setek), uspokaja, że szczepionkę nad Wisłą już mamy (Czyżbyśmy to my byli tym niewymienionym z nazwy krajem „europejskim"? A więc jednak jesteśmy w Europie!). Artykuł ukazuje się w „Rzepie", głównym medialnym nośniku epidemiologicznej złej/dobrej nowiny (niepotrzebne skreślić długopisem sponsora).

INSTRUKCJA Z SANEPIDU

A teraz popatrzmy, jak zareagowała rekomendacyjna Polska. W ręce wpadł mi okólnik, który sanepid rozsyła do placówek zdrowia na temat reakcji epidemiologicznej na wymienione objawy oraz określający sposoby kwalifikacji objawów jako jednostek ospy małpiej. A więc pięć dni po „wykryciu" ospy już opracowano i porozsyłano po polskim systemie poniższy okólnik, jak traktować to rosnące „zagrożenie". Mamy tu kupę ubawu, z przewagą kupy.

A więc do nadzoru epidemiologicznego kwalifikuje się kliniczne objawy wysypki wraz z co najmniej jednym objawem:

– gorączka powyżej 38,5 st. C;
– ból głowy;
– ból pleców;
– zmęczenie;
– powiększenie węzłów chłonnych (ogólne lub miejscowe).

Kryteria epidemiologiczne:

– kontakt (czyli narażenie twarzą w twarz, w tym pracowników ochrony zdrowia bez ochrony oczu i dróg oddechowych, bezpośredni kontakt fizyczny ze skórą lub zmianami skórnymi, w tym kontakt seksualny; lub kontakt ze skażonymi materiałami, takimi jak odzież, pościel czy naczynia) z potwierdzonym lub prawdopodobnym przypadkiem w ciągu 21 dni przed wystąpieniem zachorowania;

– podróż do krajów endemicznego występowania ospy małpiej (Benin, Kamerun, Republika Środkowoafrykańska, Demokratyczna Republika Konga, Ghana, Wybrzeże Kości Słoniowej, Liberia, Nigeria, Sierra Leone, Sudan Południowy) w okresie 21 dni przed wystąpieniem objawów [to jest bez sensu, gdyż obecnie na świecie, poza endemicznymi, wymienionymi regionami, mamy więcej wykrytych przypadków niż w Afryce, należy się więc… cały świat];

– osoba podejmująca kontakty seksualne z wieloma partnerami lub partnerami anonimowymi w okresie 21 dni przed wystąpieniem zachorowania (niezależnie od orientacji seksualnej);

– mężczyzna podejmujący kontakty seksualne z mężczyznami.

Kryteria laboratoryjne, co najmniej jeden z przypadków:

– dodatni wynik badania PCR w kierunku wirusa ospy małpiej;

– dodatni wynik badania PCR w kierunku wirusów z rodzaju Orthopoxvirus, potwierdzony sekwencjonowaniem wykazującym wirus ospy małpiej MPXV u osoby, u której objawy wystąpiły po 1 marca 2022 r.

Teraz najlepsze, kto jest chory: prawdopodobnie: osoba spełniająca łącznie któreś z kryteriów grupy 1 i 2 oraz spełniająca kryterium 2 i 3 (testy bez sekwencjonowania, mikroskopowe lub serologiczne).

Kto chory na pewno, czyli kto się nadaje do hospitalizacji: spełniający jedno z kryteriów nr 3, a po decyzji ministra Niedzielskiego także „prawdopodobnie chory", czyli spełniający łącznie któreś z kryteriów 1 i 2.

A teraz pokombinujmy, co się dzieje. Permutacja prawdopodobieństwa zakażenia, czyli połączenie dwóch kryteriów: zmęczony homoseksualista, orgiastyczny swinger z bólem głowy, ból pleców po wielogodzinnym locie z Konga. Musisz też pamiętać, by legitymować osobę, z którą masz stosunek, bo wtedy spełnisz kryterium nieanonimowości osoby z kontaktu. Chciałem dodać, że kryterium homoseksualne jest homofobicznie wykluczające i jeżeli już, to będzie to ostateczny argument kilujący podejście do tej hucpy jako pandemii.

W kryterium „2 a)" mamy lapsus, że prawdopodobny kontakt z zakażonym pracownikiem ochrony zdrowia bez maseczki czy okularów może powodować zakażenie. Prawdopodobny. Czyli służba zdrowia cała w maseczki idzie i okulary, bo kto to wie, kto tam „prawdopodobnie" jest nosicielem, zwłaszcza że – jak widzimy z okólnika – małpiatka wylęga się dni 21. Nie ma, co prawda, bezpośredniego kryterium bezobjawowości, choć jeśliś w testach pozytywny – toś chory na bank. I wedle ostatnich decyzji ministra Niedzielskiego idziesz do szpitala, bo hospitalizacja ma odniesienie również do osób… podejrzanych.

Właśnie testy – te tu są „złotym standardem", tak jak kiedyś (?) testy PCR na COVID. A okazało się, że toto przekłamuje w stronę fałszywie pozytywnych wyników. Jak zatem będzie z małpowidem? Jeśli nie będziesz miał przygód z tęczowymi, jeśli nie wrócisz z Konga, choćbyś był wierny jak Penelopa, a skórę miał jak atłas, łącznie z genitaliami, to jeśli cię wylosuje test, żeś zmałpiał, to idziesz do nadzoru, a właściwie do szpitala.

COVID wykształcił stały mechanizm reakcji władz. I w przerwie covidowej na wojnę nie było refleksji, że coś (a większość) nie zadziałało. A więc wszystko jest gotowe – mamy stojącą, obecnie naoliwioną, ale nie naprawioną maszynkę pandemiczną. I można w nią wrzucić dowolny żeton. Dziś próbujemy, czy małpiatka odpali. Mówił o tym zresztą sam Gates. Że wszystko gotowe, jesteśmy przygotowani, czekamy (sic!) tylko na nowego bohatera. To droga maszynka, kosztowała masę pieniędzy i góry trumien. Wydaje się, że tak stoi w kącie i się marnuje. Nie amortyzuje się, znaczy się.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4e3c581c3

Z prof. Witoldem Tyborowskim, historykiem z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, członkiem zarządu Akademickiego Klubu Obywatelskiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Przyzwoitość zwycięży

RYSZARD GROMADZKI: Wspólnie z kilkudziesięcioma innymi akademikami z UAM sprzeciwia się pan przyjętemu przez senat uczelni projektowi „Polityka równościowa i antydyskryminacyjna", w którym stwierdzono m.in., że zwracanie się do drugiej osoby zgodnie z jej płcią biologiczną, kiedy deklaruje ona inną tożsamość płciową, jest formą molestowania. Ideologia gender opanowała na dobre uniwersytet w Poznaniu?

PROF. WITOLD TYBOROWSKI: Ta ideologia wchodzi przede wszystkim w nauki humanistyczne i społeczne, podważając tradycyjną europejską antropologię, prawdę o człowieku. To, co się dziś twierdzi w tych naukach, w coraz większym stopniu zależy, nie chcę powiedzieć od preferencji, ale całkiem dowolnie od przekonań badaczy. Ci, którzy mają odwagę je kwestionować, mogą być karani. Dokument przyjęty przez senat UAM daje takie podstawy.

Nie obawia się pan, że jeśli tak dalej pójdzie, to niebinarni studenci przegonią wkrótce profesorów reakcjonistów w „czapkach hańby" ulicami Poznania, jak to miało miejsce w czasach rewolucji kulturalnej w Chinach w czasach Mao?

Na razie nasze obawy tak daleko nie idą. Na razie obawiamy się raczej możliwości braku wyrażania swoich poglądów, prywatnych czy też tych opartych na znanych nam badaniach naukowych. Obawiamy się, że za to będziemy prześladowani, że będą próby zabraniania nam wolności wyrażania poglądów zgodnych z badaniami naukowymi i naszymi przekonaniami.

Przyjęcie tego na wskroś genderowego dokumentu poprzedziła jakaś debata na uniwersytecie?

Ten dokument szeroko dotyka nas wszystkich. Od studentów do profesorów tuż przed emeryturą, grożąc różnymi konsekwencjami „za coś tam" i – wbrew wielokrotnie powtarzanym deklaracjom JM Rektor Kaniewskiej – „ani na wielu płaszczyznach i poziomach, ani też szeroko" nie był dyskutowany. Ten obszerny dokument pojawił się nagle i był ewidentnie domykany kolanem.

FOT. ARCHIWUM PROF. WITOLDA TYBOROWSKIEGO

A jednak większość profesury UAM i pozostałych pracowników naukowych uczelni nie oprotestowała projektu mimo kuriozalnych zapisów, które zawiera. Użyję sformułowania, które panu, jako szefowi uniwersyteckiej Pracowni Badań Starożytnego Wschodu, jest zapewne bliskie: Dlaczego wśród poznańskich akademików znalazło się tak niewielu sprawiedliwych? To kwestia oportunizmu?

Myślę, że tu role odegrały dwa czynniki. Był pewien oportunizm, aczkolwiek chcę myśleć o moich koleżankach i kolegach lepiej niż jak oportunistach. Mam wrażenie, że bardziej zagrało tu przekonanie „nic złego z tego nie będzie", to tylko takie zapisy, ale da się z tym żyć. To trochę tak, jakby ktoś rzucił na stół topór służący do ścinania głów, a my udawalibyśmy, że będziemy nim kroić cebulę.

Praktyka związana z regulacjami „równościowymi i antydyskryminacyjnymi" na uczelniach zachodnich wskazuje wprost, że „nie ma tolerancji dla wrogów tolerancji". Akademicy nieakceptujący gender raczej nie mają tam czego szukać.

Jak w tym niesłusznym stereotypie o średniowieczu i inkwizycji za głoszenie poglądów zgodnych z przekonaniami grozi się im usuwaniem z uczelni i są oni rzeczywiście usuwani. Zdumiewa mnie w moim środowisku, że znajomość tych realiów, tego, co się stało z humanistyką, z naukami społecznymi na Zachodzie, gdzie można twierdzić wszystko, co się chce, z wyjątkiem tego, do czego jest się szczerze przekonanym, nie budzi żadnych wątpliwości. Dlatego nie rozumiem głosów, które przyklepały tę uchwałę. Nie potrafię wytłumaczyć faktu, że to przeszło w senacie, i to tak przytłaczającą większością głosów. Mogę tylko powiedzieć, że w tej sprawie senat zachował się niereprezentatywnie w stosunku do opinii pracowników uniwersytetu. Zebraliśmy blisko sto osób pracujących na uniwersytecie, które aktywnie sprzeciwiły się tej uchwale. Z kolei pani rektor powołała się na 80 odpowiedzi na zapytania w sprawie tej uchwały. Osiemdziesiąt odpowiedzi na ponad 5 tys. pracowników UAM. Zresztą sama rektor przyznała, że wśród tych odpowiedzi były głosy radykalnie przeciwne.

Co dalej z wolnością uniwersytetu? Co dalej z wolnością debaty na UAM?

Zdajemy sobie sprawę z tego, że to, co się stało, to był tylko pierwszy krok. Już chodzą słuchy o kolejnych dokumentach tego nurtu, które mają trafić do senatu i tam być aprobowane. Jest rzeczą oczywistą, że trzeba szybko zadziałać. Wśród

eprasa.pl f4e3c581c3

pracowników uczelni coraz mocniej przebija się przekonanie, że trzeba się jednoczyć. Na uniwersytecie od kilku lat działa stowarzyszenie LGBT, które oczywiście zyskało aprobatę pani rektor i na początku miało nawet adres rektoratu. Uchwała, o której rozmawiamy, spowodowała jednak pewne otrzeźwienie, była wstrząsem dla wielu ludzi. Stanie z boku i przyglądanie się z nadzieją, że wszystko się ułoży i jakoś to będzie, jest absolutnie błędnym założeniem. Nie wierzę w uczciwą debatę i obronę prawdy naukowej na UAM. Tryb i harmonogram procedowania uchwały „równościowej" pokazują, że dla ludzi, którzy za nią stoją, debata jest niebezpieczna, z jakichś względów oni jej chcą. Nie sądzę więc, żeby taka debata mogła się odbyć. Będziemy próbowali ją wymuszać, organizując grono ludzi reprezentujących nauki głównie humanistyczne i społeczne, którzy będą się upominać o prawdę. Sądzę, że to przyniesie skutek. Wiem, że wielu uczonych na Zachodzie czeka na taki zwrot. Oni mają nadzieję, że ktoś w końcu przeciwstawi się walcowi ideologii tłamszącej wolność uniwersytetu. Chcą się do tego przyłączyć w nadziei, że ten opór doprowadzi do przełomu, bo obecnie humanistykę i nauki społeczne na Zachodzie trudno nazwać nauką z powodu twierdzeń, które tam zdobywają dominację.

Rozważacie możliwość podważenia uchwały senatu uczelni na drodze prawnej poprzez interwencję Ministerstwa Edukacji i Szkolnictwa Wyższego?

Ministerstwo już wcześniej zapowiedziało interwencję w tej sprawie, jeśli uchwała zostałaby przyjęta. Po publikacji uchwała senatu UAM zostanie przesłana do Ministerstwa Edukacji i Nauki z prośbą o interwencję. Resort z pewnością skorzysta z opinii swoich prawników. Na pewno nie będą to działania pochopne. W tej sprawie wszystko musi się odbyć lege artis. Podczas procedowania uchwały zmieniono część zapisów, jednak – jak twierdzą prawnicy Instytutu Ordo Iuris – część z tych, które pozostały, jest sprzeczna z prawem. W tej sytuacji minister Czarnek, którego obowiązują konstytucja i polskie prawo, w zasadzie nie będzie miał innego wyjścia, jak uchylić tę uchwałę. Na to liczymy.

Kiedy na początku naszej rozmowy przywołałem obrazy napiętnowania „wrogów ludu" z epoki rewolucji kulturalnej w komunistycznych Chinach, powiedział pan, że to zbyt radykalna perspektywa. Jednak na uniwersytecie poznańskim mieliśmy już w ostatnich latach ekscesy żywcem przypominające przemoc chińskich hunwejbinów. Mam na myśli ataki na prof. Stefana Zawadzkiego i ks. prof. Pawła Bortkiewicza...

Tak, mieliśmy do czynienia z takimi bardzo smutnymi i bardzo nieuczciwymi zachowaniami. Dalekimi od postawienia sprawy wprost, zaproszenia do debaty. To coś niebywałego. Większość środowiska uniwersyteckiego była zszokowana tymi wybrykami. Czy u nas może dojść do tego, co stało się w Chinach kilkadziesiąt lat temu? Gdyby, nie daj Boże, genderowa poprawność zwyciężyła na uniwersytetach, to niestety pewnie jest to możliwe. Jednak żywię przekonanie, że do tego nie dojdzie, że przyzwoitość zwycięży, także jeśli idzie o przyzwoitość w debatowaniu. To, co próbuje robić lewica, to rewolucja, a każda rewolucja wywraca stół, unika dyskusji, chce zniszczenia drugiej strony. Tego jesteśmy świadomi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

MSD
INVENTING FOR LIFE

MSD -
lepsze zdrowie,
lepsze życie

Od 130 lat na świecie, w tym od 30 lat w Polsce, stawiamy czoła największym światowym wyzwaniom zdrowotnym i dajemy nadzieję w walce z chorobami, zarówno dla ludzi, jak i zwierząt. Dzisiaj podtrzymujemy nasze zobowiązanie, aby być czołową firmą biofarmaceutyczną prowadzącą intensywne badania naukowe w dążeniu do przełomów medycznych, które przynoszą korzyści pacjentom i społeczeństwu w teraźniejszości, dniu jutrzejszym oraz dla przyszłych pokoleń.

2023_05 PL-NON-00278 2021_05

eprasa.pl f4e3c581c3

Dwa narody: kościelny i laicki

Tomasz Rowiński

Z jednej strony widoczne jest przekonanie części opinii publicznej, że należy Kościół odciąć od jakiejkolwiek redystrybucji ze strony państwa, z drugiej zaś traktuje się wierzących jako potencjalne źródło dodatkowego dochodu

Przesilenie dotyczące sposobu funkcjonowania religii katolickiej w polskiej przestrzeni publicznej trwa. Z jednej strony jest ono elementem wielkiego kryzysu kościelnego, który dotyczy zarówno samej Stolicy Apostolskiej, jak i licznych regionów świata. Z drugiej mamy także własną specyfikę i stale powracające wątki dyskusji odżywające zawsze wtedy, gdy z jakichś powodów znaczenie Kościoła w polskim życiu publicznym jest kwestionowane czy też po prostu podlega nowej waloryzacji.

Niedawno Radio Zet opublikowało sondaż przygotowany przez pracownię IBRiS, przedstawiający opinie Polaków na temat niektórych aspektów relacji pomiędzy instytucją kościelną a instytucjami naszego państwa. Z jednej strony trzeba powiedzieć, że dość schematycznie zapytano o religię w szkołach, kościelne finanse, obecność krzyża czy księży w przestrzeni publicznej, szczególnie tej jej części, którą kojarzymy z aktywnością państwa. Z drugiej strony ten schemat zagadnień od lat tworzy rodzaj barometru społecznych nastrojów w odniesieniu do Kościoła. Wyniki, jakie podaje nam ten „barometr", niekoniecznie mają wielki związek z tym, na ile sygnalizowane nastroje mogą przełożyć się na jakiegoś rodzaju zmianę. Pytania postawione przez IBRiS – i setki razy stawiane przez inne pracownie socjologiczne – bardziej, jak się zdaje, oddają bieżący stosunek Polaków do kościelnej hierarchii, niż mówią coś o naszej wierze czy woli do politycznej redefinicji relacji państwo – Kościół.

CORAZ WIĘKSZA PRZEPAŚĆ

Badanie przeprowadzone przez IBRiS pokazuje, że w sprawach religii, podobnie jak i w innych kwestiach dotyczących spraw publicznych, jako społeczeństwo konsekwentnie realizujemy drogę pogłębiania podziałów. Zatem do problemu braku społecznej spoistości odziedziczonej po czasach realnego socjalizmu dziś dodajemy kolejne elementy. Ktoś mógłby powiedzieć, że podział kulturowo-polityczny trwa w Polsce przynajmniej od czasów oświecenia i epoki przedrozbiorowej. Wtedy to ujawniło się silne stronnictwo okcydentalistyczne proponujące laicyzację społeczeństwa i państwa w duchu rewolucji francuskiej. Z kolei polski wiek XIX nieraz jest wspominany poprzez polityczną, mickiewiczowską kategorię „dwóch narodów" – patriotycznego i zaprzedanego Moskwie. Nieco rzadziej wspomina się o długotrwałości podziału na tle religijnym. Polska inteligencja u schyłku XIX stulecia była niemal całkowicie areligijna. Warto o tym pamiętać, gdy odruchowo kreśli się dziś także w naszych dziejach prostą linię zgodną z sekularystyczną socjologią i historią, w której proces przechodzenia od religijności do niereligijności jest czymś nieuchronnym.

Być może należałoby powiedzieć, że kwestia deklaracji religijności w jakimś znaczącym stopniu pozostaje w relacji do sytuacji politycznej Polski. Czy za wrażeniem silnej jedności religijnej Polaków, która pozostała nam po latach 80. XX w., nie stała w dużej mierze polityczna mobilizacja przeciw niegodziwej władzy? Ze wspomnień starszych o pokolenie przyjaciół, którzy zawsze utożsamiali się z katolicyzmem, wyłania się taki właśnie obraz. Polityka i społeczny kontekst pierwszej dekady pontyfikatu Jana Pawła II przykrywały istniejący nawet wtedy rzeczywisty podział wśród chodzących do kościoła, np. w sprawie akceptacji moralnego nauczania katolickiego. I dziś w gruncie rzeczy stanowi ono oś sporów.

Ujawnienie się tego zróżnicowania w latach 90. było dla wielu ludzi wierzących – świeckich czy duchownych – przykrym zaskoczeniem. Jednocześnie ujawniło to ograniczenia w możliwości oddziaływania – nawet prawdziwej religii – poprzez sferę polityczną. Ta bowiem zwykle jest tożsamościowym tyglem specyficznych i różnorodnych racjonalności, a także zupełnie zwykłych emocji. Przeplatają się też w niej nieuchronnie odruchy konformistyczne z nonkonformistycznymi. Dziś także religijność przekłada się na swój sposób z polityką. Nie jest wcale pewne, czy rzeczywiście jesteśmy świadkami ostatnich akcentów współistnienia tych dwóch nurtów polskiego żywiołu wyznaczających granice naszej roztropności, suwerenności i odrębności.

eprasa.pl f4e3c581c3

Znaczenie Kościoła w polskim życiu publicznym jest wciąż kwestionowane. Na zdjęciu: nabożeństwo majowe w czasie pandemii w 2020 r.

FOT. ZOFIA I MAREK BAZAK/EAST NEWS

Zerknijmy zatem do wyników sondażu IBRiS i tego, jak rozłożyły się głosy respondentów. Aż 70 proc. badanych uważa, że należy znieść „przywileje podatkowe dla Kościoła", a tylko 23 proc. – że należy je zachować. W podobnym pytaniu o „finansowanie Kościoła przez państwo" 66 proc. respondentów było przeciw, a 26 proc. powiedziało, że Kościół należy wspierać finansowo. Równocześnie wciąż 50 proc. badanych chce, by katecheza pozostała w szkołach, a 44 proc. uważa, że powinna ona zniknąć ze szkolnego planu lekcji. Jeszcze więcej osób (54 proc.) opowiedziało się za pozostawieniem krzyża w miejscach publicznych, takich jak Sejm, szkoły czy urzędy, a przeciw było 41 proc. opinii. Aż 50 proc. badanych opowiedziało się przeciwko obecności księży na uroczystościach państwowych przy 42 proc. głosów popierających – jak czytamy na portalu Radia Zet – „obecną sytuację". W tym przypadku aż 8 proc. respondentów nie było zdecydowanych, co odpowiedzieć.

Dominację polityczno-emocjonalnego, a także światopoglądowego charakteru reakcji respondentów na postawione pytania widać dość dobrze, gdy przyjrzymy się bardziej „ustrojowym" postulatom głębszego odseparowania państwa od Kościoła. Zacznijmy od sprawy najprostszej, czyli chęci wyeliminowania duchownych z uroczystości państwowych. Czy ta eliminacja miałaby objąć tylko księży? Czy powinna obejmować także pastorów, rabinów? Jeśli ich także, to należy zapytać, dlaczego akurat religia ma być podstawą do wykluczania z możliwości uczestnictwa z uroczystości państwowych. Podczas gdy czymś zwyczajnym jest, że z okazji rozmaitych okoliczności do grona oficjeli zapraszani się przedstawiciele rozmaitych środowisk, wielomilionowa wspólnota katolików miałaby być arbitralnie i symbolicznie wykluczona.

PRZYWILEJE

Zawsze interesującą kwestią są „przywileje podatkowe" Kościoła, o których sąd sprowadza się u wielu Polaków do przekonania, że „Kościół nie płaci podatków". W roku 2018 ciekawy materiał w sprawie finansów Kościoła opublikował Infor.pl, który zapytał o sprawę ekonomistów, m.in. Roberta Gwiazdowskiego z Centrum im. Adama Smitha i prof. Ryszarda Bugaja. Ten ostatni zwracał uwagę, że różnorodne przywileje podatkowe dotyczą rozmaitych grup społecznych, choćby rolników, a ryczałtowe opodatkowanie duchownych, jako bardzo niewielkiego środowiska (między 20 a 25 tys. osób), nie ma znaczenia dla budżetu państwa.

Gwiazdowski przypominał wtedy o specyfice funkcjonowania księży w strukturze parafii. „Opodatkowanie duchownych tak jak innych obywateli – podatkiem PIT zamiast ryczałtu – jest praktycznie niemożliwe. Przede wszystkim trudno określić, co jest osobistym przychodem księdza. Z otrzymywanych pieniędzy musi łożyć na utrzymanie np. kościoła i budynków parafialnych czy opłacić koszty eksploatacji prądu lub gazu". Na sugestię, że należałoby opodatkować datki składane na tacę, odpowiedział, że to „dobrowolne datki składane przez wiernych i nikt nie powinien się do nich wtrącać. Szczególnie ci, którzy nie uczestniczą w takich zbiórkach. Wierni przekazują pieniądze i godzą się, że ksiądz decyduje o ich przeznaczeniu" – czytamy w raporcie Infor.pl.

Trudno sądzić, by 70 proc. respondentów IBRiS wypowiadających się przeciwko „przywilejom" miało świadomość, że resentyment, jakim darzą Kościół, skłania ich do faktycznego popierania dyskryminacji podatkowej ludzi religijnych. Opodatkowanie tacy byłoby bowiem dodatkowym opodatkowaniem tych, którzy chcą łożyć na utrzymanie swojego Kościoła niezależnie od tego, że płacą podatki tak jak wszyscy.

Jest tu pewien paradoks. Z jednej strony widoczne jest przekonanie części opinii publicznej, że należy Kościół odciąć od jakiejkolwiek redystrybucji ze strony państwa, nawet takiej, do której mają prawo inne instytucje i środowiska. Z drugiej zaś traktuje się wierzących jako potencjalne źródło dodatkowego dochodu. Widać w tym echo całkiem starego pomysłu na planową sekularyzację, która polegała na kasatach i konfiskatach będących niczym innym jak grabieżczym sięganiem do kieszeni katolików.

Dodajmy, że rewolucja taka jak np. usunięcie religii ze szkół wymagałaby zmiany konstytucji, która zabezpiecza prawa Kościoła zapisane w konkordacie.

Warto pamiętać, że w Polsce od dawna istniała i istnieje ta część opinii publicznej, która wolałaby, żeby Kościół w ogóle nie istniał lub znajdował się pod możliwie ciężkim butem tzw. świeckiego państwa. Aktywność czy społeczne przewagi tej opinii nie mogą z pewnością skłaniać katolików do bezradnego zwieszania rąk.

WŁASNA NIEFRASOBLIWOŚĆ

Jest jednak jeszcze inna sprawa. Oglądana nie raz i nie dwa niefrasobliwość Kościoła w traktowaniu swoich własnych problemów może doprowadzić do erozji religijności, także u Polaków, którzy możliwie konsekwentnie wiążą religijność z wiarą, a nie na pierwszym miejscu z polityką. Nigdy dość przypominania tego, co wydarzyło się w ostatnich 10 latach w Irlandii, gdzie skandale i zbyt pewna siebie postawa duchowieństwa doprowadziły Kościół do dramatycznego upadku. Irlandczycy, dla których katolicyzm, jak dla wielu Polaków, okazał się przede wszystkim polityczną formą ich niepodległości, zagłosowali – choćby w referendum decydującym o wprowadzeniu małżeństw homoseksualnych – przeciw Kościołowi. Przy okazji zniszczyli, opierającą się na prawie naturalnym, społeczną konstytucję swojego państwa.

Jakkolwiek zatem nie należy na chwiejne sondaże dotyczące Kościoła reagować histerycznie, to w równym stopniu nie można wypierać tego, że w naszych czasach ważą się siły, które zdecydują o przyszłej formie polskiej narodowej egzystencji. Z tym trzeba się zmierzyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4e3c581c3

Pogromcy szarzyzny

Agnieszka Niewińska

Ogrodnicza partyzantka nie czeka na urzędników. Sama zazielenia miejskie donice i skrawki ziemi. Warto jednak sprawdzić, gdzie wbija się łopatę

Intencje były dobre. Aktywiści stowarzyszenia Miasto Jest Nasze zwrócili uwagę na pustą donicę w centrum Warszawy – na skrzyżowaniu ulic Marszałkowskiej i Królewskiej. Zamiast czekać, aż miasto się nią zajmie, wzięli sprawy we własne ręce. W ruch poszły ogrodnicze łopatki, a w donicy pojawiły się nowe rośliny – m.in. lawenda i trzmieliny. „Grupa nieznanych sprawców przywróciła dzisiaj matce naturze zaniedbaną donicę na rogu Królewskiej i Marszałkowskiej" – pochwalili się na Facebooku aktywiści stowarzyszenia Miasto Jest Nasze.

ZNISZCZONE BYLINY?

Społeczny czyn skomentował Zarząd Zieleni Warszawy (ZZW). „»Zaniedbana donica«, którą Państwo »przywrócili matce naturze« to kwietnik hybrydowy, o który od lat dba #ZZW. Rosło w nim 175 szt. bylin, które w tym okresie zaczynają wegetację i do których planowaliśmy dosadzić już zakupioną ostnicę i szałwię. Niestety zniszczyliście właśnie Państwo kwietnik, który najpiękniej wygląda latem. Nasadzenia hybrydowe (połączenie roślin wieloletnich i jednorocznych) są tworzone celowo, by ograniczyć koszty nasadzeń kwiatów" – wyjaśniał ZZW.

Miasto Jest Nasze z oceną się nie zgodziło, podkreślając, że rośliny w donicy miały martwe korzenie. – To miejsce zostało sprawdzone, zanim zajęliśmy się nasadzeniami – zapewnia Łukasz Porębski, radny warszawskiej dzielnicy Żoliborz z ramienia stowarzyszenia Miasto Jest Nasze. – Stan roślin oceniła osoba mająca o nich wiedzę, znająca się na tym, co i jak należy sadzić – podkreśla. I dodaje, że choć ZZW może się pochwalić efektownymi nasadzeniami w centralnych punktach miasta, to mieszkańcy mogą pomóc, sadząc rośliny na terenie zaniedbanych podwórek, w opuszczonych donicach lub na rozjeżdżonych przez samochody pasach zieleni.

Trudno dziś rozstrzygnąć, po czyjej stronie jest racja. Nawet jeśli doszło do pomyłki, to nie zmienia to faktu, że tzw. ogrodnicza partyzantka przeobraża oblicza miast. Dzięki sąsiedzkiej inicjatywie warszawskie Sady Żoliborskie wiosną są pełne krokusów. W Katowicach z inicjatywy urzędu miasta wiele opuszczonych donic znalazło opiekunów. Na wrocławskim Kozanowie sąsiedzka inicjatywa dostała mikrogrant, dzięki któremu kilkadziesiąt betonowych donic już nie straszy. Zjawisko to rozwija się w wielu krajach świata. Sadzone są kwiaty, krzewy i drzewa, a także warzywa, które pomagają w dożywianiu np. szpitala w stolicy Botswany.

NA ZŁOŚĆ URBANOWI

Encyklopedyczne notki na temat partyzanckiego ogrodnictwa (znane pod nazwą guerrilla gardening) informują, że narodziło się ono w USA. Za pierwszą akcję ogrodników partyzantów uchodzi stworzenie parku na Uniwersytecie Berkley w Kalifornii. W 1969 r. studenci na terenie po zrujnowanych budynkach sami postanowili urządzić zielone miejsce. Wsparcia udzielił im lokalny architekt zieleni Jon Read, a sadzonki krzewów i kwiatów dostarczyli okoliczni sprzedawcy. W akcję włączyło się ok. tysiąca osób. Uniwersytet nie docenił jednak studenckiego zrywu. Doszło do zamieszek, a park został zniszczony. Udało się go jednak odtworzyć. Do dziś istnieje pod nazwą People's Park (Park Ludowy).

W 1973 r. w Nowym Jorku z inicjatywy Liz Christy powstał pierwszy społeczny ogród założony na terenie nieużytków. Ale jedna z największych partyzanckich akcji ogrodniczych miała miejsce w Kopenhadze w 1996 r. Kilka tysięcy mieszkańców w ciągu nocy zamieniło centrum miasta w ogród. Guerrilla gardening od lat funkcjonuje

eprasa.pl f4e3c581c3

FOT. ADOBE STOCK

także w Wielkiej Brytanii. Promotorem ruchu jest Richard Reynolds, który po przeprowadzce do Londynu nie mógł znieść, że w okolicy jego domu nie ma ogrodu ani nawet ukwieconego skrawka ziemi. Nikogo nie pytał o pozwolenie ani nie prosił o pomoc. Sam zajął się zaniedbanymi donicami i skwerkami. Dziś do partyzanckiego ogrodnictwa zachęca nie tylko Brytyjczyków. Jeździ po świecie z prelekcjami. Do ogrodnictwa zachęca i Koreańczyków, i mieszkańców Indii.

Witold Szwedkowski, który w 2005 r. założył Miejską Partyzantkę Ogrodniczą zazieleniającą miasta i integrującą środowisko ogrodników miejskich, podkreśla, że kiedy rozpoczął przygodę z upiększaniem przestrzeni roślinami, do głowy mu nie przyszło, że to trend z Zachodu. – Ogrodnictwo, choćby w przestrzeni między blokami, kwitło u nas w latach 80., w okresie stanu wojennego, kiedy Jerzy Urban stwierdził, że „rząd się sam wyżywi". Społeczeństwo także postanowiło się wyżywić. W efekcie zaroiło się od ogródków warzywnych. Wtedy to był swego rodzaju akt nieposłuszeństwa wobec reżimu – opowiada Szwedkowski. I dodaje, że współczesnym ogrodniczym partyzantom częściej chodzi o to, by uczynić przestrzeń piękniejszą i pożyteczną dla przyrody, a zapomniane klepiska zamienić w miejsca, które cieszą oko, a jednocześnie mogą stanowić siedlisko gatunków żyjących obok nas. – Nie chcą czekać, aż zrobią to urzędnicy. Biorą sprawy we własne ręce – sadzą krzewy, kwiaty, byliny. Czasami najpierw muszą rozkuć beton. Takie akcje były już przeprowadzane nie tylko w Warszawie, lecz także w Chorzowie, Lublinie, Krakowie, Kowarach czy w Toruniu. Jak popularna jest partyzantka ogrodnicza? Choć akcje są widoczne, a informacje o nich pojawiają się w mediach, to sądzę, że w skali kraju angażuje się w nie zbyt mała liczba ludzi – ocenia Szwedkowski.

Na Facebooku Miejska Partyzantka Ogrodnicza ma ponad 13 tys. fanów. – Nigdy profilu nie promowałem, nawet wśród znajomych. Chciałem sprawdzić, jakie jest zainteresowanie tematem – mówi założyciel Miejskiej Partyzantki Ogrodniczej. Profil pokazuje dobre praktyki, można znaleźć na nim porady, odpowiedzi na pytania nurtujące miejskich ogrodników. Bo – jak podkreśla Witold Szwedkowski – ogrodnicza partyzantka nie oznacza chaosu i braku przygotowania. – To coś wręcz przeciwnego. Partyzanci to byli przecież ludzie przygotowani, wyszkoleni, mający rozpoznanie w terenie – mówi.

Jak przygotować się do zazielenienia leżącej odłogiem ziemi? – Po pierwsze, trzeba zorganizować wokół tego pomysłu społeczność – radzi Szwedkowski. – Drugi krok to ustalenie, kto jest posiadaczem zaniedbanego gruntu, i jeśli to teren prywatny, to skontaktowanie się z nim. Ważne jest to, co zamierzamy w danym miejscu posadzić. To nie mogą być przypadkowe rośliny, a już na pewno obce gatunki inwazyjne. Warto zrobić analizę przyrodniczą, zbadać, co w danym miejscu rosło wcześniej, zanim powstały domy. To powinna być wskazówka dla przyszłych nasadzeń. Trzeba też zwrócić uwagę na to, jak głęboko zapuszczą korzenie sadzone przez nas rośliny, jak wysokie urosną. To ma związek z obowiązującymi przepisami. Nie każdą roślinę można posadzić np. pod linią średniego czy wysokiego napięcia. Pod ziemią mogą też przecież biec kable, instalacje – wyjaśnia.

SAMORZĄD WIDZI CHAOS

Łukasz Porębski z Miasto Jest Nasze zaznacza, że miasta nie są szczególnie przychylne ogrodniczym partyzantkom i nie chcą dzielić się wiedzą z samozwańczymi ogrodnikami. – Miejskie władze chcą kontrolować to, co i gdzie jest sadzone, dlatego w takich akcjach jak adopcja donic widzą kłopot i chaos. Ograniczają się do rozdawania mieszkańcom nasion łąki kwietnej. Nawiązanie współpracy aktywistom utrudniają także kwestie własności. Ta jest rozproszona pomiędzy wiele podmiotów. Pas zieleni może podlegać Zarządowi Zieleni Warszawy albo konkretnej dzielnicy, spółdzielni, wspólnocie czy Zarządowi Dróg Miejskich – mówi.

Karolina Kwiecień-Łukaszewska, rzeczniczka Zarządu Zieleni Warszawy, podkreśla, że dostają wiele sygnałów od mieszkańców doceniających miejską zieleń. – Warszawiacy widzą, że jest w dobrych rękach i nie wymaga dodatkowego „wsparcia" ze strony aktywistów – mówi. Od współpracy z mieszkańcami się nie odżegnuje. – Każda inicjatywa, która może poprawić jakość życia czy odbioru danego miejsca, jest godna pochwały, o ile jest przemyślana i przede wszystkim skonsultowana z zarządcą terenu. Do Zarządu Zieleni wpływa mnóstwo pytań o ewentualną możliwość przyłączenia się lub zorganizowania akcji polegających na zazielenianiu stolicy i dbaniu o miejską przyrodę. Nie przypominam sobie sytuacji, żebyśmy komukolwiek odmówili zaangażowania.

Katowice angażują mieszkańców w dbanie o zieleń od 2018 r. Jedną z akcji była adopcja donic. – Rozdaliśmy mieszkańcom nasiona łąk kwietnych i kompost, który powstał w Miejskim Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej z odpadów zielonych. Zakład Zieleni Miejskiej znalazł w swoich zasobach kilkadziesiąt starych miejskich donic i je też rozdaliśmy, wraz z ziemią i roślinami. Zainteresowanie było bardzo duże. W sumie mieszkańcy, firmy prywatne i instytucje zaadoptowali ponad 60 donic, w tym zarówno stare, betonowe donice rozsiane w różnych częściach miasta, jak i te z odzysku – opowiada Sandra Hajduk, rzeczniczka katowickiego magistratu. – Teraz obserwujemy efekty, którymi mieszkańcy dzielą się m.in. w mediach społecznościowych: donice nadal są zaopiekowane, pojawiają się w nich nowe nasadzenia, nawet drzewka – dodaje. Powstała też mapa z lokalizacjami donic i informacjami o ich opiekunach.

Jak skrzyknąć grupę sąsiadów do takiej akcji? Richard Reynolds przekonuje, że kiedy włożymy roboczy strój i ruszymy do pracy, wzbudzimy zainteresowanie sąsiadów. Przypomina jednak, by nie był to jaskrawy kombinezon podobny do tych, które noszą miejskie służby. Wtedy, paradoksalnie, staniemy się niewidzialni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4e3c581c3

Piotr Gociek

Disney+ wkracza do Polski. Co powinno nas w związku z tym ekscytować, a co martwić?

Imperium

Międzynarodowa Stacja Kosmiczna okrąża Ziemię w nieco ponad 93 minuty, lot z Nowego Jorku do Warszawy zajmuje osiem i pół godziny; tymczasem serwisowi Disney+ podróż z Ameryki do Polski zajęła niemal trzy lata. Streamingowy gigant zadebiutował na rynku amerykańskim jesienią 2019 r., teraz wchodzi do Polski. „Polska język trudna język", ale chyba nie bardziej niż duński, japoński czy hindi, tymczasem tamte rynki zostały zdisnejowane jeszcze w roku 2020. Oczywiście żartuję, nie chodzi o kłopoty z „ą" i „ę", tylko o pozycję, jaką Polska zajmuje w globalnym łańcuchu dystrybucji rozrywki. Takie są fakty: Netflix jest w Polsce niemal od sześciu lat, a wciąż kieruje nadwiślańskim biznesem z centrali w Holandii (dopiero niedawno ogłoszono, że powstanie także biuro w Warszawie).

SZCZUPAK NADCHODZI

Wyczekiwana chwila nadeszła – 14 czerwca Disney+ startuje w Polsce. Do i tak zatłoczonego stawu wpuszczony zostaje wielki szczupak; zresztą konkurencja szykowała się na ten krok od dawna. HBO zamieniło stary serwis HBO Go w potężny HBO Max, Netflix zwiększył aktywność promocyjną i obiecał nowe większe inwestycje w polskie produkcje, stosunkowo nowy gracz (Viaplay) zwiększa akwizycję nowych tytułów i próbuje przekonać polskich odbiorców, że będzie żył nie tylko ze sportowych transmisji. Wcześniej Amazon Prime dołączył do wojny cenowej o polskiego klienta.

Będzie to walka na śmierć i życie. Jak pokazywały badania wykonane tuż przed pandemią, w USA przeciętne gospodarstwo domowe opłaca trzy abonamenty, korzystając z rozmaitych usług streamingowych; w Polsce, jak usłyszałem od przedstawicieli jednego z wielkich serwisów, po kryzysie covidowym i w czasach wojennych bliska jest chwila, kiedy rywalizacja będzie się toczyła tylko o jeden abonament na gospodarstwo. W niepewnych czasach Polacy tną wydatki na rozrywkę (co nie znaczy, że z rozrywki rezygnują, po prostu dwa razy zastanowią się nad wykupieniem nowej usługi, chętniej mogą zrezygnować z dotychczasowych).

TRZY RAZY TAK

Istnieją przynajmniej trzy powody, dla których można być podekscytowanym wkroczeniem serwisu Disney+ do Polski. Pozwolę sobie zacytować materiały prasowe: na początek „ponad 800 filmów i ponad 1000 seriali z obszernej biblioteki tytułów oraz 150 oryginalnych produkcji". Akurat w tym przypadku jednak nie liczba jest najważniejsza, lecz fakt, że wśród oryginalnych produkcji są takie, o których w ostatnich latach dyskutowano najgoręcej – przynajmniej wśród fanów dobrej telewizyjnej rozrywki. Przecież jest to czas, kiedy saga „Gwiezdne wojny" przeniosła się na mały ekran za sprawą seriali takich jak „Mandalorian", „Księga Boby Fetta", a ostatnio „Obi-Wan Kenobi". O mały ekran rozszerzono uniwersum Marvela (w dużo lepszym stylu, niż robił to Netflix), proponując takie seriale jak „WandaVision" czy „Loki". Koncern w ostatnim czasie inwestował pieniądze w produkcje oryginalne, przeznaczone wyłącznie dla serwisu Disney+. I będzie inwestował dalej.

Powód drugi: stary katalog. Nowy serwis streamingowy to miejsce, w którym naraz znajdą się dokonania Pixara, animowana klasyka Disneya plus cały ocean filmów i seriali „starego Disneya", których nawet nie będę próbował tu wymieniać.

Powód trzeci: nieoczywiste elementy programowe. Na hasło „Disney" każdy myśli „kreskówki i rozrywka familijna", tymczasem w Disney+ znajdziemy także sporo tytułów nieoczywistych. Jest to oferta Star+ (na niektórych rynkach wciąż osobna marka) zawierająca produkcje firm nabytych w ostatnich latach przez koncern Disneya: m.in. FX Networks, Hulu, 20th Television, 20th Century Studios, Searchlight Pictures, Touchstone Pictures itd. A wszystko to oznacza choćby „American Horror Story", „Gotowe na wszystko", „Homeland", „Simpsonów", „The Walking Dead", „Grey's Anatomy: Chirurdzy" itd. Kto nie zauważył dotąd, że wśród licznych akwizycji Disneya był także National Geographic, zobaczy to, przeglądając ofertę filmów dokumentalnych. Uwaga miłośnicy historii prawdziwych: to tu znajdziecie najnowszy dokument Petera Jacksona „The Beatles: Get Back" o kulisach powstawania albumu „Let It Be".

TRZY RAZY NIE

Istnieją także przynajmniej trzy powody, dla których nasza ekscytacja powinna być, delikatnie mówiąc, umiarkowana. Po pierwsze, niezależnie od sentymentu do kreskówek z dzieciństwa, miłości do zombi, sympatii do Rycerzy Jedi lub masochistycznych skłonności eskapi-

eprasa.pl f4e3c581c3

Sztandarowe seriale ze świata „Gwiezdnych wojen" (kadr z „Obi-Wan Kenobi") kosztują krocie, ale każdy sezon jest właściwie do pożarcia w jeden wieczór FOT. MATERIAŁY PRASOWE

kontratakuje

stycznych zaspokajanych superprodukcjami o Avengersach myśleć powinniśmy przede wszystkim o tym, by rozwijał się polski przemysł rozrywkowy.

Tymczasem o planach inwestowania Disney+ w lokalne seriale i filmy jak dotąd nie piśnięto ani słowem. I szczerze mówiąc, nie spodziewam się, by to nastąpiło. Nie po to buduje się największą na świecie machinę do produkcji rozrywkowych treści, żeby dzielić się dolarami z gromadką egzotycznych aktorów i reżyserów.

Tymczasem zarówno konkurencja o najdłuższym stażu na polskim rynku (Canal+, HBO), jak i pionier streamingu Netflix nie boją się wydawać pieniędzy na lokalne produkcje własne. Zwłaszcza ten ostatni szczególnie przychylnie patrzy w ostatnim czasie na polskie scenariusze – nieważne, czy to adaptacja Cobena czy Mroza, chodzi o to, by polscy aktorzy, scenarzyści, reżyserzy i producenci zdobywali fundusze, doświadczenie, popularność i z pomocą takich graczy jak Netflix stawiali kolejne kroki ku międzynarodowej rozpoznawalności i hollywoodzkim produkcjom. Disney+ tego nie proponuje.

Problem kolejny: bogactwo pozorne. Chociaż biblioteka nowego serwisu robi wielkie wrażenie, to uważniejsze przyjrzenie się liście tytułów przynosi jedną refleksję: „najbardziej lubimy te piosenki, które już znamy". Nostalgia to potężny bodziec. Ale ile można wracać wciąż do tych samych ulubionych produkcji, choćby

Konkurencja o najdłuższym stażu na polskim rynku (Canal+, HBO) i Netflix nie boją się wydawać pieniędzy na lokalne produkcje własne

i tych niegdyś pokochanych na zabój? Owszem, wszyscy wiemy, że po dzieciach można spodziewać się zawołania: „Mamo, puść jeszcze raz »Mulan«!", ale na tym świat się nie kończy. Co do produkcji nowych, oryginalnych – nawet kiedy zaskakują formą („WandaVision"), to jednak są wciąż tą samą potrawą, tylko opakowaną nieco inaczej. Sztandarowe seriale ze świata „Gwiezdnych wojen" kosztują krocie, ale każdy sezon jest właściwie do pożarcia w jeden wieczór. Eksploatowanie starych franczyz do granic możliwości zdaje się być – na razie – znakiem firmowym Disneya. Dopiero w lutym tego roku w serwisie pojawiła się pierwsza międzynarodowa produkcja koncernu – południowokoreański serial „Snowdrop".

Prowadzi nas to zresztą do problemu trzeciego. Disney proponuje rozrywkę na wysokim poziomie, ale oferuje emocje niezwykle powtarzalne. Oczywiście ma to swoje zalety: przez długie dekady rodzice zabierali swoje dzieci na filmy Disneya, bo byli pewni, że jest to rozrywka odpowiednia i bezpieczna. Jednocześnie narzekano na disneizację masowej kultury (czasem stawało się to wprost problemem politycznym, jak we Francji, gdzie kulturę narodową promuje się w kontrze do amerykańskiej „kultury Myszki Miki").

Masowa kultura się zmieniła, ale z ram wyznaczanych przez Walta Disneya i jego następców jednak się wyrwała. Ma dużo więcej barw i smaków (nie wszystkie muszą przypadać nam do gustu). Pytanie tylko, czy niesłychany rozrost „House of Mouse", jak określają koncern amerykańscy krytycy, nie stanowi kroku wstecz. To w końcu powrót świata, w którym wszystkie kąty ostre są wygładzane.

Wiele będzie zależało od tego, z jakim impetem Disney+ będzie się rozwijał. Jako jeden z segmentów rynku – spełni swą rolę doskonale, nadając jedynie inne formalne ramy zjawisku, które dobrze znamy. W końcu odkąd pamiętamy, w kinie lub telewizji zawsze „puszczali coś Disneya".

Jeżeli będzie coraz większe połacie rynku zawłaszczać, to będziemy mieli powody do zmartwienia. Koncern Disneya zrewolucjonizował kiedyś kulturę masową, a nawet ją zdominował. Wyzwalanie się spod tego magicznego wpływu trwało niemal pół stulecia. Teraz imperium kontratakuje i chce odebrać utracone terytoria. Kogo nie może pokonać – tego chce kupić. Na ocenę skutków tego procesu przyjdzie nam jeszcze poczekać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4e3c581c3

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Rzeczy dziwniejsze

Sześć lat minęło od premiery pierwszego sezonu i narodzin popkulturowego fenomenu, jakim okazała się popularność serialu braci Duffer „Stranger Things". Bohaterowie dorastają, zmienia się klimat. Historia, która z początku była pastiszem klimatów ze Stevena Spielberga i Stephena Kinga, teraz zamieniła się w opowieść bardziej spowinowaconą z „Koszmarem z ulicy Wiązów" czy „Egzorcystą". Zmienił się też styl opowiadania – każdy z siedmiu odcinków czwartego sezonu (będą jeszcze dwa epizody – na początku lipca) to właściwie pełnometrażowy film, najdłuższy z nich liczy ponad półtorej godziny.

Starzy znajomi rozdzieleni w finale sezonu trzeciego prowadzą osobne życie – jedni w Kalifornii, inni wciąż w miasteczku Hawkins. A jeden nawet w rosyjskim więzieniu na Kamczatce. Jedno się nie zmieniło – w tajemniczym alternatywnym wymiarze zwanym Drugą Stroną wciąż czai się zło szukające wrót do naszego świata. Objawia się w formie tajemniczej istoty zwanej Vecną, która buduje swoją moc, odbierając życie kolejnym ofiarom i żerując na ich wyrzutach sumienia.

Klimat robi się coraz bardziej mroczny, ale najnowszy sukces bracia Duffer zawdzięczają nie warstwie fantastycznej, lecz delikatności, z jaką opisują relacje między młodymi bohaterami. Ci weszli już w trudny czas pierwszych miłości (i pierwszych wątpliwości); próbują znaleźć dla siebie nowe miejsce, a jednocześnie pielęgnować dawne przyjaźnie. Kibicujemy im, kibicujemy mocno, bardziej przejmując się tym, czy ocalą to, co ważne, niż tajemnicą nowego potwora z Drugiej Strony. Jednocześnie wiele ciekawych rzeczy dzieje się w warstwie fabularnej – wreszcie poznajemy przeszłość Jedenastki, obdarzonej szczególnymi mocami dziewczyny wychowanej w tajnym laboratorium.

Czwarty sezon „Stranger Things" jest najlepszy z dotąd nakręconych, ale nie ostatni. Zwieńczy go sezon piąty, a potem – być może – nadejdzie pora na szalony spin-off (na razie jego sekretu bracia Duffer nie zdradzili nawet Netflixowi). Żeby nie poprzestać na słodzeniu: wątek sowiecki robi wrażenie wciśniętego na siłę tylko po to, by pozbawić nastoletnich bohaterów opieki dorosłych. Winona Ryder gra już tak manierycznie, że jej postać zamienia się w karykaturę samej siebie z pierwszego sezonu. No i widać, że dzieciaki starzeją się nierówno (to już nie wina twórców) – Nancy Wheeler (gra ją Natalia Dyer) wygląda już, jakby była 30-letnią bibliotekarką. ©℗

★★★★★★

SEZON 4 „STRANGER THINGS"
USA 2022

wyst. Millie Bobby Brown, David Harbour, Finn Wolfhard

NOWE SERIALE: „ROZMOWY Z PRZYJACIÓŁMI"

Kolejna ekranizacja powieści Sally Rooney. Początkująca pisarka (świetna rola debiutantki Alison Oliver) wikła się w romans z mężem znanej autorki. Jednocześnie nie może sobie poradzić z uczuciem do swojej najlepszej przyjaciółki. Ciekawy portret pokolenia millennialsów – mocno zagubionych, zakompleksionych i głodnych miłości. Także opowieść o przyspieszonym dojrzewaniu – bardziej wnikliwa niż powieści Nicka Hornby'ego i oparte na nich filmy. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***reż. Lenny Abrahamson „Rozmowy z przyjaciółmi" („Conversations with Friends"), Irlandia/Wielka Brytania 2022***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sez. 1* ***„Tego lata stałam się piękna" („The Summer I Turned Pretty")****, USA 2022* prime video
- *reż. Gary Alazraki* ***„Ojciec panny młodej" („Father of the Bride")****, USA 2022*
- *reż. Martin Hawie,* ***Laura Harwarth „Przyszłość to samotne miejsce" („Die Zukunft ist ein einsamer Ort")****, Niemcy 2021* CINEMAX

eprasa.pl f4e3c581c3

Opiekunka obiektu

KINO

Binoche i naturszczycy w ekranizacji powieści o cieniach i blaskach życia prekariatu. We Francji jest bowiem naprawdę źle – młodej kobiety nie stać na tatuaże. Gorzej mają tylko uchodźcy. Gehennę oglądamy oczami Marianne, która przez 23 lata była gospodynią domową, lecz porzucona przez męża próbuje zacząć wszystko od nowa w Caen, gdzie nikt jej nie zna. Przekona się na własnej skórze, że praca z miesięczną wypłatą, ubezpieczeniem i płatnym urlopem jest pieśnią przeszłości, a minimalna stawka wynosi 8 euro za godzinę. Ponoć żadna praca nie hańbi, nawet pucowanie sedesów i urynałów w toaletach publicznych, ale tylko sprzątaczka (w urzędniczym żargonie nazywana „opiekunką obiektu") zatrudniona na promach wie, czym jest przedsionek piekła. Sześćdziesiąt łóżek trzeba pościelić w półtorej godziny. O chamstwie i bezduszności pracodawców szkoda nawet wspominać. Sęk w tym, że Marianne jest oszustką, a dokładniej „wrażliwą społecznie" pisarką, która zbiera materiały do książki, będącej reportażem wcieleniowym. Marzy się jej portret grupowy biedoty. Naciąga towarzyszy niedoli na zwierzenia, robi po kryjomu notatki. O tym, że zdrada w każdych okolicznościach pozostaje zdradą, a fałszywa przyjaźń nigdy nie stanie się prawdziwa, wiedział już Donnie Brasco, ale Francuzi lubią odkrywać Amerykę. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. EMMANUEL CARRÈRE
„MIĘDZY DWOMA ŚWIATAMI" („OUISTREHAM")
FRANCJA 2021

wyst. Juliette Binoche, Hélène Lambert, Steve Papagiannis

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ODCHODZĄC

Benjamin jest nieuleczalnie chory. Wypełnia go gniew, lęk i poczucie niesprawiedliwości. Ma przecież dopiero 39 lat. Szczęście w nieszczęściu – dostaje się w ręce charyzmatycznego lekarza. Dla dr. Eddé, anioła w białym fartuchu, najważniejsza jest „pasja wobec pacjenta i jego rodziny" i w takim duchu bezustannie szkoli personel swojej kliniki. Dziwnie się to ogląda w kraju, w którym medycyna wzięła niemal całkowity rozbrat z humanistyką, a czasem nawet z humanizmem. Bohater – dopóty, dopóki czuje się na siłach – uczy młodych ludzi aktorstwa. Dla fabuły ten fakt ma znaczenie raczej drugorzędne, lecz każda chwila spędzona poza szpitalną salą jest dla widza wytchnieniem. Czy filmy o komfortowym umieraniu mają walory terapeutyczne? Głowy nie dam, ale jednego jestem pewny: Francuzi nawet w dniu sądu ostatecznego będą popisywać się erudycją, wygłaszać złote myśli oraz opowiadać frywolne żarciki.

★★★☆☆☆

REŻ. EMMANUELLE BERCOT
„DOPÓKI ŻYJĘ" („DE SON VIVANT")
FRANCJA 2021

wyst. Benoît Magimel, Catherine Deneuve, Gabriel Sara

SENNIK POLSKI

vod.pl

Jedną z osobliwości PRL były filmy kręcone przez inteligentów dla inteligentów. W cyklu „Dziś są moje urodziny" Ninateka przypomina klasyka takiego kina, Tadeusza Konwickiego. Wyreżyserował on siedem obrazów. Najdziwniejszy z nich to „Salto" z puszystym i skacowanym Cybulskim w napisanej dla niego roli mitomana, zakłócającego małomiasteczkową dolce vita. Konwicki chciał polemizować z Wajdą i martyrologiczną wersją historii, choć sam był typowym okazem twórcy naznaczonego wojenną traumą. W rezultacie powstał film z jednej strony ekscentryczny, z drugiej – zatopiony w realiach epoki jak mucha w bursztynie. Podejrzewam, że dla dzisiejszego widza obcowanie z „Saltem" może być frustrujące, lecz 101 minut spędzonych w towarzystwie autora „Małej apokalipsy", Wojciecha Kilara i Tadeusza Różewicza pozostawia ślad trudny do wymazania z pamięci. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. TADEUSZ KONWICKI
„SALTO"
POLSKA 1965

wyst. Zbigniew Cybulski, Gustaw Holoubek, Iga Cembrzyńska

GRA TYGODNIA: „DIABLO IMMORTAL"

★★★★☆☆

Sinusoida emocji – hejt po zapowiedzi (bo wygłodniali gracze chcieli prawdziwe „Diablo", a nie mobilny substytut), miłe zaskoczenie po ogłoszeniu, że w „DI" zagramy także na PC, bardzo ciepłe przyjęcie i znów hejt, gdy okazało się, że gra w dość nachalny sposób zachęca do mikropłatności, a bez inwestowania sporej gotówki lub wielu, naprawdę wieeelu godzin grindu nasza postać nie rozwinie skrzydeł. Ale jeśli komuś nie zależy na ściganiu czołówki, to może czerpać z gry dużo przyjemności. Wciąż sporo jest znaków zapytania, dotyczących m.in. rozwoju systemu mikropłatności i endgame'u, ale na obecnym etapie jest to naprawdę solidne „Diablo". Zaskakująco dobre. ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *Hack'and'slash, MMO*
- ***Platforma:*** *iOS, Android, PC (beta)*
- ***Producent, wydawca:*** *NetEase, Activision Blizzard*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl f4e3c581c3

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Dezyderata Pawła Kuszczyńskiego

Dezyderata" – w Polsce głównie za sprawą Piwnicy pod Baranami, która uczyniła je jednym ze swoich hymnów, znane są każdemu, kto ma lat więcej niż 20. Najczęściej odmieniane są nieprawidłowo, jako „ta" dezyderata, podczas gdy są to „te" dezyderata, od łac. desideratum (to, co upragnione i pożądane). Podobnie nie powstały one w XVII w., jak śpiewali Piwniczanie, a trzy stulecia później, kiedy spisał je Max Ehrmann. Utwór karierę zrobił niesłychaną, dla wielu osób stanowiąc coś na kształt przypisów do Dekalogu, zbioru prawd, które winniśmy mieć na względzie, by godnie przeżyć dany nam czas. Zresztą któż nie pamięta tych słów: „Przechodź spokojnie przez hałas i pośpiech / I pamiętaj jaki spokój można znaleźć w ciszy", „Bądź sobą, zwłaszcza nie udawaj uczucia / Ani też nie podchodź cynicznie do miłości / Bo ona jest wieczna jak trawa", „Bądź ostrożny w interesach / Na świecie bowiem pełno jest oszustwa" itp., itd.

I oto w najnowszym (15. już) tomie wierszy poznańskiego poety Pawła Kuszczyńskiego, którego poprzedni zbiór poezji – „Pora słowa" – recenzowałem w tym miejscu, z niejakim wzruszeniem znalazłem dopełnienie tez „Dezyderatów", znacząco zatytułowane – „Wskazania szukającego czeladnika". Mógłby mieć ten tytuł jeszcze ciąg dalszy: „… czyli pochwała umiaru", ponieważ – czytamy:

Umiar zaczyna się
od cichego otwarcia drzwi
przynosi spokój bliźnim.
Wdzięczność córką pamięci,
potwierdzeniem obecności
spotkanego człowieka.
Ciesz się, gdy ktoś zauważa
twoje oczekiwanie.
Nie porzucaj miłości,

FOT. ZLP-POZNAŃ E-KEI.PL

możesz nie doczekać następnej.
Nie wyprzedzaj lęku,
pamiętaj – świat nigdy
nie pozostaje dłużny.

A bywa, że swoim okrucieństwem poraża… Przywołuje więc autor najciemniejsze strony XX-wiecznej historii w „Tryptyku katyńskim" i „Córkach generała", poświęconych pamięci dwóch córek gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego: Janinie, wspaniałej lotniczce, podporucznik, wziętej do niewoli, prawdopodobnie po zestrzeleniu, we wrześniu 1939 r., a następnie zamordowanej w Lesie Katyńskim, i młodszej od niej Agnieszce, za udział w konspiracji rozstrzelanej przez Niemców w Palmirach w czerwcu 1940 r. W innym utworze kłania się znów Paweł Kuszczyński odważnemu, a nawet nazywanemu szalonym mjr. Henrykowi Dobrzańskiemu, sławnemu „Hubalowi". To ważne wiersze, kultywujące pamięć o czasie, w którym – jak pisze – „cnota honoru i upór zmagały się z czarnym losem".

Ale przede wszystkim poezję autora „Mądrości dobra" przepełnia tęsknota za ładem, za choćby tylko względnym porządkiem świata przez Boga ustanowionym. Wspomina tu swoją nauczycielkę, której wskazaniu, by „nie bacząc na przeszkody / życie wypełniać dobrem, prawdą i pięknem", stara się pozostać wierny. Co w tym pomaga? Wiara i sztuka. „Boga – powiada – nie może dotknąć / człowieka niedoskonałość, / nie opisze ludzkie słowo, / nie ukaże obraz". Ale pomagają żyć taki „Pstrąg" Franciszka Schuberta, tego najbardziej poetyckiego muzyka wszech czasów, jak go nazywał równie świetny imiennik – Liszt, czy malarstwo Caspara Davida Friedricha, niemieckiego romantyka i jego piękny „Wędrowiec nad morzem mgły". A w Iwaszkiewiczowskim Stawisku trzeba się zatrzymać przy sośnie: „To już nie parasol – / baldachim nad głową, / naznaczony pamięcią i trwaniem. / Tutaj wiesz od razu: życie pozostaje jedyną miłością / i to odwieczne pytanie: / czym je wypełnić".

W dalszym ciągu cytowanych już tutaj „Wskazań szukającego czeladnika" autor radzi:

Otwieraj oczy na grę kolorów i cieni
w ogrodzie kwiatów przesłaniających
ciemność ziemi,
i gdy jeszcze nadleci kratkowiec
z ożywczym brązem, czerwienią
i pasmami bieli.
Życie jest otwartą przestrzenią,
w której pragnie wygrywać
z losem.
Zachowaj spokój w niepokoju
nie spiesz się zbytnio.

Poeta niepokoi się tym, co zakłóca nasze ziemskie bytowanie, choćby pandemią. A jednak mimo wszystko ze strof 51 utworów tworzących „Mądrość dobra" przebija głębokie przekonanie wzięte nie z czego innego, jak z „Dezyderat" właśnie: „Przy całej swej złudności znoju i rozwianych marzeniach / Jest to piękny świat". Tak, „jest to piękny świat". ©℗

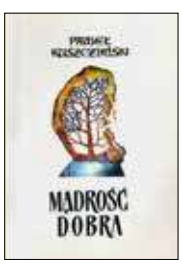

★★★★☆

PAWEŁ KUSZCZYŃSKI „MĄDROŚĆ DOBRA" BONAMI, POZNAŃ 2022

eprasa.pl f4e3c581c3

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Próba ucieczki

Dla mnie istnieje tylko jeden czas – przeszły. Teraźniejszy czas jest fikcją. Przecież jego nie ma! Natomiast przyszłość jest tylko wyobrażeniem" – mówi Wiesław Myśliwski. Może to być motto do powieści „Schron przeciwczasowy". Georgi Gospodinow (bułgarski pisarz nagrodzony m.in. Angelusem za „Fizykę smutku") nawiązuje też – nie wiem, na ile świadomie – do słynnej powieści Vonneguta „Rzeźnia numer pięć". Jej bohater, Billy Pilgrim, „wypadł z czasu" i błąkał się po czasoprzestrzeni. W „Schronie przeciwczasowym" pacjenci szwajcarskiej kliniki trafiają do pieczołowicie odtworzonych kawałków przeszłości, a narrator/bohater zmaga się z rozmaitymi fragmentami historii naraz.

Prócz niego główną figurą jest tu niejaki Gaustyn, twórca wspomnianej kliniki, a zarazem postać w tajemniczy sposób objawiająca się w różnych punktach przeszłości. Występuje także jako twórca i myśliciel, Gospodinow przypisuje mu autorstwo rozmaitych mniej lub bardziej celnych maksym. Mozaikowa książka jest zarazem metafikcją, być może dziennikiem chorego umysłu (narratora, nie autora), na pewno literacką fantazją (ale nie science fiction, to inny rodzaj fantastyczności), wielką medytacją nad rolą przeszłości w naszym istnieniu. Pyszną kpiną jest pomysł, by europejskie narody w referendum wybrały sobie nie najlepsze władze, ale najlepszą przeszłość – taką, z którą czują się najbardziej komfortowo.

Mimo wyrwania ze strumienia czasu Billy Pilgrim u Vonneguta był zarazem nierozerwalnie związany z jednym jego węzłem – bombardowaniem Drezna. Narrator „Schronu przeciwczasowego" ma inną obsesję: 1 września 1939 r., dzień inwazji Niemiec na Polskę. Wraca do niego na rozmaite sposoby, snuje rozważania (niektóre mocno groteskowe, jak pojawiające się w finale koncepty „rekonstrukcji historycznych"), egzorcyzmuje ten punkt zwrotny najnowszej historii. „Schron przeciwczasowy" mógł powstać tylko w głowie pisarza z naszej części Europy, mieszkańca ziem tak często skrwawionych w minionym stuleciu. Widzę w tej powieści rozpaczliwą próbę ucieczki, wyrwania się z żelaznych objęć historii, która skazała naszą część Europy na tak straszny los. Przeszłość jednak nie odpuszcza. Można ją wykpić, ale nie można jej unieważnić. Komedia zamienia się w tragedię. Wieczną tragedię? ©℗

★★★★★☆

GEORGI GOSPODINOW „SCHRON PRZECIWCZASOWY" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Szósty tom serii klasyki grozy. Oprócz twórców już tłumaczonych (Ruben Dario, Horacio Quiroga, Adolfo Bioy Casares) wiele nowych dla nas nazwisk (Silvina Ocampo – żona Casaresa). Plus nowela Carlosa Fuentesa „Vlad".

AUTORZY RÓŻNI „OPOWIEŚCI NIESAMOWITE Z HISPANOAMERYKI" PIW

„O archeologicznych tajemnicach ziem polskich", czyli lamus ciekawostek o skarbach wydartych ziemi oraz o wysiłku tych, którzy ich poszukują. Często z odwołaniem do źródeł pisanych (dla porównania). Nie tylko dla pasjonatów.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA „GRODY, GARNKI I UCZENI" WYDAWNICTWO LITERACKIE

„Była to najlepsza i najgorsza z epok, wiek rozumu i wiek szaleństwa, czas wiary i czas zwątpienia, wiosna pięknych nadziei i zima rozpaczy" – klasyka w nowym wydaniu, Paryż i Londyn czasu rewolucji i wielkiego terroru.

CHARLES DICKENS „OPOWIEŚĆ O DWÓCH MIASTACH" ZYSK I S-KA

Powieść o wyprawie polarnej Adriena de Gerlache'a, któremu w 1897 r. towarzyszyli m.in. młody Roald Amundsen i Henryk Arctowski. Załoga statku „Belgica" uwięziona w lodach jako pierwsza przezimowała na Antarktydzie. ©℗

poleca Piotr Gociek

JULIAN SANCTON „OBŁĘD NA KRAŃCU ŚWIATA" MEDIA RODZINA

KOMIKS TYGODNIA: „KRÓL NIEDŹWIEDŹ"

Sztorm wyrzuca na brzegach królestwa niedźwiedzi ciało młodego człowieka. Wskrzeszony z martwych przybysz przynosi niepokojące wieści o knowaniach wiedźmy Kalygaryd. Król Artus wysyła ekspedycję, która ma zbadać zagrożenie. Serię wymyślił Olivier Vatine (scenarzysta serii SF „Aquablue"), scenariusz napisał Dobbs (Olivier Dobremel), a narysował Didier Cassegrain. Powstał komiks wybitny, który powinien stać się klasyką w równym stopniu jak cykl „W poszukiwaniu Ptaka Czasu". Polska edycja zawiera pierwsze dwa tomy (jedyne dotąd wydane). Niecierpliwie czekam na ciąg dalszy. ©℗

OLIVIER VATINE, DOBBS, DIDIER CASSEGRAIN „KRÓL NIEDŹWIEDŹ" WYDAWNICTWO KURC 2022

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl f4e3c581c3

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Piękno kartografii

Zmarły w 2010 r. dr Tomasz Niewodniczański to postać dobrze znana w kręgach kolekcjonerów dawnych starodruków, archiwaliów historycznych oraz map. Zgromadził imponującą kolekcję poloników, włączając w nią unikatowe starodruki, w tym rękopisy Adama Mickiewicza czy Juliana Tuwima. Z pasją gromadził także dawne mapy Rzeczypospolitej – ziem leżących dzisiaj w granicach Polski, Litwy, Ukrainy, Białorusi, Łotwy i Estonii. Tomasz Niewodniczański swą kolekcję poloników przekazał w depozyt Zamkowi Królewskiemu w Warszawie – Muzeum, a to udostępnia właśnie na wystawie czasowej 40 map.

Przepiękne, wspaniałe, unikatowe. Tworzone przez wybitnych przedstawicieli kartografii dzieła sztuki. Wśród nich jedna z najpiękniejszych map epoki stanisławowskiej – „Carte de la Pologne" Giovanniego Antonia Rizziego-Zannoniego z 1772 r. – czy radziwiłłowska mapa Wielkiego Księstwa Litewskiego Tomasza Makowskiego, wydana przez Willema Janszoona Blaeua w 1631 r. ©℗

FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

GDZIE? ***Zamek Królewski w Warszawie***
KIEDY? ***do 7 sierpnia***

FOT. ARCHIWUM F. STERNA I K. STERN BRENNAN

SZTUKA UŻYTKOWA POELZIGA

Wybitny architekt, autor projektu m.in. Pawilonu Czterech Kopuł we Wrocławiu tym razem w kontekście tworzonej przez niego sztuki użytkowej. Na wystawie „Z Wrocławia do Nowego Jorku i z powrotem. Hans Poelzig i styl tworzywa" prezentowane są przede wszystkim meble zaprojektowane przez Poelziga dla rodziny Briegerów (nigdy wcześniej nie były publicznie prezentowane), ale także archiwalne fotografie oraz projekty wnętrz i wyposażenia domu własnego architekta. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Architektury we Wrocławiu***
KIEDY? ***do 2 października***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Top Cruise

Album z piosenkami z pierwszej części „Top Gun" był numerem jeden w USA przez pięć tygodni i rozszedł się za oceanem w dziewięciomilionowym nakładzie. Część drugą promuje piosenka Lady Gagi „Hold My Hand", którą autorka opisała jako „list miłosny skierowany do świata po bardzo trudnym czasie, jaki wszyscy przeszliśmy".

Tak jak sam film bezpośrednio nawiązujący do oryginalnego obrazu, tak i nowa ścieżka dźwiękowa łączy się z pierwszym soundtrackiem. Na płycie, jako drugi w kolejności, pojawia się największy przebój pierwszej części – „Danger Zone" Kenny'ego Logginsa. Jest też rockandrollowy evergreen „Great Balls of Fire" – tym razem w wykonaniu aktora Milesa Tellera. Temat miłosny Lady Gagi doskonale sprawdza się w filmie i krytycy przewidują, że „Hold My Hand" może dać jej drugiego Oscara. Niezły jest też drugi oryginalny hit – „I Ain't Worried" zespołu OneRepublic.

Utwory instrumentalne napisali Lorne Balfe, Hans Zimmer i berlińczyk Harold Faltermeyer. Ten ostatni zdobył nagrodę Grammy za temat „Top Gun Anthem" z pierwszej części. Ton nowej partytury określa właśnie ta kompozycja. Jest zatem patos, jest nostalgicznie, melancholijnie i nie mogło zabraknąć charakterystycznych dronów Zimmera. No i dodajmy, że ostateczna decyzja co do wykorzystania konkretnych utworów należała do Toma Cruise'a. ©℗

★★★★☆☆
RÓŻNI WYKONAWCY
„TOP GUN: MAVERICK"
UNIVERSAL

★★★★☆☆
SEX PISTOLS
„THE ORIGINAL RECORDINGS"
UNIVERSAL

Ta enta składanka ukazała się przy okazji premiery serialu Disneya o najbardziej kontrowersyjnym zespole w historii. Tych 20 piosenek, które w latach 1976–1978 wstrząsnęły brytyjskim establishmentem, nie zasługuje, by cynicznie nimi handlowano na zielonych i żółtych winylach.

★★☆☆☆☆
DEF LEPPARD
„DIAMOND STAR HALOS"
EMI

Głupawy, melodyjny soft metal, którego czas dawno przeminął. Trwająca ponad godzinę płyta odgrzewa zjełczałe kotlety przygotowane wedle recept z lat 80. Stadionowe refreny, gitarowe solówki, dramatyczne ballady. Nawiązanie w tytule do piosenki T. Rex-ów nic nie pomogło. ©℗

eprasa.pl f4e3c581c3

REKLAMA

SENSACYJNE SZCZEGÓŁY
Z ŻYCIA AUTORÓW LEKTUR SZKOLNYCH!
PRAWDA CIĘ ZASKOCZY

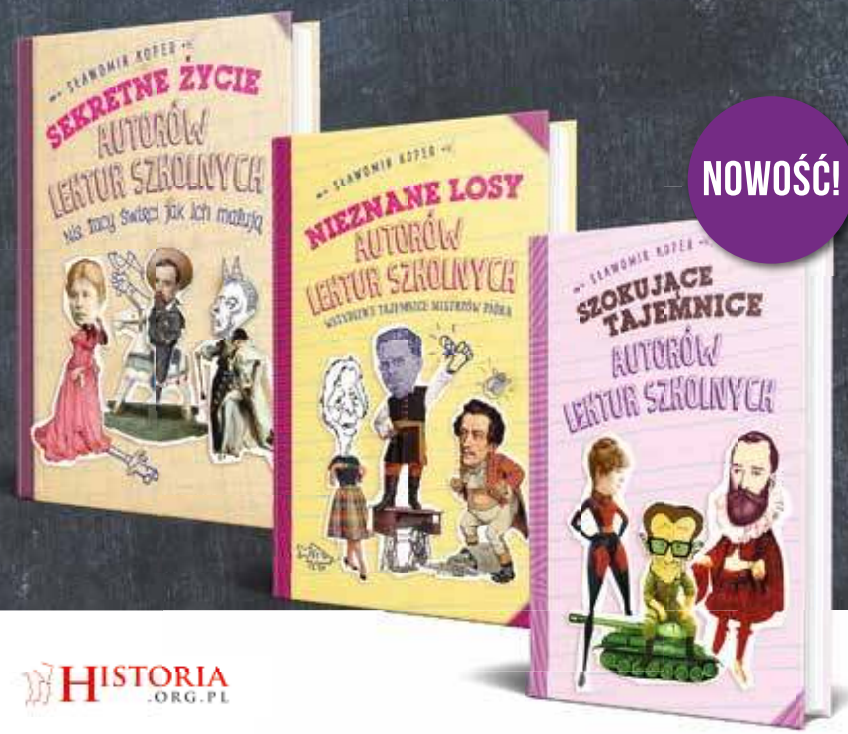

NOWOŚĆ!

PATRONATY MEDIALNE:

REKLAMA

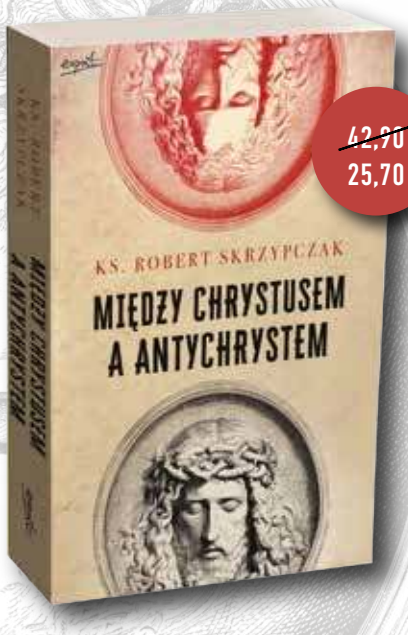

~~42,90~~
25,70

esprit

CZY ANTYCHRYST JEST JUŻ WŚRÓD NAS?

Ksiądz Robert Skrzypczak to jeden z najwybitniejszych chrześcijańskich apologetów w Polsce na początku XXI wieku. Jego książka „Między Chrystusem a Antychrystem" pozwala nam lepiej odczytywać znaki czasów i dokonywać duchowego *rozeznania otaczającej nas rzeczywistości.*

GRZEGORZ GÓRNY
dziennikarz, publicysta, pisarz

odbierz dodatkowy rabat* na hasło: DO RZECZY **-5%**

*promocja ważna do 30 czerwca 2022 roku

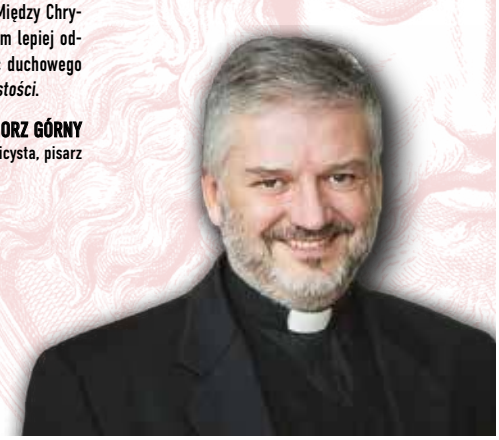

Zapisz się do Katalogu Dobrych Książek i otrzymuj specjalne gratisy!
Zamów książkę na **esprit.com.pl** lub pod numerem telefonu **12 267 05 69**.

Darmowa dostawa od 99 zł.

eprasa.pl f4e3c581c3

Orły, sokoły, bażanty...

Przed tygodniem na gali w Teatrze Polskim w Warszawie, na której obecni byli Krewni i Znajomi uhonorowanych Królików, rozdano Orły, czyli nagrody Polskiej Akademii Filmowej FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

Krzysztof Masłoń

Kino jest najważniejszą ze sztuk – zadekretował w 1921 r. sam Włodzimierz Iljicz Lenin, a w 1985 r. powtórzył te słowa w „Vabanku II" Juliusz Machulski i odtąd święcie w nie wierzą nasi twórcy filmowi, przy każdej okazji nagradzający się wzajemnie rozmaitymi statuetkami, służącymi potem laureatom za przyciski do papieru na biurko bądź zbierającymi kurz na półkach salonów w ich domach. Wśród tych materialnych dowodów środowiskowego uznania szczególnym wzięciem cieszą się Orły, nagrody Polskiej Akademii Filmowej, rozdane przed tygodniem, po raz 24. w dziejach, na gali w Teatrze Polskim w Warszawie, na której obecni byli Krewni i Znajomi uhonorowanych Królików, oczywiście poza tymi, których nie było.

Galę zdominowała, bo inaczej być nie mogło, sytuacja za naszą wschodnią granicą. „Nigdy piekło nie było tak blisko" – zafrasował się Mariusz Wilczyński, król zeszłorocznego polowania na Orły, gdy zdeklasował konkurencję swoim filmem chętniej słuchanym, ze względu na wykorzystaną w nim muzykę Tadeusza Nalepy, niż oglądanym, a zatytułowanym „Zabij to i wyjedź z tego miasta". „Ten strach znam tylko z opowieści moich dziadków. Ale też mam poczucie, że nigdy nie żyłem w tak pięknej Europie, pięknej, bo tak skonsolidowanej. Ta konsolidacja daje nam bezpieczeństwo. Chciałem powiedzieć: niech nikt nie próbuje wyprowadzić nas z Europy, bo jesteśmy jej częścią". Częścią tego „skonsolidowanego" kontynentu jest także – ośmielam się zauważyć – Ukraina, której jakoś do Europy nie kwapią się przyłączyć rzekomo dający nam bezpieczeństwo Niemcy czy Francuzi.

Wizję pięknej i wspierającej się Europy zakłóciła też Ewa Puszczyńska, producentka międzynarodowej koprodukcji „Aida" o masakrze na Bałkanach, w Srebrenicy w 1995 r. Odbierając nagrody w imieniu Jasmili Zbanić (za najlepsze film, reżyserię i scenariusz), przypomniała, jak wtedy świat nie usłyszał dobiegającego z Bośni wołania o pomoc i „po prostu pojechał sobie na wakacje". A teraz ten sam świat przyzwyczaja się do tego, co się dzieje na Ukrainie. I znów mamy lato, na razie więc filmowcy pokazali do kamer kartki z napisem „Stop Russian War!".

„Życie pisze nam makabryczny scenariusz. Ale mam wrażenie – podzielił się z kolei z publicznością swoimi odczuciami aktor Andrzej Chyra – że za bardzo jesteśmy otwarci na świat, a straciliśmy z perspektywy to, co się dzieje w Polsce. Scenariusz polski jest brutalną opowieścią, a jesteśmy już tak przyzwyczajeni do takiego mocnego kina, że nic z tym nie robimy. Więc prosiłbym bardzo, żebyśmy walczyli o wolne sądy. Ten wątek tutaj był już wcześniej w jakimś sensie we fragmencie filmu dokumentalnego z wizerunkiem sędziego Igora Tuleyi, którego znam z naszych wypraw z Tour de Konstytucja. Mówię o tym dlatego, że nie mamy sposobu na zmianę scenarzystów tego, co się dzieje w Polsce. Mam wrażenie, że czekamy już tylko na wybory, a ja poprosiłbym rząd, żeby w międzyczasie zaakceptował postanowienia TSUE i żebyśmy przyjęli to, co powinniśmy przyjąć, i nie narażali Polski na śmieszność".

Sędzia Tuleya, jak się okazuje, bohater naszych czasów, rzeczywiście pojawił się na transmitowanej przez Canal Plus gali w zwiastunie nominowanego do nagrody w kategorii filmu dokumentalnego półtoragodzinnego obrazu Kacpra Lisowskiego i Iwony Harris „Sędziowie pod presją", wcześniej podziwianego na festiwalu w Amsterdamie, gdzie międzynarodowa publiczność mogła przejąć się losem gnębionych w faszystowskiej Polsce tak niezłomnych bojowników o niezależność wymiaru sprawiedliwości jak prokurator Krzysztof Parchimowicz, adwokat Sylwia Gregorczyk-Abram czy sędziowie Markiewicz, Żurek i rzeczony Tuleya właśnie. Z zupełnie niezrozumiałych powodów dzieło to nie doczekało się obecnie nagrody, przegrywając z „Filmem balkonowym" Pawła Łozińskiego, który to twórca skromnie zaapelował jedynie o dialog, gdyż bardzo nam go obecnie brakuje.

Najbardziej oklaskiwanym człowiekiem na gali był, czego spodziewaliśmy się wszyscy, Maciej Stuhr, uznany za najlepszego aktora za rolę w filmie „Powrót do tamtych dni". Z dowcipami nie przesadzał, w końcu czas mamy raczej nie na żarty. Udał mu się jedynie wic o czereśniach, z których w dawnych dobrych czasach wypluwaliśmy pestki – tak nam się dobrze wiodło! Zacytował poza tym Wyspiańskiego, a otrzymaną nagrodę zadedykował „wszystkim dzieciom, żeby nie musiały oglądać swoich rodziców pod wpływem". Czego, nie musiał w tym towarzystwie precyzować. Mistrz orlej ceremonii tak się rozpędził w swoich podziękowaniach, że do listy osób, którym jest dozgonnie wdzięczny, dołączył swoją małżonkę, a to ze względu na to, iż to dzięki niej właśnie staje się coraz lepszym człowiekiem, a co za tym idzie – lepszym aktorem. Panie Macieju, jeszcze lepszym? ©℗

eprasa.pl f4e3c581c3

DODATEK SPECJALNY – CZĘŚĆ 10

PRAWNA OBRONA PRZED POLONOFOBIĄ

Holokaust i wolność słowa

przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka

• Orzecznictwo ETPC w kontekście Holokaustu • Miejsce ETPC w europejskim porządku prawnym • Polak, który dał prawnikom narzędzie do zwalczania ludobójstwa • Najwięksi kłamcy na temat historii Holokaustu

PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

eprasa.pl f4e3c581c3

FOT. ADOBE STOCK

SPIS TREŚCI

47 ROZMOWA Z DR. JAKUBEM CZEPKIEM

WOLNOŚĆ SŁOWA I HOLOKAUST

Wywiad Piotra Włoczyka dotyczący kłamstw na temat Zagłady w wyrokach Trybunału w Strasburgu.

51 ZUZANNA DĄBROWSKA

PRAWDZIWA SIŁA ETPC

Europejski Trybunał Praw Człowieka odgrywa szczególną rolę w systemie sądownictwa na Starym Kontynencie. Ma chronić podstawowe prawa i wolności obywateli państw będących stroną konwencji z 1950 r. Jak to wygląda w praktyce?

54 WOJCIECH SIMON

PRAWNIK Z POLSKI TWÓRCĄ POJĘCIA „LUDOBÓJSTWO"

Rafał Lemkin, jeden z najwybitniejszych polskich prawników, całe życie poświęcił stworzeniu definicji ludobójstwa. To dzięki niemu zakaz ludobójstwa ma obecnie charakter normy ius cogens, czyli bezwzględnie obowiązującej, a zbrodnia ta jest penalizowana w ustawach karnych praktycznie na całym świecie.

58 JAKUB OSTROMĘCKI

NEGACJONIŚCI PRZED SĄDEM

Jedni wprost zaprzeczają Holokaustowi, inni twierdzą, że w rzeczywistości ofiar było dużo mniej i Żydzi wcale nie ginęli w komorach gazowych. Środowisko negacjonistów doczekało się nawet własnych „konferencji naukowych".

eprasa.pl f4e3c581c3

Siedziba Europejskiego Trybunału Praw Człowieka znajduje się w Strasburgu

FOT. ADOBE STOCK

Z dr. Jakubem Czepkiem, wykładowcą UKSW, ekspertem w dziedzinie orzecznictwa Europejskiego Trybunału Praw Człowieka
rozmawia Piotr Włoczyk

Wolność słowa i Holokaust

PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego Europejski Trybunał Praw Człowieka w absolutnie wyjątkowy sposób traktuje w swoim orzecznictwie Holokaust?

DR JAKUB CZEPEK: ETPC faktycznie podchodzi do zbrodni Holokaustu w sposób szczególny. Trybunał określa Holokaust wprost jako bezdyskusyjny fakt historyczny i jest to jedyna masowa zbrodnia, która uzyskała taki status w orzecznictwie Trybunału. W praktyce oznacza to, że w świetle art. 10 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, gwarantującego wolność ekspresji, dyskusja na temat faktów dotyczących Holokaustu nie jest dozwolona, czyli – krótko mówiąc – nie wolno w żaden sposób zniekształcać pamięci o tym ludobójstwie.

Przed reformą ETPC, gdy funkcjonowała jeszcze Europejska Komisja Praw

eprasa.pl f4e3c581c3

Doğu Perinçek w czasie wiecu, 2005 r.
FOT. ULUSALOG/WIKIMEDIA COMMONS

Człowieka, rozpatrzono wiele spraw na tle negacjonistycznym, w których skarżący podnosili np., jakoby Holokaust był jednym wielkim oszustwem, a za wszystkim tak naprawdę stały interesy państwa izraelskiego. Nie było wątpliwości, że tego rodzaju publikacje nie prowadzą do żadnej debaty historycznej, lecz ich jedynymi celami są podawanie w wątpliwość faktu Holokaustu w Europie, rehabilitacja ideologii nazistowskiej lub też zdjęcie odpowiedzialności za tę zbrodnię z III Rzeszy. Dlatego też uznawano, że państwa członkowskie mają prawo ograniczać wolność wypowiedzi w tym zakresie.

Trybunał uznał tak m.in. w sprawie Garaudy przeciwko Francji, której poświęca pan dużo uwagi w książce „Prawda historyczna a odpowiedzialność prawna za jej negowanie lub zniekształcanie".

Była to kluczowa sprawa w interesującym nas kontekście. Skarżący Roger Garaudy opublikował w 1995 r. książkę pt. „Mity założycielskie polityki izraelskiej", w której w gruncie rzeczy kwestionował Holokaust, pisząc m.in., że Niemcy wcale nie zamierzali wymordować Żydów jako narodu, a jedynie chcieli ich deportować. Ponadto kwestionował on liczbę wymordowanych osób, a nawet sam fakt istnienia komór gazowych. Skarżący twierdził, że prawdziwą przyczyną śmierci Żydów w czasie wojny były głównie głód i choroby. Trybunał stwierdził jednoznacznie, że tego rodzaju publikacje nie korzystają z ochrony wynikającej z wolności ekspresji (art. 10), ponieważ Holokaust jest jasno ustalonym faktem historycznym i nie można go podważać. Jak widać, ta zbrodnia jest traktowana w orzecznictwie strasburskim w sposób bardzo stanowczy.

Z Francją wiąże się też sprawa o dopuszczalność obrony kolaboracyjnego rządu Francji Vichy, kierowanego przez marszałka Philippe'a Pétaina. Sędziowie ze Strasbourga nie byli tu podobnie kategoryczni.

Sprawa Lehideux i Isorni przeciwko Francji dotyczyła wypowiedzi wręcz apologizujących działania francuskich władz kolaborujących z III Rzeszą. Skarżącymi byli minister w rządzie Pétaina oraz adwokat tego ostatniego. Francja uznała, że takie wybielanie kolaboracyjnego rządu jest niedopuszczalne i nie podlega ochronie na gruncie wolności ekspresji. Jak się zachował ETPC? Trybunał w Strasburgu nie użył w wyroku argumentacji o jasno ustalonym fakcie historycznym. Uznał za to, że nie jest jego rolą rozstrzyganie kwestii, wokół których cały czas toczy się między historykami dyskusja.

Sędziowie strasburskiego trybunału przeprowadzili tu swego rodzaju test, który miał ustalić cel wypowiedzi. ETPC zbadał, czy wypowiedź była ukierunkowana na zaprzeczanie lub rewidowanie zbrodni nazistowskich, czyli czy uderzała w wartości leżące u podstaw konwencji. ETPC uznał, że państwo powinno podjąć debatę o swojej historii w sposób otwarty i beznamiętny, ponieważ konwencja chroni także wypowiedzi kontrowersyjne, które mogą szokować odbiorcę. ETPC stwierdził, że takie są wymogi pluralizmu w społeczeństwie demokratycznym i w związku z tym Francja nie powinna ograniczać wolności ekspresji skarżących.

O ile odbieranie Holokaustowi statusu ludobójstwa jest nie do przyjęcia w świetle orzeczeń Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, o tyle pamięć o rzezi Ormian nie jest już w ten sposób chroniona. Pokazała to sprawa Perinçek przeciwko Szwajcarii.

Chodziło tu o trzy wypowiedzi skarżącego, do których doszło na terytorium Szwajcarii. Podawały one w wątpliwość nie tyle sam fakt ludobójstwa, ile kwalifikację prawną tej zbrodni. Skarżący występował w szczególnej roli jako polityk, historyk i prawnik w jednej osobie.

Test celu wypowiedzi może budzić wątpliwości. Wydaje się bowiem, że na tej zasadzie wiele faktów historycznych na temat masowych zbrodni można bezkarnie podawać w wątpliwość, o ile sędziowie nie dopatrzą się wzywania do nienawiści

W związku z tym Trybunał stwierdził, że w tej sprawie doszło do naruszenia konwencji przez Szwajcarię, gdzie – przypomnijmy – Perinçek został skazany na grzywnę.

Sednem sprawy jest z interesującej nas perspektywy to, że ETPC nie uznał za bezsporny faktu zbrodni ludobójstwa na Ormianach, której dokonali Turcy w latach 1915–1917. Dlaczego strasburscy sędziowie wydali taką decyzję?

W tym przypadku Trybunał uznał po prostu, że nie ma absolutnego konsensusu w sprawie zbrodni na

eprasa.pl f4e3c581c3

Ormianach, wobec czego dyskusja na ten temat jest dopuszczalna.

Wyrok ten został uznany w środowisku prawniczym za mocno kontrowersyjny. Tak naprawdę przecież Rafał Lemkin, słynny Polak, który ukuł termin „ludobójstwo", zainteresował się tym tematem właśnie w związku ze zbrodniami na Ormianach, jeszcze zanim Niemcy postanowili wymordować Żydów. W swojej autobiografii pisze o tym zresztą wprost. Wydaje się, że zbrodnie na Ormianach w pewnym sensie prześladowały go. Lemkin zastanawiał się nad tym, jak karać sprawców masowych mordów. W przypadku pojedynczych zbrodni sprawa jest prosta – sprawca karany jest za zabójstwo. Ale inaczej jest w przypadku kwalifikacji zbrodni dokonanej wobec setek tysięcy osób. To doprowadziło go do ukucia terminu „ludobójstwo". I właśnie z uwagi na motywację Lemkina w sprawie Perinçeka pojawiły się dwa głosy odrębne w składzie orzekającym. Sędziowie ci wskazywali na to, że w Internecie można znaleźć fragment wypowiedzi Lemkina, gdy wyraźnie mówił on, że do stworzenia teorii ludobójstwa zainspirowały go właśnie zbrodnie wobec Ormian.

Sprawa Perinçek przeciwko Szwajcarii wskazuje na pewne problemy w linii orzeczniczej. Test celu wypowiedzi, który wykonują sędziowie ETPC, może tu budzić spore wątpliwości. Wydaje się bowiem, że na tej zasadzie bardzo wiele faktów historycznych na temat masowych zbrodni można zupełnie bezkarnie podawać w wątpliwość, o ile sędziowie nie dopatrzą się wzywania do nienawiści.

Wspomniany przez pana art. 10 stanowiący o wolności słowa nierozerwalnie związany jest ze sprawą Handyside przeciwko Zjednoczonemu Królestwu. Czym była „The Little Red Schoolbook"?

Sprawa Handyside to absolutna „klasyka" strasburskiego orzecznictwa. Książka ta została uznana za zbyt liberalną obyczajowo i sądy brytyjskie zabroniły jej publikacji. Trybunał ukuł na potrzeby tego wyroku formułę, która była potem wielokrotnie powtarzana. Zgodnie z nią konwencja chroni prawo do wolności słowa, zapewniając ochronę także wypowiedziom, które mogą być odbierane przez niektórych jako szokujące lub oburzające. Jednak, jak już ustaliliśmy, wypowiedzi zafałszowujące historię Holokaustu nie korzystają z takiej ochrony.

Fragment zdania odrębnego sędziego ETPC prof. dr. hab. Krzysztofa Wojtyczka do wyroku Wielkiej Izby Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w sprawie Janowiec i inni przeciwko Rosji:

1. Nie podzielam poglądu, zgodnie z którym nie doszło do naruszenia art. 3 Konwencji przez pozwane państwo; nie mogę też się zgodzić ze zdaniem większości dotyczącym kwestii stosowania art. 2 Konwencji.

2. Po pierwsze, należy w tym miejscu podkreślić szereg istotnych dla oceny tej sprawy okoliczności. Skarżący nie tylko stracili swoich bliskich, ale musieli też stanąć wobec oficjalnej propagandy przypisującej popełnienie zbrodni Niemcom, a także przez wiele lat w Związku Radzieckim i w Polsce jakiekolwiek prywatne próby dochodzenia prawdy o zbrodni katyńskiej były karane, tak jak np. rozpowszechnianie zgromadzonych w tym przedmiocie informacji. Twierdzenie, że wydarzenia te miały miejsce ponad 70 lat temu, nie jest więc precyzyjne: przeciwnie, cały okres ustroju komunistycznego w obu państwach charakteryzował się rozmaitymi formami naruszeń podstawowych praw skarżących. Należy tutaj dodać, że dla ofiar zbrodni lub ich krewnych czas nie zawsze płynie w ten sam sposób w różnych państwach.

[...]

W mojej opinii sytuacja skarżących stanowi rażący przykład cierpienia, które ma „wymiar i charakter odmienny od emocjonalnego bólu, który może być uznany za nieuchronnie odczuwany przez najbliższych krewnych ofiar zbrodni wojennych".

Ten wniosek dotyczy wszystkich skarżących w niniejszej sprawie. W tej ostatniej kwestii nie podzielam zdania Izby, która uznała za konieczne rozróżnienie między dwoma kategoriami skarżących. W moim przekonaniu wszyscy skarżący wykazali, że mieli bardzo bliskie więzy rodzinne z ofiarami zbrodni oraz że byli zaangażowani w próby ustalenia prawdy dotyczącej tego wydarzenia. W szczególności okoliczność, że niektórzy skarżący nigdy nie mieli osobistego kontaktu z ich ojcami, nie wydaje mi się istotnym argumentem. Przeciwnie, brak jakiegokolwiek kontaktu z jednym z rodziców zwykle powoduje szczególnie głębokie cierpienie.

Tłumaczenie: Ministerstwo Spraw Zagranicznych

Ciekawym problemem wydaje się również w orzecznictwie ETPC upływ czasu.

Tak, w wielu sprawach – np. we wspomnianej już Lehideux i Isorni przeciwko Francji – ETPC uznał, że im więcej czasu upływa od danego wydarzenia, np. zbrodni, tym więcej swobody powinno się pozostawić w dyskusji na jej temat.

Tu również trzeba zrobić zastrzeżenie – z wyłączeniem Holokaustu.

Zgadza się. Na razie z orzecznictwa strasburskiego wynika jasno, że czas upływający od tych zbrodni nie jest uznawany za powód do poluzowania ochrony pamięci o Holokauście.

Porozmawiajmy o drugim z totalitaryzmów w kontekście pracy ETPC. Jakie miejsce w orzecznictwie trybunału w Strasburgu ma pamięć o zbrodniach komunistycznych?

Może się tu pojawić wrażenie, że orzecznictwo ETPC pewnych kwestii w ogóle nie dotyka, za to na temat innych wypowiada się bardzo kategorycznie. Musimy jednak pamiętać, że przed ETPC nie trafiła do tej pory sprawa analogiczna do np. Garaudy przeciwko Francji. Trybunał rozpatruje konkretne wyroki i tylko na tej podstawie możemy wyciągać generalne wnioski na temat jego linii orzeczniczej. Zbrodnie komunistyczne rozpatrywane były bardzo szeroko na gruncie art. 2 (prawa do życia), natomiast Holokaust w dużej mierze w świetle art. 10 (wolności ekspresji).

Wprawdzie przed Trybunał nie trafiła sprawa, w której ktoś wybielałby zbrodnie komunistyczne, jednak ETPC odnosił się pośrednio do tych zbrodni. Trybunał strasburski badał sprawy historyczne dotyczące chociażby zbrodni komunistycznych w Rumunii. Jak wiadomo, transformacja nie była tam tak pokojowa jak w pozostałych państwach bloku wschodniego. Trybunał zajmował się w tym kontekście m.in. sprawą Stowarzyszenie 21 grudnia 1989 r. i Inni przeciw Rumunii. Badano wówczas przebieg śledztwa wobec osób odpowiedzialnych za dokonane zbrodnie.

eprasa.pl f4e3c581c3

Węgierscy Żydzi w obozie Auschwitz-Birkenau, lato 1944 r.

FOT. BUNDESARCHIV, BILD 183-N0827-318/CC-BY-SA 3.0

Skarżący uważali, że demokratyczna Rumunia w niewłaściwy sposób prowadziła śledztwo w sprawie zabójstwa ich bliskich?

Trybunał badał wówczas samo postępowanie, czyli wszystko to, co działo się w Rumunii wokół tej sprawy już po tym, jak kraj ten stał się stroną Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Ponieważ Rumunia w 1989 r. nie była jeszcze stroną konwencji, Trybunał nie mógł badać samych zbrodni. Mógł natomiast ocenić śledztwo, które było w tej sprawie prowadzone już po upadku komunizmu. Podobnie było w sprawie zabójstwa Grzegorza Przemyka i śledztwa prowadzonego w wolnej Polsce. Trybunał strasburski uznawał, że państwa powinny skutecznie ścigać sprawców zbrodni komunistycznych i zaniedbania są w tym kontekście niedopuszczalne.

Do ETPC trafiła też sprawa dotycząca zbrodni katyńskiej – Janowiec i inni przeciwko Rosji.

Zarzut w tej sprawie dotyczył wielu naruszeń, m.in. z obszaru art. 2 i 3 konwencji, czyli prawa do życia i zakazu tortur. Była to skarga złożona przez potomków polskich oficerów zamordowanych w Związku Sowieckim w 1940 r.

Skarżący uważali, że odbieranie im prawa do prawdy przez Rosję, która prowadziła w tej sprawie pozorne śledztwo, było w istocie torturami psychicznymi?

Można tak podsumować wyrok Izby Trybunału. Przy czym nie powinno dziwić, że ETPC zajął się sprawą dotykającą zbrodni z czasów drugiej wojny światowej. Trybunał ma możliwość badania postępowania w sprawach, gdzie sama śmierć nastąpiła przed związaniem się przez dane państwo Europejską Konwencją Praw Człowieka, choć w tej sprawie ETPC uznał się za niewłaściwy w kontekście zbadania naruszenia prawa do życia.

> **Trybunał strasburski uznawał, że państwa powinny skutecznie ścigać sprawców zbrodni komunistycznych**

Ostatecznie w wyroku Izby stwierdzono, że Rosja nie spełniła obowiązku współpracy z Trybunałem, a także iż doszło do naruszenia art. 3, czyli zakazu tortur, ale tylko wobec tych skarżących, którzy poznali swoich ojców. Z kolei w odniesieniu do skarżących, którzy nigdy nie poznali swoich ojców, Trybunał nie uznał takiego naruszenia. Było to stwierdzenie na „otarcie łez". Wyrok Izby był bardzo krytykowany, ale w drugiej instancji, przed Wielką Izbą, było jeszcze gorzej. Trybunał w ogóle nie dopatrzył się naruszenia art. 3. Można powiedzieć, że pod tym względem bliscy ofiar zbrodni katyńskiej nie doczekali się w Strasburgu sprawiedliwości.

Mimo wszystko trudno powiedzieć, że Europejski Trybunał Praw Człowieka jest pobłażliwy w kwestii oceny komunistycznego terroru. Powołam się tu na decyzję Cichopek i Inni przeciwko Polsce. W sprawie tej skarżącymi byli emerytowani funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, którzy wnieśli skargę dotyczącą utraty części przywilejów. Przedstawiali się oni przed Trybunałem jako osoby poszkodowane, które utraciły prawa nabyte. Trybunał pokazał jednak, że zdaje sobie sprawę z tego, czym była komunistyczna bezpieka i czym się zajmowali jej funkcjonariusze. W związku z tym ETPC uznał skargę za niedopuszczalną.

Do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka wpłynęła w zeszłym roku skarga syna Karola Tendery, byłego więźnia niemieckich obozów koncentracyjnych, który domagał się od niemieckiej stacji ZDF przeprosin za użycie sformułowania „polskie obozy zagłady". Doszło do tego, ponieważ niemiecki sąd najwyższy uznał, że stacja nie musi zamieścić przeprosin nakazanych przez polski sąd. Czy możemy pokusić się o prognozę, jaki może być finał tej sprawy?

Zakładamy, że skoro ETPC uznaje, iż zbrodnia Holokaustu jest niepodważalnym faktem historycznym, to wypowiedź fałszująca odpowiedzialność sprawców również powinna zostać uznana przez Trybunał za niedopuszczalne zakłamywanie historii Zagłady. Nie powinniśmy jednak mieć złudzeń, że wyrok w tej sprawie zapadnie szybko. Zajmie to co najmniej kilka lat. ETPC jest bowiem „ofiarą" własnego sukcesu i od ok. 20 lat boryka się z poważnym problemem zaległości orzeczniczych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Jakub Czepek – adiunkt w Katedrze Ochrony Praw Człowieka i Prawa Międzynarodowego Humanitarnego Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie; specjalizuje się w prawie międzynarodowym praw człowieka. Głównym obszarem jego zainteresowań jest funkcjonowanie i orzecznictwo Europejskiego Trybunału Praw Człowieka.

eprasa.pl f4e3c581c3

Prawdziwa siła ETPC

Zuzanna Dąbrowska

Europejski Trybunał Praw Człowieka odgrywa szczególną rolę w systemie sądownictwa na Starym Kontynencie. Ma chronić podstawowe prawa i wolności obywateli państw będących stroną konwencji z 1950 r. Jak to wygląda w praktyce?

Europejski Trybunał Praw Człowieka (ETPC) to sąd międzynarodowy, który orzeka w sprawie skarg na naruszenie praw i wolności zawartych w Europejskiej Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności oraz jej protokołach dodatkowych. Konwencja została podpisana w Rzymie 4 listopada 1950 r. Dokument wszedł w życie 8 września 1953 r. – Na mocy tej umowy międzynarodowej jej sygnatariusze zgodnie określili, jakie prawa uznają za podstawowe prawa i wolności człowieka, których przestrzeganie stanowi „fundament sprawiedliwości i pokoju na świecie". W ten sposób państwa chciały podkreślić przywiązanie do demokratycznego ustroju politycznego oraz konieczność „jednolitego pojmowania i wspólnego poszanowania praw człowieka". Krąg państw przystępujących do konwencji poszerzał się w kolejnych latach. W 1993 r. objął również Polskę – mówi „Do Rzeczy" mec. Lech Obara, prezes stowarzyszenia Patria Nostra.

W 1959 r. utworzono Europejską Komisję Praw Człowieka oraz Europejski Trybunał Praw Człowieka. Komisja decydowała o skierowaniu bądź nie konkretnej sprawy do rozpoznania przez ETPC. Od roku 1998 (na mocy protokołu z roku 1994) zamiast dwóch organów funkcjonuje jeden, czyli Trybunał (będący organem Rady Europy). Jego siedziba mieści się we francuskim Strasburgu. W skład Trybunału wchodzi 47 sędziów – po jednym z każdego państwa-strony konwencji.

Katalog podstawowych praw i wolności zawartych w konwencji został uzupełniony w sześciu dodatkowych protokołach. O jakich „podstawowych prawach" mowa? To m.in. prawo do życia, do wolności i bezpieczeństwa osobistego, do rzetelnego procesu sądowego, zawarcia małżeństwa i poszanowania życia prywatnego. Z kolei wśród najważniejszych wolności wymieniono wolność myśli, sumienia i wyznania, wolność wyrażania opinii, zgromadzania i stowarzyszania się. Konwencja zakazuje ponadto pracy przymusowej i tortur. Zgodnie z dokumentem nikt nie może być karany bez podstawy prawnej.

Mecenas Piotr Andrzejewski, wiceprzewodniczący Trybunału Stanu, wyjaśnia: – Skargi na naruszanie gwarantowanych konwencją praw mogą do ETPC wnosić pokrzywdzeni jako osoby fizyczne, strony (państwa), które przyjęły konwencję, organizacje pozarządowe oraz grupy osób pokrzywdzonych.

Trybunał ma wymiar mocno obywatelski i przez taki pryzmat jest postrzegany w Europie. Na ile rzeczywistość jest zgodna z wyobrażeniami? – ETPC stanowi ważny element systemu ochrony praw człowieka w Europie. Poddanie się przez państwa jurysdykcji sędziów w Strasburgu, rozpatrujących indywidualne skargi jednostek objętych jurysdykcją danego państwa, stwarza całkiem nowe możliwości – mówi „Do Rzeczy" mec. Szymon Topa z Patria Nostra. Jak dodaje, co prawda, wyroki wydawane przez Trybunał, stwierdzające naruszenie konwencji, stanowią reakcję na zaistniałe już uchybienie, jednak mimo to mogą mieć wpływ na system prawa danego państwa. – Jeśli dane uchybienie nie ma charakteru incydentalnego, wskazuje na jakieś systemowe wady danego państwa, to wykonanie wyroku może wiązać się z koniecznością zmian legislacyjnych. W przypadku Polski najbardziej znanym tego przykładem było uregulowanie przez polskiego ustawodawcę procedury dochodzenia odszkodowania za dopuszczenie się przez sąd przewlekłości w prowadzonym postępowaniu. Było to następstwem zapadających w Trybunale wyroków stwierdzających uchybienie przez Polskę przepisowi art. 6 konwencji właśnie poprzez prowadzenie postępowań sądowych w warunkach przewlekłości. Polska niejednokrotnie musiała również zapłacić odszkodowanie za wyroki polskich sądów naruszające wolność słowa – wyjaśnia mec. Topa.

Jedną z głośnych spraw przegranych przez Polskę była sięgająca 2004 r. sprawa prof. Izabeli Lewandowskiej-Malec, profesor Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Polski sąd skazał ją za zniesławienie (w ramach krytykowanego przez wiele środowisk art. 212 Kodeksu karnego) Jerzego Batki, ówczesnego burmistrza Świątnik Górnych. Musiała ona zapłacić 7,5 tys. zł grzywny, 3 tys. zł kosztów sądowych i przeprosić burmistrza w mediach. Wszystko przez zdanie, które Lewandowska-Malec (wówczas radna gminy Świątniki Górne) zawarła w liście do Polskiej Agencji Prasowej. Brzmiało ono: „Skłaniam się

eprasa.pl f4e3c581c3

Europejski Trybunał Praw Człowieka nie jest w stanie rozpatrzyć wszystkich skarg

FOT. ADRIAN GRYCUK/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0 PL

do poglądu, że burmistrz czyni na organ prokuratorski pozaprawne naciski". Po kilku latach nieudanych prób dochodzenia sprawiedliwości w Polsce wykładowczyni skierowała skargę do Strasburga.

– Występując do ETPC, starałam się udowodnić, że polskie sądy naruszyły prawo wolności wyrażania opinii, które jest zapisane w konwencji o ochronie praw człowieka – wyjaśniała w rozmowie z lokalnym serwisem krakowskim naszemiasto.pl. We wrześniu 2012 r. Trybunał przyznał Lewandowskiej-Malec rację. Uznał, że Polska złamała art. 10 Europejskiej konwencji praw człowieka (gwarantujący wolność słowa). Trybunał zasądził też na jej korzyść 2,6 tys. euro kosztów krajowego postępowania oraz 3 tys. euro odszkodowania za straty moralne. Być może odszkodowanie niewielkie, za to satysfakcja znacząca.

Nad wykonaniem przez państwa wyroków Trybunału czuwa Komitet Ministrów Rady Europy. MSZ koordynuje wykonywanie wyroków Trybunału i reprezentuje polski rząd przed Komitetem Ministrów Rady Europy. W Polsce został powołany specjalny Zespół do spraw Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, który monitoruje wykonywanie wyroków Trybunału przez właściwych ministrów i inne organy.

– Wpływ orzeczeń sędziów w Strasburgu może mieć również charakter bezpośredni. Przykładowo: w polskim systemie prawnym przewidziane są również przepisy pozwalające na inicjowanie w trybie skargi o wznowienie postępowań zmierzających do weryfikacji niektórych orzeczeń wydanych w warunkach stwierdzonego przez Europejski Trybunał Praw Człowieka uchybienia prawom określonym w konwencji – wskazuje mec. Szymon Topa.

Warunkiem efektywności konwencji jest ambicja władz danego państwa, aby było ono postrzegane jako szanujące prawa człowieka

Efektywność systemu ochrony praw człowieka opartego na ETPC jest determinowana wieloma czynnikami. – Trybunał nie jest w stanie rozpatrzyć wszystkich skarg, co wiąże się naturalnie z koniecznością ich selekcji. Konsekwencją jest pominięcie wielu indywidualnych przypadków rzeczywistych uchybień, które nie zostały poddane badaniu. Ponadto organy ETPC, jako że są z natury o charakterze politycznym, podlegają również presji politycznej. Jakość jego orzecznictwa będzie zatem również wypadkową niezależności jej sędziów i możliwości politycznych oddziaływania poszczególnych państw na kształtowanie sposobu pojmowania konkretnych praw człowieka – mówi „Do Rzeczy" Topa.

Z kolei mec. Lech Obara podkreśla, że ważnym czynnikiem jest to, aby sformułowany w orzeczeniach sposób pojmowania praw człowieka zagwarantowanych konwencją był implementowany przez organy, w szczególności sądy, państw ratyfikujących konwencję.

– Z tym zaś w praktyce może być różnie. Wreszcie kluczowym warunkiem efektywności konwencji jest istnienie ambicji władz danego państwa, aby było ono postrzegane jako aspirujące do kręgu państw szanujących demokratyczny ustrój państwa, szanujących jednolicie pojmowane prawa człowieka. Jak widać na skrajnym przykładzie Rosji, strony konwencji rzymskiej, brak takich aspiracji

eprasa.pl f4e3c581c3

władz Kremla pozbawia możliwości jakiegokolwiek realnego egzekwowania poszanowania przez nie praw człowieka. Nie tylko na terenie Rosji, lecz także na terenie innego państwa, czyli Ukrainy – mówi adwokat z Patria Nostra.

Pytanie, czy konwencja nie będzie tylko niewiele znaczącym skrawkiem papieru w znanej, bulwersującej sprawie Karola Tendery. Jerzy Tendera, syn byłego więźnia niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz, w czerwcu ubiegłego roku wniósł do ETPC skargę przeciw Niemcom. Jego ojciec nie doczekał wykonania korzystnego dla siebie wyroku.

– Przykład sprawy pana Karola Tendery pokazuje, jak w sposób karykaturalny może dojść do naruszenia praw zagwarantowanych przez konwencję rzymską, w tym wypadku przez Federalny Trybunał Sprawiedliwości w Karlsruhe. Niemieccy sędziowie sprawujący nadzór judykacyjny nad podległymi im sądami powszechnymi nie pozwolili wykonać na terenie Niemiec wyroku wydanego przez polski Sąd Apelacyjny w Krakowie, nakazującego niemieckiej telewizji publicznej ZDF przeproszenie byłego więźnia obozu Auschwitz na swojej stronie internetowej za publikowanie wypowiedzi przypisujących Polakom utworzenie tego obozu zagłady. Kuriozalność tego wyroku polegała na tym, że zdaniem niemieckiego Trybunału odmowa wykonania polskiego wyroku wynikała z konieczności ochrony wolności słowa (sic!) niemieckiej telewizji ZDF – wyjaśnia mec. Szymon Topa.

Dziś syn Karola Tendery chce kontynuować spór prawny. W swojej skardze do ETPC zwraca uwagę, że odmowa wykonania polskiego wyroku narusza m.in. przepis art. 10 Europejskiej konwencji praw człowieka. Jak mówi Topa, Trybunał w dotychczasowym orzecznictwie odmawiał ochrony komukolwiek, kto dopuszczał się wypowiedzi negujących Holokaust lub w inny sposób wpływał na zniekształcanie wiedzy o Holokauście.

– Wypowiedzi typu „polskie obozy" zniekształcają zaś wiedzę o Holokauście, co potwierdza stanowisko International Holocaust Remembrance Alliance zawarte w „Roboczej definicji negacjonizmu i zniekształcania prawdy

Karol Tendera nie doczekał wykonania korzystnego dla siebie wyroku

FOT. IPN

historycznej o Holokauście". Skarżący przekonuje, że niemieckie władze sądownicze miały obowiązek pozytywny polegający na dbałości o zgodność wypowiedzi o Holokauście z faktami historycznymi i przeciwdziałaniu zniekształcaniu prawdy o Holokauście. Wiąże się to z koniecznością piętnowania tego rodzaju wypowiedzi. Chodzi tu o dbałość o zgodność wypowiedzi z faktami historycznymi i przeciwdziałanie fałszowaniu prawdy o Holokauście. Stąd, zdaniem skarżącego państwo niemieckie syna Karola Tendery, niemieccy sędziowie naruszyli art. 10 Europejskiej konwencji praw człowieka, chroniąc wypowiedzi negujące lub zniekształcające pamięć o Holokauście – wskazuje rozmówca „Do Rzeczy".

Skarga zarzuca Republice Federalnej Niemiec również uchybienie standardom w zakresie prawa do sądu, gwarantowanego w art. 6 europejskiej konwencji. Dodatkowo, według syna Karola Tendery, doszło do naruszenia prawa do poszanowania życia prywatnego i rodzinnego jego ojca, do którego ochrony zobowiązani byli również niemieccy sędziowie na mocy art. 8 konwencji. Jak potwierdzili radcy prawni ze stowarzyszenia Patria Nostra, skarga jest na etapie postępowania formalnej oceny dopuszczalności. Nie ma pewności, czy Trybunał w ogóle zajmie się sprawą. – Wydaje się, że jest to jedyna szansa na wymuszenie na niemieckim wymiarze sprawiedliwości, aby wycofał się z tak kuriozalnego sposobu rozumienia wolności słowa – mówi mec. Lech Obara.

Ostatnio coraz bardziej widoczna jest presja Strasburga w kwestiach sądownictwa. W roku 2021 Trybunał uznał, że funkcjonowanie Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego narusza Europejską konwencję praw człowieka. ETPC w sprawie Reczkowicz przeciwko Polsce orzekł, że Izba nie odpowiada wymogom sądu ustanowionego ustawą. Uznał też, że Krajowa Rada Sądownictwa nie gwarantuje wystarczającej niezależności. Mecenas Piotr Andrzejewski nie ma wątpliwości, że to wyjście poza kompetencje. – Zakres cytowanego orzeczenia, podający w wątpliwość prawidłowość powoływania i funkcjonowania obowiązujących organów państwa polskiego, narusza wyłączne kompetencje w tym zakresie polskiego Trybunału Konstytucyjnego. TK wypowiedział się w tej kwestii w sposób zamykający możliwość interwencji zewnętrznej w zakresie wiążącym polski obszar prawny – wyjaśnia.

Według ekspertów trwająca agresja Rosji na Ukrainę może być ważnym rozdziałem w historii funkcjonowania ETPC

W podobnym tonie wypowiada się mec. Szymon Topa. Jak ocenia, orzeczenia Trybunału są wykorzystywane do wywierania silnej presji na polskiego ustawodawcę do wycofania się z przeprowadzonej reformy systemu sprawiedliwości.

Według ekspertów trwająca agresja Rosji na Ukrainę może być ważnym rozdziałem w historii funkcjonowania ETPC. Wiceprzewodniczący TS mec. Andrzejewski mówi, że poprzez tę instytucję ofiary będą mogły domagać się od Rosji odszkodowań: – W zakresie naruszeń konwencji jako prawa do życia, bezpieczeństwa, wolności i własności. W kontekście zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości stosowanie procedury przewidzianej dla rozpoznawania skarg przeciwko państwu dokonującemu naruszeń jest wskazane, użyteczne i niezbędne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4e3c581c3

Rafał Lemkin FOT. CENTER FOR JEWISH HISTORY/WIKIPEDIA

Wojciech Simon

Rafał Lemkin, jeden z najwybitniejszych polskich prawników, całe życie poświęcił stworzeniu definicji ludobójstwa. To dzięki niemu zakaz ludobójstwa ma obecnie charakter normy ius cogens, czyli bezwzględnie obowiązującej, a zbrodnia ta jest penalizowana w ustawach karnych praktycznie na całym świecie

Prawnik z Polski twórcą pojęcia „ludobójstwo”

Soghomon Tehlirian. Tak nazywał się 24-letni ormiański rewolucjonista, który 15 marca 1921 r. na ulicy w Berlinie zastrzelił Talaata Paszę, byłego wielkiego wezyra imperium osmańskiego. Talaat był głównym organizatorem rzezi Ormian w osmańskiej Turcji, uznawanej za jeden z pierwszych przypadków ludobójstwa w XX w. W latach 1915–1917 Turcy wymordowali ok. 1,5 mln Ormian. Jedną z osób, które cudem przeżyły tureckie masakry, był właśnie młody Tehlirian. Dokonany przez niego zamach był zaś częścią operacji „Nemezis”, zakładającej eliminację osób odpowiedzialnych za ludobójstwo Ormian. Zbrodnia i proces zamachowca wstrząsnęły ówczesną Europą. Głośny proces w Niemczech zakończył się uniewinnieniem napastnika. Wyrok stał się zaś inspiracją do debaty dotyczącej odpowiedzialności za masowe zbrodnie popełniane podczas wojen.

Sprawę tę bacznie śledził Rafał (Rafael) Lemkin, urodzony w roku 1900 utalentowany student prawa. W latach 20. XX w. nie istniały mechanizmy prawa międzynarodowego, które umożliwiałyby pociągnięcie do odpowiedzialności winnych ludobójstwa. Sam Lemkin od czasów wczesnej młodości interesował się zaś kwestiami prześladowań narodowych i religijnych, a jedną z lektur, które zrobiły na nim ogromne wrażenie, było „Quo vadis” Henryka Sienkiewicza. „Byłem zaskoczony opisem niszczenia chrześcijan przez Nerona. Byli oni rzucani między lwy, podczas gdy cesarz siedział, śmiejąc się, na rzymskiej arenie. Książka polskiego pisarza Henryka Sienkiewicza »Quo vadis« wywarła na mnie silne wrażenie, czytałem ją parokrotnie i często o niej rozmawiałem. Żywo pojmowałem, że gdyby chrześcijanin mógł wezwać policjanta, by mu pomógł, nie uzyskałby żadnej ochrony. Tu bowiem chodziło o grupę ludzi skazanych zbiorowo na śmierć wyłącznie z tego powodu, że wierzyli w Chrystusa. I nikt nie mógł im pomóc” – wspominał Lemkin, urodzony w ortodoksyjnej rodzinie żydowskiej we wsi Bezwodne w zaborze rosyjskim, ok. 250 km od Warszawy. Od dziecka doświadczał więc korupcji i bezkarności wojskowych, które panowały w okresie carskiej Rosji (i – co doskonale ukazuje agresja na Ukrainę – panują w tym kraju do dziś). Był też świadkiem pierwszej wojny światowej, w tym rabunku przez niemieckie oddziały mienia mieszkańców okupowanych polskich ziem.

eprasa.pl f4e3c581c3

Niemcy powszechnie łamali wówczas zapisy konwencji haskiej dotyczącej praw i zwyczajów wojny lądowej z 1907 r., choć okupacja w latach 1915–1919 i tak była nieporównywalnie mniej zbrodnicza niż ta z lat 1939–1945.

MISJA ŻYCIOWA

W 1919 r. Lemkin oficjalnie stał się obywatelem Rzeczypospolitej. Absolwent gimnazjum w Białymstoku studiował prawo najpierw na Uniwersytecie Jagiellońskim, a od 1921 r. – po relegowaniu z krakowskiej uczelni ze względu na przedstawienie dziekanowi fałszywego dokumentu odnośnie do swojego stosunku do służby wojskowej – na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. To właśnie w tym czołowym polskim ośrodku nauki prawa karnego i cywilnego, w rozmowie przeprowadzonej po głośnej zbrodni Tehliriana z wybitnym profesorem Juliuszem Makarewiczem, ambitny student prawa Rafał Lemkin miał usłyszeć, że powołanie międzynarodowego trybunału sądzącego zbrodniarzy wojennych byłoby pogwałceniem suwerenności państw. Zdaniem Makarewicza na sprawcach ludobójstwa ciążyła więc jedynie odpowiedzialność moralna, bo odpowiedzialność karna była, rzecz jasna, w ich własnych krajach niemożliwa do wyegzekwowania. Istotnym impulsem do rozwoju myśli młodego prawnika był również głośny proces Szolema Szwarcbarda – sprawcy zabójstwa atamana Semena Petlury w Paryżu w 1926 r. Szwarcbard przekonywał wówczas, że zgładził Petlurę w akcie zemsty za masowe mordowanie Żydów na Ukrainie, w tym za wymordowanie jego własnej rodziny. Przekonał do swych racji ławę przysięgłych i został przez paryski sąd uniewinniony. Badał również masowe mordy na chrześcijanach dokonane w latach 30. XX w. w Iraku.

Rafał Lemkin obronił pracę doktorską napisaną pod kierunkiem Makarewicza. Uczestniczył również w seminarium naukowym prof. Wacława Makowskiego. W latach 20. opublikował opatrzone własnym komentarzem tłumaczenie faszystowskiego kodeksu karnego, w którym szczególnie krytycznie ocenia wprowadzenie do włoskiego prawa karnego pojęcia „przestępstwa przeciwko osobowości państwa", które – przynajmniej w teorii – dawało możliwość domagania się ekstradycji cudzoziemca, który, będąc poza granicami Włoch, dopuścił się znieważenia Benita Mussoliniego.

Polski prawnik jako pierwszy zwracał uwagę na mechanizm zbrodni wymierzonej nie tylko przeciwko prawom jednostki, lecz także przeciw zbiorowości ludzkiej

Wcześniej przetłumaczył na polski kodeks karny Rosji sowieckiej, który wprowadzał niezgodną z tradycją prawa rzymskiego regułę odpowiedzialności zbiorowej.

KONCEPCJA „BARBARZYŃSTWA" I „WANDALIZMU"

We Lwowie poznał się z sędzią Sądu Najwyższego, Emilem Stanisławem Rappaportem, który przygotowywał kodyfikację polskiego prawa karnego. To za jego namową zamieszkał na stałe w Warszawie, gdzie został prokuratorem.

Dzięki znajomości aż dziewięciu języków obcych, a także koneksji zawodowych nawiązanych w czasie, gdy pełnił funkcję sekretarza sądowego sędziego Rappaporta, został również reprezentantem RP w Międzynarodowym Biurze Unifikacji Prawa Karnego Ligi Narodów. Brał wówczas udział w licznych krajowych i zagranicznych konferencjach. Apelował w ich trakcie o stworzenie w prawie międzynarodowym definicji masowych aktów terroru, choć wówczas nie określał ich jeszcze mianem ludobójstwa. Niezwykle istotny dla rozwoju tej dziedziny prawa był referat, który Lemkin nadesłał na V Konferencję Unifikacji Prawa Karnego w Madrycie w październiku 1931 r., zatytułowany „Czyny stanowiące zagrożenie ogólne (międzypaństwowe) uznane za przestępstwa prawa narodów", w którym polski adwokat sformułował postulat ścigania przestępstw „terroryzmu", „barbarzyństwa" (zbrodni przeciwko narodom) oraz „wandalizmu" (zbrodni przeciwko kulturze), a także stworzenia mechanizmów przeciwdziałania tego typu zbrodniom.

Z punktu widzenia prac nad definicją „genocydu" najważniejsza była koncepcja ścigania aktów „barbarzyństwa". Polski prawnik jako pierwszy zwracał bowiem uwagę na mechanizm zbrodni wymierzonej nie tylko przeciwko prawom jednostki, lecz także przeciwko ściśle określonej zbiorowości ludzkiej, której członków wyróżniają wyznawana religia, rasa czy narodowość. „Wola sprawcy zmierza tu nie tylko do zaszkodzenia jednostce, lecz w pierwszym rzędzie – do wytworzenia szkody grupie, do której ta ostatnia należy. Owe pogwałcenia mierzą nie tylko w prawa człowieka, lecz ponadto i przede wszystkim podkopują one porządek społeczny" – przekonywał. Madrycki referat wzbudził duże zainteresowanie. Pomysły przedstawiane przez Lemkina w latach 30. nie były jednak poważnie brane pod uwagę przez przedstawicieli rządów. Nawet przez ekspertów były bowiem postrzegane jako wyidealizowane. Temat został więc odroczony sine die.

Żołnierze tureccy konwojują ludność ormiańską na miejsce egzekucji, kwiecień 1915 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl f4e3c581c3

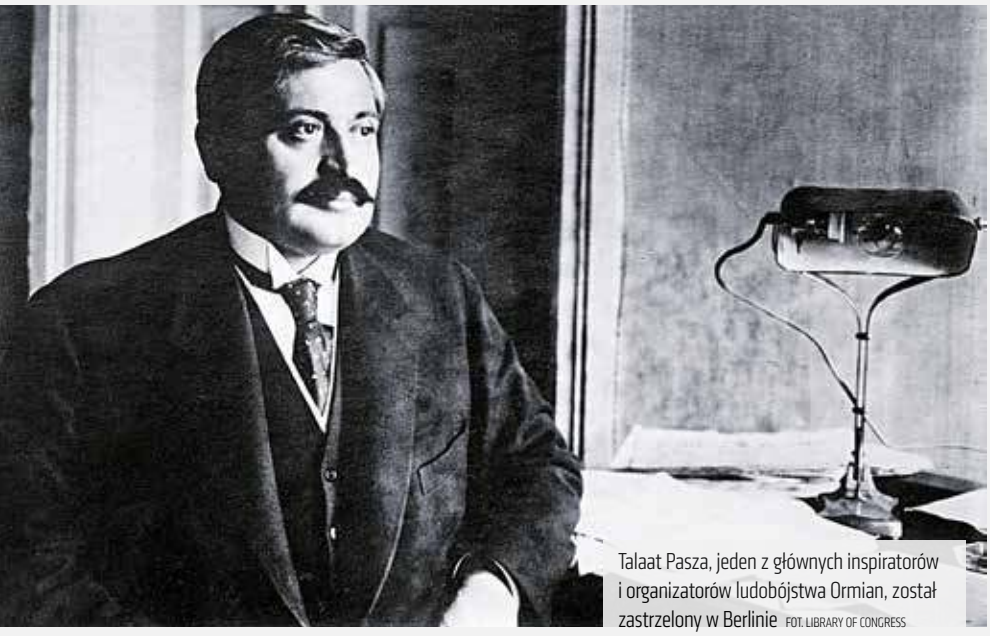

Talaat Pasza, jeden z głównych inspiratorów i organizatorów ludobójstwa Ormian, został zastrzelony w Berlinie FOT. LIBRARY OF CONGRESS

Z pracy w prokuraturze Rafał Lemkin zrezygnował w roku 1934. Przez pięć lat praktykował jako adwokat, jednocześnie wciąż rozwijając się naukowo. Polski prawnik walczył również dalej o wprowadzenie zaproponowanych przez siebie terminów do międzynarodowego prawa karnego. Brał aktywny udział m.in. w VI Konferencji Unifikacji Prawa Karnego w Kopenhadze w 1935 r., IV Międzynarodowym Kongresie Prawa Karnego w Paryżu oraz Międzynarodowym Kongresie Prawa Porównawczego w Hadze w roku 1937.

O tym, jak aktualne i ważne były jego pomysły, świat miał się przekonać niebawem. „Dżyngis Chan rzucił miliony kobiet i dzieci na rzeź z premedytacją i z lekkim sercem – historia widzi w nim tylko wielkiego założyciela państw. To, co mówią o mnie słabe cywilizacje zachodnioeuropejskie, nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Wydałem rozkaz – i każę rozstrzelać każdego, kto wyrazi choć jedno słowo krytyki – że celem wojny nie jest osiągnięcie jakiejś linii geograficznej, ale fizyczna eksterminacja wrogów. Obecnie tylko na wschodzie umieściłem oddziały SS Totenkopf, dając im rozkaz nieugiętego i bezlitosnego zabijania wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci polskiej rasy i języka, bo tylko tą drogą zdobyć możemy potrzebną nam przestrzeń życiową. Kto w naszych czasach jeszcze mówi o eksterminacji Ormian?" – miał w sierpniu 1939 r. powiedzieć generałom Werhmachtu Adolf Hitler.

NOWY TERMIN: „LUDOBÓJSTWO"

Po ataku Niemców na Polskę jeszcze we wrześniu 1939 r. Rafał Lemkin zdołał wyjechać z Warszawy, przedostać się na Litwę, a stamtąd do Szwecji, gdzie wykładał prawo na Uniwersytecie Sztokholmskim. Na terenach okupowanej przez Niemców i Sowietów Polski została jednak cała rodzina – większość jej członków zginęła w gettach i niemieckich obozach koncentracyjnych. Jego rodzice zostali zamordowani w Treblince. Zagładę zdołał zaś przetrwać tylko brat Rafała Lemkina. Zdruzgotany wiadomościami o okrutnej śmierci większości swoich krewnych jeszcze mocniej zaangażował się w pracę nad swym życiowym dziełem. Przez Związek Sowiecki, Japonię i Kanadę w 1941 r. przedostał się do Stanów Zjednoczonych. Został życzliwie przyjęty na prestiżowym Duke University w Durham w stanie Karolina Północna.

Termin „ludobójstwo" został wykorzystany przez prokuratorów w aktach oskarżenia wobec niemieckich zbrodniarzy

Robił, co mógł, aby zwrócić uwagę amerykańskich polityków, a zwłaszcza prezydenta i wiceprezydenta, na Zagładę Żydów w Europie, zwracając uwagę na „barbarzyństwo" i „wandalizm" niemieckich zbrodniarzy. W wydanej w 1944 r. 370-stronicowej pracy „Axis Rule in Occupied Europe. Laws of Occupation, Analysys of Government, Proposals for Redress" („Rządy państw Osi w okupowanej Europie. Prawa okupacyjne, analiza rządzenia, propozycje zadośćuczynienia") jako pierwszy na świecie nakreślił definicję nowego terminu: „ludobójstwo" w rozdziale dziewiątym swej książki, zatytułowanym wprost „Ludobójstwo – nowy termin i nowe pojęcie destrukcji narodów". Za „genocyd" Lemkin uważa plan skoordynowanych działań, których celem jest unicestwienie danego narodu lub grupy etnicznej. Polski adwokat zwrócił również uwagę, że stosowane przez niemieckich nazistów techniki ludobójstwa stanowiły „złożony, niemal naukowy system, rozwinięty w stopniu wcześniej nieosiągniętym przez żadne państwo".

Lemkin wyróżnił w swej pracy wiele technik ludobójstwa: od politycznych i społecznych poprzez kulturowe (np. zakaz nauczania w językach narodowych), ekonomiczne, biologiczne aż do religijnych i moralnych. Jego zdaniem definicja „genocydu" powinna więc obejmować zarówno każdy czyn naruszający zdrowie, życie, wolność, integralność ciała i egzystencję gospodarczą, popełniony ze względu na przynależność narodową, wyznaniową lub rasową danej jednostki, jak i ideologię, której celem jest unicestwienie konkretnej grupy narodowej, wyznaniowej lub rasowej.

Sam termin „genocyd" (ang. genocide) nawiązywał do greckiego słowa „génos" („rasa", „plemię") oraz łacińskiego słowa „caedo" („zabijać", „masakrować"). Nowy termin jednocześnie był zbliżony do anglojęzycznych pojęć „homicide" (zabójstwo) oraz „infanticide" (dzieciobójstwo), dzięki czemu „genocide" został łatwo zapamiętany, szybko podchwycony przez amerykańskich dziennikarzy i stał się popularny w anglojęzycznych mediach.

Termin „ludobójstwo" został wykorzystany przez prokuratorów w formułowanych przez nich aktach oskarżenia wobec niemieckich zbrodniarzy podczas procesów norymberskich. W owym czasie Rafał Lemkin był już doradcą Roberta H. Jacksona, głównego oskarżyciela z ramienia Stanów Zjednoczonych. Jego sukces nie był jednak pewny: zarówno w przygotowywanych w Paryżu traktatach pokojowych, jak i w wyrokach norymberskich pominięto termin „genocide". Przyjęta w lipcu 1945 r. Karta Międzynarodowego Trybunału Wojskowego posługiwała się zamiast tego pojęciem „zbrodni przeciwko ludzkości".

KONWENCJA LEMKINA

W Polsce zarzut „ludobójstwa" stawiano już niemieckim zbrodniarzom sądzonym w latach 40. przed Najwyż-

eprasa.pl f4e3c581c3

Masowy grób w niemieckim obozie koncentracyjnym Bergen-Belsen odnaleziony po jego wyzwoleniu w 1945 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

szym Trybunałem Narodowym. Również na arenie międzynarodowej koncepcja Lemkina zyskiwała coraz większe poparcie. W grudniu 1946 r. Zgromadzenie Ogólne ONZ uchwaliło rezolucję nr 96 (I), w której uznało ludobójstwo za zbrodnię prawa międzynarodowego. Mimo prób hamowania inicjatywy Lemkina przez Sowietów, a także kraje arabskie oraz delegację Wielkiej Brytanii w grudniu 1948 r. ONZ przyjęła Konwencję w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa, w której za „ludobójstwo" uznaje się czyny dokonane „w zamiarze zniszczenia w całości lub części grup narodowych, etnicznych, rasowych lub religijnych" zarówno w czasie wojny, jak i w czasie pokoju. I chociaż przyjęta definicja jest węższa niż ta przedstawiona oryginalnie przez Lemkina – nie obejmuje więc już np. ludobójstwa kulturowego czy etnicznego – to jej uchwalenie oraz ratyfikowanie przez rządy kilkudziesięciu państw świata było wielkim sukcesem polskiego karnisty (Stany Zjednoczone nie ratyfikowały konwencji o ludobójstwie aż do roku 1988).

Forsowany przez Lemkina termin stał się podstawą współczesnych koncepcji praw człowieka oraz filozofii prawa międzynarodowego. Ludobójstwo jest już też od kilkudziesięciu lat – obok zbrodni przeciwko ludzkości oraz zbrodni wojennych – uznane przez ONZ za zbrodnię, która nie ulega przedawnieniu. Podstawą definicji Lemkina jest jednak „zamiar" sprawcy zbrodni, co w praktyce nie jest wcale takie łatwe do udowodnienia przed sądem. Za ludobójstwo przed międzynarodowymi trybunałami karnymi skazywano jednak sprawców tej zbrodni zarówno w sprawach dotyczących wojny w Rwandzie – Międzynarodowy Trybunał Karny dla Rwandy jako pierwsza instytucja w historii wydał wyroki w sprawie osób oskarżonych o ludobójstwo – jak i zbrodni popełnionych na terenie byłej Jugosławii i sądzonych przez trybunał Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii.

Pochodzący z polski prawnik po wojnie wykładał prawo międzynarodowe na Uniwersytecie Yale. Był aż siedmiokrotnie nominowany do Pokojowej Nagrody Nobla. Zmarł w Nowym Jorku w 1959 r., niedługo przed zakończeniem prac nad autobiografią zatytułowaną „Nieoficjalny".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

Kornat M., „Barbarzyństwo – wandalizm – terroryzm – ludobójstwo. O Rafale Lemkinie i idei zdefiniowania »zbrodni w obliczu prawa narodów«", „Polski Przegląd Dyplomatyczny" 2008, nr 3 (43).

Kornat M., „Rafał Lemkin (1900–1959) – studium biograficzne", „Zeszyty Historyczne", z. 147, Instytut Literacki, Paryż 2004.

Lemkin R., „Rządy państw Osi w okupowanej Europie", Warszawa 2015.

McFarland S., Hamer K., „Jak ludobójstwo zostało uznane za zbrodnię: dziedzictwo Rafała Lemkina", „Civitas et Lex" nr 2 (10) (2016).

Persak K., „Rocznica urodzin Rafała Lemkina", Muzeum Historii Żydów Polskich Polin 2021.

Szawłowski R., „Rafał Lemkin (1900–1959), polski prawnik, twórca pojęcia »ludobójstwo«", [w:] „Zbrodnie przeszłości. Opracowania i materiały prokuratorów IPN. Tom II – Ludobójstwo", Warszawa 2008.

Szawłowski R., „Rafał Lemkin. Biografia intelektualna", Wydawnictwo Sedno 2020.

Szawłowski R., „Rafał Lemkin. Warszawski adwokat", „Palestra" 2014, nr 9.

Żukowski P., „Krakowskie czasy studiów Rafała Lemkina", „Dzieje Najnowsze" 2011, R XLIII.

Robert Houghwout Jackson był głównym oskarżycielem z ramienia USA w procesie norymberskim FOT. RAYMOND D'ADDARIO/WIKIMEDIA COMMONS

eprasa.pl f4e3c581c3

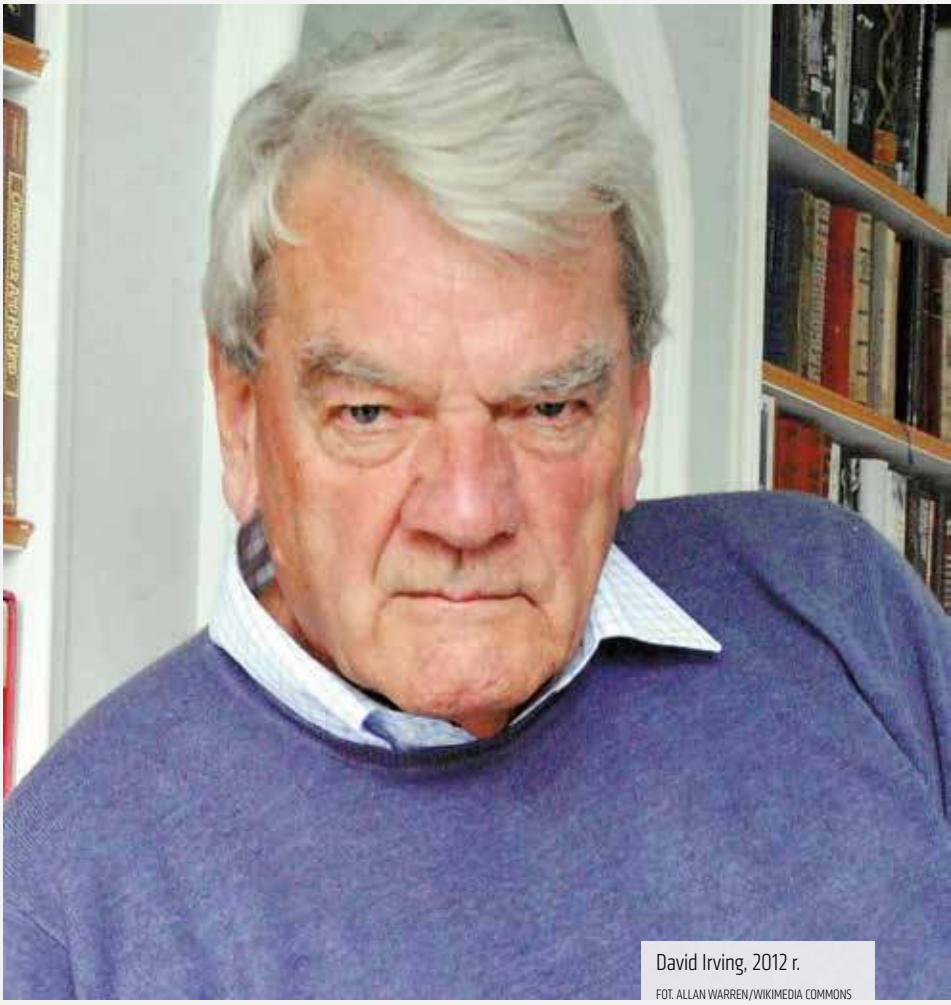

David Irving, 2012 r.
FOT. ALLAN WARREN/WIKIMEDIA COMMONS

Negacjoniści przed sądem

Jakub Ostromęcki

Jedni wprost zaprzeczają Holokaustowi, inni twierdzą, że w rzeczywistości ofiar było dużo mniej i Żydzi wcale nie ginęli w komorach gazowych. Środowisko negacjonistów doczekało się nawet własnych „konferencji naukowych"

Najsłynniejszym z rewizjonistów Holokaustu jest David Irving. Brat słynnego historyka, Nicolas, twierdzi, że David od urodzenia był prowokatorem. Mając kilka lat, miał stawać pośród ruin zbombardowanych angielskich budynków i krzyczeć dla zabawy: „Heil Hitler!", pouczając bliźniaka, że trzeba przy tym strzelać obcasami. Było to raptem kilka lat po tym, jak ojciec Irvingów, będący oficerem na krążowniku, przeżył atak U-Boota na Morzu Barentsa.

Kilkadziesiąt lat później niewiele się zmieniło. Jeden z jego wydawców zaproszony na obiad do Irvinga wyszedł po kilku minutach, gdy podano mu zastawę ze swastykami. David Irving twierdzi, że jego zainteresowanie III Rzeszą wzięło się z niezgody na to, w jaki sposób brytyjska prasa codzienna przedstawiała wrogich przywódców.

Irving zaczął studiować ekonomię. Szło mu nieźle, ale był zbyt biedny, aby zapłacić za kolejne lata studiów. Chciał zaciągnąć się do RAF, ale nie przyjęto go ze względu na stan zdrowia, wyjechał więc do Niemiec do pracy w hucie. Tam nauczył się niemieckiego i tam usłyszał opowieści o bombardowaniu Drezna.

Na zarzuty, że brak mu formalnego historycznego wykształcenia, Irving odpowiadał, że Tacyt i Pliniusz Młodszy też go nie mieli. Nie były to czcze przechwałki aroganta. Pierwsze książki Irvinga z lat 60. zrobiły furorę i doczekały się bardzo pozytywnych opinii środowiska naukowego. Bestsellerem stał się już jego debiut, czyli „Destruction of Dresden" (polski tytuł to „Drezno. Apokalipsa 1945"), wydany w momencie, gdy w wielu europejskich krajach nikt jeszcze nie zadawał sobie pytania na temat sensu bombardowania miasta pozbawionego znaczenia strategicznego. Irving już wtedy miał zajadłych wrogów. Wkrótce po wydaniu książki do jego mieszkania włamał się niejaki Gerry Gable, londyński komunista i związkowiec żydowskiego pochodzenia, przebrany za technika z urzędu telekomunikacji.

Irving lubił kalać własne gniazdo. W wydanej w 1967 r. książce „Wypadek. Śmierć generała Sikorskiego" oskarżył Churchilla o zlecenie zamordowania polskiego premiera. W tym samym roku oskarżył kmdr. Jacka Brooma o doprowadzenie do niemal całkowitej zagłady jednego z dowodzonych przez siebie

eprasa.pl f4e3c581c3

konwojów w czasie drugiej wojny światowej. Emerytowany komandor pozwał autora o zniesławienie i wygrał.

„Z PERSPEKTYWY HITLERA"

Największą (nie)sławę przyniosła Irvingowi „Wojna Hitlera" wydana w 1977 r. Była to praca pisana „z perspektywy biurka Hitlera". Jej najbardziej kontrowersyjne tezy brzmiały: Hitler był takim samym mężem stanu jak wielu jemu współczesnych, na pewno nie straszniejszym niż liderzy Zachodu. Zawiedli go jednak jego podkomendni. Führer nie miał również bladego pojęcia o trwającej eksterminacji Żydów, za czym mieli stać Heinrich Himmler i Reinhard Heydrich. To wówczas właśnie Irving ogłosił słynną nagrodę wynoszącą 1 tys. funtów dla każdego, kto pokaże mu dokument, w którym Hitler rozkazuje wymordowanie Żydów.

Według Irvinga Żydzi w czasie Holokaustu mieli ginąć w wyniku chorób i niewolniczej pracy w obozach, nie zaś w wyniku egzekucji. W 1989 r. Irving nazwał ocalałych z Holokaustu „kłamcami, przypadkami klinicznymi i wyłudzaczami". Potem stał się w swoich oszczerstwach wobec nich jeszcze bardziej prymitywny, zestawiając odpowiednio dobrane słowa tak, aby utworzyły akronim assholes (pol. dupki). W 1995 r. zapytał jednego z ocalałych, ile zarobił na wytatuowanym numerze obozowym. Skąd ta nienawiść? Irving odpowiadał pytaniem na pytanie: „Zastanówmy się, dlaczego od trzech tysięcy lat Żydzi są znienawidzeni przez wszystkich sąsiadów, wśród których się pojawią. Co oni takiego robią lub czego nie robią, że się ich nienawidzi". Według Irvinga to sami Żydzi sprowokowali wojnę światową. Nazywał ich „tradycyjnymi wrogami prawdy".

Negacjoniści zrazu nie ufali Irvingowi, w końcu nie zaprzeczał on całkowicie Holokaustowi. Owszem, bywał na ich konferencjach, ale dystansował się od najbardziej skrajnych tez tam wypowiadanych. W końcu jednak przekroczył ostatnią granicę. „W Auschwitz nie było komór gazowych. To, co widzimy dziś, to powojenna atrapa zbudowana przez Polaków" – stwierdził. Dodawał też, że sprawcami byli lokalni aparatczycy nazistowscy lub kryminaliści niekoniecznie niemieckiego pochodzenia. To główne tezy wystąpień Irvinga od początku lat 90. Owe rewelacje zbliżyły go w końcu do środowiska amerykańskich negacjonistów skupionych wokół organizacji o nazwie Institute of Historical Review. W 1995 r. Irving pokłócił się jednak z Robertem Faurissonem, jednym z koryfeuszy instytutu. Poszło o audycję radiową, w której Irving przyznał, że w czasie drugiej wojny światowej ok. 4 mln Żydów zostało zabitych. Faurrison twierdził, jak na prawdziwego negacjonistę przystało, że w ogóle ich nie zabijano.

> **W 1989 r. Irving nazwał ocalałych z Holokaustu „kłamcami, przypadkami klinicznymi i wyłudzaczami"**

Konflikt ów nie miał znaczenia dla przeciwników Irvinga. Sale, w których prowadził wykłady, były regularnie blokowane i atakowane. „Na zewnątrz zebrało się całe szambo ludzkości. Homoseksualiści, Cyganie, lesbijki, Żydzi, kryminaliści i komuniści" – mawiał o protestujących.

KŁOPOTY PAPIEŻA REWIZJONIZMU

W 1991 r. Irving został oskarżony i skazany w Niemczech na 7 tys. marek grzywny. Apelował, ale sąd w 1992 r. zwiększył karę do 10 tys. marek. Irving nazwał wtedy sędziego „stetryczałym skretyniałym alkoholikiem" i więcej już do Niemiec wjechać nie mógł. W 1992 r. został zatrzymany w Kanadzie i deportowany do Wielkiej Brytanii. Podobne zakazy otrzymał w Austrii, Nowej Zelandii i Australii.

Był to czas, w którym wiele państw zaczęło wprowadzać ustawy penalizujące „kłamstwo oświęcimskie". Karano zatem nie tylko za negację Holokaustu, lecz także za jego umniejszanie czy trywializowanie. Wypowiedzi Irvinga o komorach gazowych, podważające liczbę ofiar czy sprowadzające mord do chorób i głodu, niewątpliwie były taką trywializacją.

W 1996 r. Irving pozwał Deborah Lipstadt, która wcześniej nazwała go kłamcą oświęcimskim, fałszerzem i bigotem. Irving przegrał proces, co doprowadziło go do ruiny finansowej. W 2005 r. został aresztowany w Austrii pod zarzutem promowania „kłamstwa oświęcimskiego" i trywializacji Holokaustu. Bardzo się zdziwił, gdy usłyszał wyrok trzech lat więzienia. Wyszedł jednak po roku. Próbował potem organizować przemówienie podczas targów książki w Warszawie. Organizatorzy nie wydali wówczas na to zgody – mógł jedynie udzielić wywiadu. Zrujnowany finansowo, zaczął utrzymywać się z płatnych wykładów organizowanych potajemnie oraz sprzedaży pamiątek z okresu III Rzeszy, których autentyczność potwierdzał własnym certyfikatem. Jedno z takich spotkań zorganizował w 2010 r. w Warszawie w hotelu Marriott. Jedno z zaproszeń zdobył izraelski dziennikarz przebywający akurat w Berlinie. Nie mógł jednak udać się na wykład, o którym dowiedział się, jak większość uczestników, dwie godziny przed jego rozpoczęciem. Zaproponował zatem udział w nim Piotrowi Zychowiczowi, wówczas dziennikarzowi „Rzeczpospolitej", który zrelacjonował owo spotkanie.

Irving wyglądał wówczas dużo lepiej niż w pierwszych latach po austriackiej odsiadce. Lepsze też było jego samopoczucie. Był to już inny człowiek niż ten znany ze skrajnych wypowiedzi z lat 80. Mówił otwarcie, że w czasie akcji Reinhardt Niemcy wymordowali wiele milionów Żydów. Podtrzymywał tezę o tym, że Hitler nie wiedział o Holokauście, ale mimo to ponosi za niego odpowiedzialność. Z takimi poglądami Irving nie ma co liczyć na poparcie negacjonistów. Nie ma też szans na powrót do środowiska naukowego. O sobie samym mówił wówczas, że „jest biedny jak mysz kościelna". I dalej: „Ja tak naprawdę jestem tradycyjnym brytyjskim liberałem. Uważam, że każdy powinien mówić i robić, co mu się żywnie podoba. Dopóki oczywiście nie wali współobywateli pięścią po nosie". Irving twierdzi do dziś, że po nosie wciąż walą go Żydzi.

PRAWNICZKA NEGACJONISTÓW

Najbarwniejszą postacią wśród niemieckich rewizjonistów jest Sylvia Stolz. W 2005 r. zasłynęła ona jako adwokat w procesie słynnego Ernsta Zündela, niemiecko-kanadyjskiego negacjonisty,

eprasa.pl f4e3c581c3

Jean-Marie Le Pen podczas wiecu w 2006 r. FOT. SHIMIN HEIWA/WIKIMEDIA COMMONS

autora książki „Hitler, którego kochaliśmy". Jej mowy obrończe, wnioski i protesty miały na celu nie tyle obronę jej klienta, ile wręcz całego narodowego socjalizmu. Miała ona w zwyczaju podpisywać oficjalne pisma zwrotem... „Heil Hitler". Dwóm ławnikom zagroziła, że zostaną skazani na karę śmierci za „oszczerstwo i działania na rzecz wroga", jeśli doprowadzą do skazania jej klienta. W czasie jednej z rozpraw sędzia, mając dosyć jej tyrad, w których wychwalała III Rzeszę, wyłączył jej mikrofon. Stolz nie dawała jednak za wygraną, próbując przekrzyczeć resztę uczestników rozprawy.

Broniąc swoich klientów, twierdziła, że Holokaust to wymysł Żydów oraz że prawodawstwo RFN jest nielegalne, gdyż zostało stworzone pod wpływem sił okupacyjnych, a Niemców powinno wciąż obowiązywać ustawodawstwo III Rzeszy. „Niemcy jako tacy nie mają skłonności do dręczenia innych" – mawiała w wywiadach. Pytana o Holokaust, prosiła o doprecyzowanie, o co dokładnie chodzi, czy przypadkiem nie o bombardowanie Drezna.

Niektórzy mogliby próbować wysłać Stolz do odpowiedniego zakładu leczniczego, jednak niemieckie sądy potraktowały ją bardzo poważnie. W 2009 r. została prawomocnie skazana na trzy lata i trzy miesiące więzienia za podżeganie do nienawiści. Dostała też zakaz wykonywania zawodu adwokata. Kara nie podziałała na nią trzeźwiąco, ponieważ w 2018 r. została skazana na półtora roku więzienia za swoje negacjonistyczne tyrady, którymi raczyła słuchaczy w czasie mityngu w Szwajcarii.

Le Pen kpił po wyroku: „Teraz wiem, że historia drugiej wojny światowej jest detalem w historii komór gazowych"

GIGANTYCZNA KARA

Najbardziej znanym europejskim politykiem ukaranym za „kłamstwo oświęcimskie" jest oczywiście długoletni lider francuskiego Frontu Narodowego Jean Marie Le Pen, wielokrotny kandydat na prezydenta, który w 2002 r. mógł odebrać zwycięstwo samemu Jacques'owi Chiracowi. Za podżeganie do nienawiści przed francuskimi sądami stawał kilka razy, ale najsłynniejsza sprawa dotyczyła jego wypowiedzi z czasów, gdy pod koniec lat 80. po raz pierwszy dostał się do Zgromadzenia Narodowego. Rzekł wówczas: „Nie powiedziałem, że komory gazowe nie istniały. Nie widziałem ich na własne oczy. Nie zajmowała mnie zbytnio ta kwestia. Sadzę jednak, że był to nieistotny epizod w historii drugiej wojny światowej". Co do samej liczby pomordowanych mówił tak: „Nie sądzę, aby było ich tak wielu. Nie było to 6 mln". Nie była to oczywiście negacja Holokaustu wprost, ale francuskie prawo, podobnie jak kodeksy innych państw europejskich, karze również za jego trywializację. Grzywna, którą Le Pen musiał zapłacić, wynosiła aż 183 tys. euro.

W latach 90. Le Pen brnął dalej: „Jeśli weźmiesz tysiącstronicową książkę na temat historii drugiej wojny światowej, to na obozy koncentracyjne poświęcone są tam dwie strony, a na same komory 10 lub 15 wierszy. To właśnie nazywa się detalem". Tym razem grzywnę wymierzył mu niemiecki sąd. Le Pen kpił po wyroku: „Teraz wiem, że historia drugiej

eprasa.pl f4e3c581c3

wojny światowej jest detalem w historii komór gazowych". Jest to polityk uparty, ponieważ niemal to samo powtórzył w 2015 r. w wywiadzie dla tygodnika „Rivarol". Le Pen przez całe życie konsekwentnie bronił też rządu Vichy i marszałka Phillippe'a Pétaine'a.

IZRAEL KONTRA KŁAMCY

Według badań przeprowadzonych w 2008 r. przez profesora socjologii Sammy'ego Smooha z Uniwersytetu w Hajfie odsetek izraelskich Arabów twierdzących, że „Zagłada, w której Niemcy wymordowali 6 mln Żydów, nie miała miejsca", wzrosła z 28 proc. w 2006 r. do 40,5 proc. w 2008 r. Poglądy te reprezentowało m.in. 37 proc. izraelskich Arabów z wykształceniem średnim i wyższym. Przykładem takiej postawy są wypowiedzi Ekrima Said Sabriego, wielkiego muftiego Jerozolimy w latach 1994–2006. W wywiadzie udzielonym włoskiej gazecie „La Repubblica" stwierdził on, że w rzeczywistości w czasie drugiej wojny światowej zginęło dużo mniej Żydów, niż podaje się to oficjalnie. Utrzymywał też, że nienawiść Hitlera do Żydów nie była niczym niezwykłym, bo byli oni nienawidzeni po równo wszędzie. Dokonał też dziwacznego porównania: „Krucjaty trwały dwieście lat, a nie pięć, jak druga wojna światowa. Zginęło wtedy dużo więcej muzułmanów niż Żydów z rąk nazistów. Nikt nie mówi jednak o zadośćuczynieniu dla nas".

Zarzuty karne w związku z izraelską ustawą penalizującą „kłamstwo oświęcimskie" czy też trywializację zbrodni może postawić tylko izraelski prokurator generalny. Jest on osobą z nadania politycznego i jest uzależniony od premiera. Oskarżanie o „kłamstwo oświęcimskie" nie może być zatem sprzeczne z pryncypiami izraelskiej polityki wobec Palestyńczyków. Mufti był aresztowany bądź zatrzymywany przez izraelskie służby wiele razy, m.in. pod zarzutem wtargnięcia do miejsc kultu zamkniętych przez władze, podżegania do nienawiści czy kontaktów z przywódcami organizacji terrorystycznych, takich jak Hezbollah. Nigdy jednak w zarzutach nie odnoszono się do negacji Holokaustu przez duchownego. Z perspektywy izraelskiej znacznie groźniejsze były jego czyny i kontakty z Hezbollahem.

Władzom izraelskim zależy na pacyfikacji radykalnych palestyńskich liderów. W tym przypadku dodatkowe wysuwanie zarzutów o negacjonizm niepotrzebnie zaogniłoby sytuację. Innymi słowy, tak długo, jak Palestyńczycy powstrzymują się od czynów, które Izrael uznaje za godzące bezpośrednio w jego bezpieczeństwo, pewne słowa puszcza się im płazem, na zasadzie wentylu bezpieczeństwa. Potwierdzeniem są tu konkluzje prof. Smooha, który przeprowadzał badania przytoczone na początku artykułu:

„Niewiara w Shoah nie jest motywowana nienawiścią do Żydów (zakorzenioną wśród negacjonistów zachodnich), ale raczej formą protestu. Arabowie niewierzący w Shoah wyrażają silny sprzeciw wobec portretowania Żydów jako wyjątkowych ofiar i braku postrzegania cierpienia Palestyńczyków. Odmawiają prawa do istnienia Izraela jako państwa, którego główną siłą sprawczą był Shoah. Arabski brak wiary w istnienie Shoah jest częścią konfliktu izraelsko-palestyńskiego, w przeciwieństwie do ideologicznego i antysemickiego negacjonizmu na Zachodzie, motywowanego pragnieniem zmycia z siebie winy".

Irańskie władze w czasie konferencji na temat wsparcia dla palestyńskiej intifady, 2011 r. FOT. KHAMENEI.IR/WIKIMEDIA COMMONS

KONFERENCJA NEGACJONISTÓW

Iran od czasów ajatollaha Ruhollaha Chomejniego uważa się za obrońcę Palestyńczyków i jest zaprzysiężonym wrogiem Izraela. Prezydentem tego kraju w latach 2005–2013 był Mahmud Ahmadineżad. Na początku kadencji nazwał Holokaust mitem i – co typowe dla irańskich liderów – wezwał do wymazania Izraela z mapy świata. W 2006 r. Ahmadineżad zorganizował w Iranie „Konferencję na rzecz zmiany globalnego odbioru Holokaustu". Oprócz międzynarodowej śmietanki negacjonistów zaproszono też kilku działaczy Ku-Klux-Klanu ze znienawidzonej w Iranie Ameryki oraz grupę… ortodoksyjnych i antysyjonistycznych Żydów z organizacji Neturei Karta. Co ciekawe, na konferencję nie dotarł palestyński prawnik Chalid Kasab Mahameed. Oficjalnie powodem niewpuszczenia go było posiadanie izraelskiego obywatelstwa. W Izraelu mówiono jednak, że Mahameed zamierzał nieco złagodzić negacjonistyczną wymowę konferencji, co nie podobało się Ahmadineżadowi. Palestyńczyk znany był faktycznie z tego, że nigdy nie kwestionował samego faktu oraz skali Holokaustu. Ostatecznie konferencja nie doprowadziła do wypracowania żadnych rewolucyjnych konkluzji poza zwyczajowym już kwestionowaniem istnienia komór gazowych, zabójczego działania silników spalinowych i ludobójstwa popełnionego w Treblince, gdzie według jednego z prelegentów miało z powodu chorób umrzeć „zaledwie" 10 tys. ludzi...

Tak długo, jak Palestyńczycy powstrzymują się od czynów, które Izrael uznaje za godzące w jego bezpieczeństwo, pewne słowa puszcza się im płazem

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4e3c581c3

Polska sługą Ukrainy?

Ambasador Ukrainy w Polsce Andrij Deszczycia podczas konferencji branży obronnej Defence24 w Warszawie FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Jan Fiedorczuk

Stosunek Polaków do Ukrainy ma charakter nad wyraz emocjonalny, co uniemożliwia chłodną analizę sytuacji

W obliczu wojny oraz napływu milionów Ukraińców Polacy wykazali się wprost niespotykaną solidarnością. Emocje udzieliły się jednak nie tylko społeczeństwu. Spontaniczny entuzjazm, który w wykonaniu obywateli napawa dumą, w przypadku polityków może już budzić niepokój.

– Jesteśmy do dyspozycji Ukrainy, jej decyzji, jej próśb, jej wniosków w tej sprawie. Jeżeli nasi ukraińscy przyjaciele będą chcieli z tego planu skorzystać, to pozostajemy do dyspozycji; podobnie jak w wypadku sojuszników. Jesteśmy tutaj sługami narodu ukraińskiego, jego próśb – mówił rzecznik MSZ Łukasz Jasina, omawiając propozycję pokojowej misji NATO na Ukrainie autorstwa Jarosława Kaczyńskiego.

Wypowiedź rzecznika MSZ była nie mniej kontrowersyjna niż omawiana przez niego koncepcja, paradoksalnie jednak ten dobór słów dobrze oddaje ducha, który zapanował w naszym kraju w ostatnich tygodniach. Analizując postawę państwa polskiego wobec wojny za naszą wschodnią granicą, faktycznie można odnieść wrażenie, że polskie elity znalazły się na usługach narodu ukraińskiego.

PIERWSI DO POMOCY

Kilka tygodniu temu (w „Do Rzeczy" nr 19/2022) opisywałem grupę jastrzębi – ludzi, którzy dla Ukrainy byli gotowi wplątać Polskę w konflikt z Rosją. Sprawa nie dotyczyła jedynie prawicowych intelektualistów (jak Jan Rokita czy Józef Orzeł), ale także samych polityków PiS (np. Witold Waszczykowski, były szef dyplomacji). Swoiste apogeum stanowiła zaś wypowiedź generała Waldemara Skrzypczaka, który wprost mówił o odebraniu Rosji obwodu kaliningradzkiego. Jastrzębie oraz cała spontaniczna idea „pokojowej misji" to najlepsza egzemplifikacja tego, że polskie elity zapomniały, iż w pierwszej kolejności winny kierować się bezpieczeństwem państwa polskiego, a nie ukraińskiego.

Ten spontaniczny entuzjazm udzielił się również polskiemu rządowi, czego przykładem jest sprawa przekazania Ukrainie ponad 200 czołgów T-72. Podczas spotkania z kanclerzem Scholzem w Berlinie premier przekazał, że Polska potrzebuje wypełnić ubytki we własnym uzbrojeniu. – Przekazaliśmy Ukrainie pomoc w postaci czołgów, ale potrzebujemy czołgów, które weszłyby na stan posiadania naszej armii. W to miejsce, z którego my przekazaliśmy czołgi na Ukrainę – mówił szef rządu. Skoro premier przyznaje, że musiał prosić o pomoc w dozbrojeniu polskiej armii, to

eprasa.pl f4e3c581c3

nasuwa się naturalne pytanie, dlaczego nie zadbano o stan naszych sił zbrojnych przed wysłaniem sprzętu Ukrainie?

Temat czołgów niedługo później powrócił za sprawą ministra spraw zagranicznych Ukrainy Dmytra Kułeby, który, gdy premier Morawiecki wystąpił o uzupełnienie polskich braków, zwrócił się do Brytyjczyków z prośbą, by ci nie przekazywali swoich czołgów Polsce. – Nie możemy już polegać na dostawach na Ukrainę broni z czasów Związku Sowieckiego. To się skończyło. Koniec tematu. Potrzebujemy kompleksowego programu przejścia z broni sowieckiej na broń zgodną ze standardami NATO – mówił ukraiński dyplomata, lobbując za przekazaniem czołgów do swego państwa.

MIŁOŚĆ JEDNOSTRONNA?

Polska w ostatnich tygodniach pokochała Ukrainę, jednak wiele wskazuje na to, że jest to miłość jednostronna (o co trudno mieć pretensje do samych Ukraińców). I tak np. nie należy się dziwić, że mimo wojny i całego polskiego zaangażowania Ukraina nie ma problemu, aby wykłócać się z polskimi władzami o 200 tys. zezwoleń na międzynarodowe przewozy ciężarowe, i jasno deklaruje, że w razie potrzeby skieruje sprawę do sądu. Można zgadywać, że w sporze polska strona ostatecznie ustąpi, gdyż w innym przypadku opinia publiczna byłaby bezlitosna dla rządzących.

Kolejnym przykładem tego jednostronnego zauroczenia może być tzw. ustawa sankcyjna. Uderzała ona w podmioty wspierające Rosję, a jednocześnie wychodziła poza zakres sankcji, które wprowadzała do tej pory Unia Europejska. Dla ukraińskiej dyplomacji było to rozwiązanie jednak niewystarczające, co dał do zrozumienia ambasador Ukrainy w Polsce Andrij Deszczycia, krytykując odrzucenie przez Sejm jednej z senackich poprawek do ustawy. Rzeczona poprawka wprowadzała dodatkowy zakaz obejmujący import LPG z Rosji. Przedstawiciele rządu tłumaczyli, że w obecnej chwili nasz kraj nie może sobie pozwolić na tego typu rozwiązania. – Gdybyśmy przyjęli tę poprawkę, pozbawiliśmy ok. 3,5 mln Polaków, bo tyle jest dzisiaj samochodów napędzanych gazem LPG, możliwości tankowania tego tańszego paliwa na stacjach benzynowych – wskazywał w Sejmie Jacek Sasin.

Szerokim echem odbiły się wówczas słowa Deszczycy, który nie krył rozczarowania postawą polskiego Sejmu. – Trzeba wybrać: albo tańsze paliwo, albo życie walczących na wojnie – powiedział ukraiński dyplomata w rozmowie z TOK FM. Ale czy można się dziwić dezynwolturze ambasadora, jeżeli niedawno marszałek Grodzki – „trzecia osoba w państwie" – kajał się przed ukraińskim parlamentem za to, że polskie władze importują rosyjski węgiel. Oczywiście, łatwo się oburzać na handel z Rosją, jednak warto odnotować, że ani Grodzki, ani Deszczyca nie wspomnieli, iż pomimo wojny sami Ukraińcy dalej prowadzili interesy z Gazpromem.

Wypowiedź dotycząca „ustawy sankcyjnej" nie była jedynym głośnym wystąpieniem ambasadora. W ostatnich tygodniach Deszczycia m.in. straszył polskie społeczeństwo rosyjskim atakiem (do którego rzekomo miał się przygotowywać premier Morawiecki), jak również czuł się w mocy dysponować rosyjskimi budynkami w Warszawie przejętymi przez państwo polskie. – Moja propozycja dla Rosji: oddajcie nam Donbas i Krym – my wspólnie z Polakami oddamy wam „Szpiegowo" [rzeczony kompleks budynków – J.F.] – stwierdził dyplomata. Zrozumiałe jest, że Deszczyca znajduje się w niezwykle trudnym położeniu i robi wszystko, aby pomóc własnemu państwu, nie może być to jednak usprawiedliwieniem dla jego emocjonalnych wystąpień, w których straszy polskie społeczeństwo wizją rosyjskiej inwazji albo wciela się w rolę polskiego MSZ.

WSZYSTKO DLA UKRAINY?

Stosunek Polski do Ukrainy jest traktowany w kategoriach moralnych, a nie politycznych, co sprawia, że już sama rozmowa o kosztach przyjmowania uchodźców oraz poziomie naszego zaangażowania w konflikt na wschodzie, jest przedstawiana jako podłość. Paryż może dbać o interes Francuzów, Budapeszt o Węgrów, a Berlin o Niemców, a jedynie polscy politycy mają moralny imperatyw nieustannego wychodzenia przed szereg i nadstawiania karku w interesie – było nie było – obcego państwa. To podejście doprowadziło do działań wprost uderzających w polskie społeczeństwo, jak to miało miejsce w przypadku antyrosyjskich sankcji nałożonych na firmę Novatek Green Energy. Intencje były słuszne, tylko skutki dotknęły kilkunastu tysięcy Polaków, którzy nagle zostali odcięci od gazu dostarczanego przez firmę. Politycy dopiero post factum zdali sobie z tego sprawę i na chybcika zaczęli wprowadzać prowizoryczne rozwiązania, dzięki którym gaz wrócił – po paru dniach – do kilkunastu gmin.

Rzecz nie tyczy się jedynie działań rządzących, ale ma zdecydowanie szerszy wymiar, który przejawia się w podporządkowaniu całego ładu społecznego kwestii Ukrainy i zburzeniu podstawowego podziału na gości i gospodarzy. Dla przykładu „Gazeta Wyborcza" opublikowała niedawno list emerytowanego nauczyciela, który przekonywał, że pojawienie się „Reduty Ordona" Adama Mickiewicza na egzaminie w polskiej szkole jest „nieludzkie". W podobne tony uderzał skrajnie lewicowy serwis OKO.Press, który opublikował wywiad z nauczycielkami wyznającymi, iż boją się, że „szkoła Czarnka" będzie polonizować uczniów z Ukrainy. Jedna z nich wyznaje wstydliwie, że wręcz czuje się „zaborcą". Również „Rzeczpospolita" dołączyła do tego chóru, przekonując, że polski system edukacji „dyskryminuje uchodźców", gdyż zmusza ich do pisania egzaminów w języku polskim. Oczywiście decyzje ministra mogą być obiektem dyskusji, ale histeryczny ton przyjęty przez liberalne media pokazuje, że rozróżnienie na gospodarzy i gości, które powinno być fundamentem dla pomocy Ukraińcom, praktycznie zostało przekreślone. Wprost niewiarygodnie brzmią natomiast apele prof. Tomasza Schramma, przewodniczącego Komitetu Nauk Historycznych Polskiej Akademii Nauk, który niedawno apelował o to, by przerwać konkurs historyczny dla młodzieży poświęcony zbrodni na Wołyniu (konkurs ogłoszono we wrześniu 2021 r.), bo na wschodzie jest wojna.

Podobne głosy budują niezdrową atmosferę, w której jakiekolwiek odstępstwo od spontanicznego proukraińskiego entuzjazmu jest kwitowane zarzutami o rusofilstwo. Debata publiczna jest sparaliżowana, a jakiekolwiek próby liczenia kosztów naszej polityki spotykają się z falą prymitywnych, często wulgarnych, tyrad. Polska to kraj, w którym rozedrgane emocje zastępują chłodny osąd sytuacji, a polityka jest traktowana nie jako gra interesów, ale nieustająca licytacja moralna – kto da więcej, kto będzie bardziej antyrosyjski, kto głośniej wykrzyczy swój patriotyzm. Z oczywistych względów Polska powinna wspierać Ukrainę, ale wszak nie może tego robić własnym kosztem. Interesy obu państw są zbieżne, ale nie tożsame. Dobrze gdyby polskie władze pamiętały, że mają być sługami narodu polskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4e3c581c3

FOT. ADOBE STOCK

Jak łatwo zostać „ruskim agentem"

Łukasz Warzecha

Najmodniejsze obecnie narzędzie wykluczania kogoś z debaty to zarzut prorosyjskości. Ma on w Polsce długą tradycję

Był kiedyś czas, gdy w polskiej debacie zarzutem wykluczającym było oskarżenie o antysemityzm. Wówczas niemal niepodzielny rząd dusz sprawowała „Gazeta Wyborcza", a kogo organ Adama Michnika mianował antysemitą – jak przytrafiło się choćby prof. Ryszardowi Legutce – ten był napiętnowany i bywał wyrzucany poza główny nurt.

Zarzut antysemityzmu służył jednak w zasadzie jednej stronie – lewicowej. Druga mogła się przed nim najwyżej bronić. Od tego czasu wiele się zmieniło, a i sam antysemityzm przestał być bronią atrakcyjną. Wszak nowoczesna lewica choćby poprzez wspieranie Palestyńczyków zaczęła sympatyzować z klimatami, które niegdyś gazeta Michnika zwalczałaby właśnie oskarżeniami o antysemityzm.

Od pierwszej dekady XXI w. zmieniło się bardzo wiele. „Gazeta Wyborcza" nie jest już hegemonem, medialny układ mocno się zmienił, podobnie jak polska polityka. Potrzebny był nowy kij. I taki się znalazł. Choć istniał od dawna, ale dziś zyskał na atrakcyjności, a co ciekawe – jest poręczny dla obu stron konfliktu, które chętnie okładają się nim nawzajem, od czasu do czasu zgodnie okładając nim wspólnego wroga. To kij prorosyjskości.

HISTORIA WROGA

Zarzut to o długiej w Polsce tradycji, sięgającej XVIII w., kiedy Rosja wyrosła na głównego animatora i inicjatora najpierw ubezwłasnowolnienia, a potem rozczłonkowania Rzeczypospolitej między zaborców. Rosja awansowała na naczelnego wroga po raz pierwszy za sprawą konfederacji barskiej, której uczestnicy widzieli ją jako obmierzłego promotora przywilejów dla innowierców i znienawidzonego przez wielu króla Stasia. Potem były I i II rozbiór oraz wojna polsko-rosyjska 1794 r.

Wiek XIX ten sposób widzenia Rosji ugruntował. To w Królestwie Polskim, w zaborze rosyjskim, wybuchły dwa narodowe powstania, a podglebiem obu była coraz intensywniejsza niechęć do zaborcy, która w przypadku powstania styczniowego przybrała formę wręcz obsesyjną i całkowicie irracjonalną, wykolejając reformy Aleksandra Wielopolskiego. Później mieliśmy wojnę polsko-bolszewicką 1920 r., potem 17 września, potem zaprowadzony pod sowieckim przymusem komunizm. Trudno, żeby taki bagaż doświadczeń nie spowodował, że zarzut o sprzyjanie Rosji stał się w Polsce jednym z najpoważniejszych, jakie można sobie wyobrazić. Ale też właśnie z tego powodu jest to zarzut bardzo prosty w użyciu, powiązany z ogromnymi emocjami i przez to nierzadko używany bez żadnego faktycznego uzasadnienia.

Tradycyjnie jednak tej pałki używała, najogólniej mówiąc, prawa strona. Nic dziwnego, skoro do pewnego momentu polską polityką rządził podział na postopozycjonistów i postkomunistów oraz ich sprzymierzeńców. Nie do końca trafny, naciągany w wielu miejscach, mocno schematyczny (bracia Kaczyńscy także przyklepali Okrągły Stół), ale sprawiający, że strona postkomunistyczna była kojarzona raczej z ciągotami prorosyjskimi i sama zarzutem prorosyjskości się nie posługiwała. Ba, nawet czasem próbowała delikatnie Rosji bronić.

> **Rosja awansowała na naczelnego wroga po raz pierwszy za sprawą konfederacji barskiej, potem były rozbiory**

Dzisiaj ten podział nie ma już żadnej racji bytu, chociaż Prawo i Sprawiedliwość uparcie się go w swojej retoryce trzyma. Tymczasem oskarżenie o sprzyjanie Kremlowi okazało się użyteczne

eprasa.pl f4e3c581c3

i dla jednej, i dla drugiej strony. Po 10 kwietnia 2010 r. PiS ogłosił, że PO grała ręka w rękę z Putinem – co zresztą, gdy idzie o postępowanie rządu Tuska po katastrofie, nie jest dalekie od prawdy. Z czasem PO odparła atak, starając się wcisnąć PiS w buty skrajnego eurosceptycyzmu – bez żadnych faktycznych podstaw – tworząc prosty i głupi sylogizm: jesteś w jakimkolwiek stopniu sceptyczny wobec UE, czyli jesteś przynajmniej funkcjonalnym sojusznikiem Moskwy. Tertium non datur.

Tu zaczął się groźny proces, który z czasem przynosił coraz poważniejsze negatywne efekty: oba główne obozy zaczęły się licytować na antyrosyjskość i na zarzuty prorosyjskości wobec oponentów, na wyprzódki udowadniając, że same prorosyjskie nie są. Platforma Obywatelska, z zasady bezkrytyczna wobec Unii, stała się, jeśli to możliwe, bezkrytyczna jeszcze bardziej. Natomiast za jednoznacznie prorosyjskie uznała plany PiS, żeby w ramach konserwatywnego sojuszu europejskiego starać się stworzyć alternatywę dla federacyjnego kursu. To oskarżenie łatwo było rzucić, bo potencjalni sojusznicy PiS – Viktor Orbán, Matteo Salvini czy Marine Le Pen – miewali do Rosji faktycznie ambiwalentny stosunek. Tylko że to nie polityka wobec Moskwy miała być przedmiotem przymierza sił konserwatywnych.

Z PAŁKI MACZUGA

Gdy wybuchła wojna na Ukrainie, zarzut prorosyjskości z pałki stał się ogromną maczugą, szczególnie wziąwszy pod uwagę rozemocjonowanie polskiego społeczeństwa. W ramach udowadniania, że z Moskwą nie ma nic wspólnego, PiS musiał szybciutko porzucić rzekomo wieczny sojusz z Węgrami, przechodząc w okamgnieniu z retoryki głębokiej miłości do retoryki niemalże wrogości wobec Budapesztu. To zresztą pokazuje, jak groteskowo niedojrzała jest polska polityka, w której relacje między krajami kształtują wybuchowe emocje opinii publicznej. I nie jest to tylko pozór – jak się dowiedziałem, podczas niedawnej wizyty Katalin Novák, pani prezydent Węgier, w Warszawie atmosfera w trakcie spotkania z Andrzejem Dudą była dobra, ale już w czasie rozmów z premierem Mateuszem Morawieckim – chłodna. Wizyta była tylko robocza, a nie państwowa, a więc miała niższy status. Nieprzypadkowo.

Ofiarą licytacji na antyrosyjskość padła także idea konserwatywnego europejskiego sojuszu. O nie tak przecież dawnym spotkaniu w Warszawie przedstawicieli sił sprzeciwiających się federalnemu kierunkowi, któremu patronował PiS, politycy partii rządzącej chcieliby zapewne zapomnieć. Dzieje się to w momencie, gdy również za sprawą KPO UE rozpoczyna nową fazę forsowania bardzo istotnych zmian w krajach członkowskich. Można nawet uznać, że akceptacja przez PiS daleko idących unijnych postulatów, zawartych w Krajowym Planie Odbudowy, ma źródło również w chęci odżegnania się od zarzutów o eurosceptycyzm, a więc – dla niektórych – automatycznie o prorosyjskość.

Licytacja na antyrosyjskość stała się swego rodzaju pułapką dla rządzących, którzy sami się w nią złapali

PiS oczywiście nie pozostaje bierny i kontratakuje, stawiając Platformie zarzuty o kooperację z Rosją w kwestii podpisywanych niegdyś kontraktów gazowych i o nie dość intensywne dążenie do uniezależnienia Polski od rosyjskich surowców. Tu przypomnieć trzeba, że obie partie mają podobnie spektakularne osiągnięcia w niezbudowaniu elektrowni jądrowej: PO nie rozpoczęła budowy w ciągu ośmiu lat swoich rządów, PiS – w ciągu siedmiu.

Sprzymierzeńcem Rosji można zresztą zostać właściwie z dowolnego powodu. Rozumowanie jest bardzo proste: my (tu wstawić nazwę ugrupowania) chcemy dla Polski dobrze – to dogmat; kto się nam przeciwstawia, ten zatem chce dla Polski źle, a dla Polski źle chcą Ruscy. Czyli: kto się nam przeciwstawia, ten ruski sojusznik. Taki sylogizm funkcjonował w czasie epidemii. Osoby wykazujące się sceptycyzmem wobec szczepień na COVID szybko zostały zdemaskowane jako „ruskie onuce". Ale przecież to samo może zadziałać w zasadzie w dowolnej sprawie.

SKRAJNE SZALEŃSTWO

Apogeum szaleństwa nastąpiło po 24 lutego. Pałka prorosyjskości spowodowała, że przynajmniej na pierwsze dwa miesiące od momentu rosyjskiego ataku właściwie wszelka dyskusja została sparaliżowana. Dziś jest trochę lepiej, sceptyczne głosy powoli przebijają się w przekazie, ale idzie to opornie.

Ruskim agentem i ruską onucą zostawało się za samo zadawanie pytań o racjonalność działań Warszawy w kwestii sposobu przyjmowania w Polsce uchodźców, parcia do błyskawicznego embarga na rosyjskie surowce czy przekazywania kolejnych transz sprzętu polskiej armii walczącej Ukrainie.

Licytacja na antyrosyjskość stała się swego rodzaju pułapką dla rządzących, którzy sami się w nią złapali. Ponieważ od początku konfliktu weszli na najwyższy moralizujący diapazon, nie byli już w stanie z niego zejść w kierunku większej racjonalności. To sprawiło, że podjudzani i zaczepiani cały czas przez partię Tuska, niczego nie kalkulując i nie licząc, wprowadzili ustawę sankcyjną. Jej skutek jest dwojaki. Po pierwsze – natychmiastowe odcięcie rosyjskiego węgla wywołało kryzys węglowy, z którego teraz PiS niezdarnie usiłuje się wydobyć, rozumiejąc, że brak węgla na zimę uderza przede wszystkim w jego elektorat. Po drugie – bezmyślne (trudno to inaczej określić) i chaotyczne nakładanie sankcji przez MSWiA na podmioty niemające już nic wspólnego z rosyjską własnością, jak Maga Foods czy nigdzie indziej w Europie niesankcjonowany szwajcarski Sulzer, uderza w polskie interesy i polskich pracowników. Znów można odnieść wrażenie, że ktoś tu próbuje być świętszy od papieża, byle nie podpaść pod zarzut sprzyjania Kremlowi.

Pałka putinizmu wywiera na polskie życie publiczne wpływ fatalny, pozbawiając je choćby śladów zdrowego rozsądku. Przypomina to trochę licytację, jaką prowadziły polskie stronnictwa polityczne, od czerwonych do białych, przed wybuchem powstania styczniowego. O sprzyjanie rosyjskiemu interesowi był już przecież oskarżany również nasz tygodnik – tylko dlatego, że jest w nim miejsce na dyskusję i rozważanie, w którym miejscu polski interes powinien stanowić granicę dla naszych działań wspierających Ukrainę. Jeśli nie uwolnimy się z tego schematu, to nie będziemy w stanie prowadzić poważnej i racjonalnej polityki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4e3c581c3

Przebrzmiały schemat kontra bezpieczeństwo Polski

Romuald Szeremietiew

Rzeczpospolita Obojga Narodów, wielonarodowa, nie oznaczała zniszczenia polskiego narodu. Odwrotnie – dała Polakom możliwość cywilizacyjnego kształtowania narodów razem z nimi żyjących w państwie, przyjmowania wartości wspólnych, wartości cywilizacji łacińskiej

Jest kilka rodzajów państw. W Europie na ogół są to państwa unitarne (jednolite), w których jeden naród posiada monopol na stanowienie i wykonywanie prawa na określonym terytorium. Ale są też państwa związkowe, federalne, składające się z części obdarzonych autonomią (krajów związkowych, prowincji, kantonów, landów), posiadających wspólny (federalny) rząd. Wreszcie bywają konfederacje, które są związkiem państw opartym na umowie międzynarodowej w celu prowadzenia

eprasa.pl f4e3c581c3

Wartości, do których odwołują się dziś Ukraińcy, są tożsame z wartościami wybranymi przez Polaków FOT. DARIUSZ ZARÓD/EAST NEWS

wspólnej polityki w określonych dziedzinach. Taki związek nie ma scentralizowanej władzy, a państwa tworzące konfederację pozostają suwerennymi podmiotami prawa międzynarodowego.

NARÓD I PAŃSTWO

Kiedy w Polsce pada słowo „państwo", ludzie na ogół widzą tylko państwo jednego narodu, unitarne. Co więcej, uważa się, że obecność w nim osób innej narodowości (mniejszość narodowa) powoduje kłopoty mogące nawet być zagrożeniem dla istnienia państwa.

Komunistyczna propaganda latami wmawiała Polakom, jakim dobrodziejstwem było zabranie Kresów Wschodnich RP przez Stalina, na których obok milionów Polaków żyło też kilka milionów Białorusinów i Ukraińców. Polska Ludowa (PRL) nad Odrą i Bałtykiem, „piastowska", dzięki Stalinowi stała się państwem jednonarodowym i żadnego kłopotu z mniejszościami już nie ma – to słyszeliśmy nieustannie. Komuniści dziwnie nie zauważali, że „dobrodziejstwo", jakim obdarzył Polaków Stalin, nie znajduje zastosowania w ZSRS, który był, a Rosja jest do dziś mozaiką narodów i ludów często niemających wiele wspólnego z rosyjskością.

Komunistyczne przekonywanie, jak dobrze mają Polacy dzięki pozbyciu się mniejszości (wraz z połową państwowego terytorium!), znalazło mocne wsparcie w żywej w polskich głowach tradycji ruchu narodowego endecji Romana Dmowskiego.

W 1918 r. polscy narodowcy, tak samo zresztą jak narodowcy litewscy, białoruscy, ukraińscy, chcieli budować swoje państwa bez mniejszości narodowych. Jednak niemożliwością było wykreślenie granic państw białoruskiego, polskiego, litewskiego, ukraińskiego, aby w ich granicach nie było ludzi innych nacji.

Do tego zamiarem nacjonalistów było zawsze stworzenie własnego „wielkiego" terytorialnie państwa, a wtedy obecność ludzi innych narodowości była nieunikniona. Nie można było zbudować jednonarodowej Wielkiej Białorusi, Wielkiej Litwy, Wielkiej Polski, Wielkiej Ukrainy, do tego w zasadzie na tym samym terytorium między Wisłą a Dnieprem. Starano się więc zajmować obszar, na którym naród panujący stanowiłby widoczną większość, i zastosować politykę wynaradawiania mniejszości, co oczywiście musiało wywołać opór po stronie wynaradawianych.

W każdym razie Litwini podjęli bardzo brutalną akcję depolonizacji Litwy, a w Polsce, w której duże wpływy na umysły ludzi miała endecja, stosowano rozliczne zabiegi polonizacyjne na terenie województw wschodnich. Narodowcy białoruscy i zwłaszcza ukraińscy mieszkający w Rzeczypospolitej sięgnęli po przemoc zbrojną, a po 1939 r., gdy państwo polskie zostało rozbite przez Niemcy (nazistów) i Rosję (Sowieci), skutkowało to falą zbrodni i mordów popełnianych na Polakach przez Litwinów, Białorusinów i nade wszystko przez nacjonalistów ukraińskich z OUN-UPA, którzy mordując masowo Polaków, usiłowali zdepolonizować Wołyń i inne ziemie kresowe.

Jan Fiedorczuk opublikował tekst, w którym opisuje groźbę zniszczenia polskiego państwa narodowego, którą widzi w postulatach zawierania bliższych związków z Ukrainą („Niebezpieczne fantazje na prawicy" – „Do Rzeczy" nr 21/2022). Jako dowód przytacza i moje słowa, twierdząc, że ja „nie kryję radości z szans na zanik państwa narodowego". W swoim życiu dużo poświęciłem na rzecz niepodległości polskiego państwa narodowego, jego zanik na pewno nie ucieszyłby mnie. Publicysta Fiedorczuk, posługując się endeckim schematem, nie rozumie, że Rzeczpospolita Obojga Narodów, wielonarodowa, nie oznaczała zniszczenia polskiego narodu. Odwrotnie – dała Polakom możliwość cywilizacyjnego kształtowania narodów razem z nimi żyjących w państwie, przyjmowania wartości wspólnych, wartości cywilizacji łacińskiej.

Rozważając konflikty na tle narodowościowym, zwłaszcza te z przeszłości Polski, nie dostrzega się, jaką rolę w nich odgrywał aspekt cywilizacyjny, gdy dochodziło – jak pisał Samuel Huntington – do „zderzenia" cywilizacji. To bowiem często przyjęta cywilizacja, a nie narodowość była/jest pierwotnym źródłem konfliktów. Odmienność cywilizacyjna potrafi skonfliktować nawet ludzi należących do tego samego narodu, jeśli przynależą do różnych cywilizacji – takie jest przecież źródło trwającej dziś „wojny polsko-polskiej", gdyż część Polaków przyjęła obce wzorce cywilizacyjne w latach zaborów, niewoli, okupacji i ten wpływ ujawnia się do dziś. Profesor Feliks Koneczny, darzony też wielką estymą przez narodowców, dawno przedstawił, na czym polegają różnice cywilizacyjne i jakie niosą konsekwencje. Współcześni endecy najwyraźniej nie czytają Konecznego.

Dawna Rzeczpospolita rosła w siłę, rozwijała się tak długo, jak długo niezagrożenie rozszerzał się i umacniał w niej wpływ cywilizacji łacińskiej. Rozpadła się, kiedy zaczęła w niej funkcjonować, wraz z przyjmowanym protestantyzmem, cywilizacja bizantyńska i zwłaszcza wraz z pojawiającym się turanizmem, który przyjmowali żądni łupów zdobywanych w czasie wypraw zbrojnych Kozacy. Cywilizacja turańska nie tylko ich skonfliktowała z łacińską Rzecząpospolitą, lecz także poprowadziła pod panowanie turańskiej Rosji. Najazdy protestanckich Szwedów (potop szwedzki był straszliwym spustoszeniem Rzeczypospolitej) i krwawe bunty kozackie – jedne i drugie były w istocie „zderzeniem cywilizacji" niszczącym łacińską Rzeczpospolitą.

UKRAINA – TAK CZY NIE?

Relacje polsko-ukraińskie, w tym też spektakularne kontakty prezydentów Polski i Ukrainy, ożywiły dysputy na temat ewentualnych bliższych związków między obu narodami. Bez wątpienia bliski związek Warszawy z Kijowem może owocować budową wspólnoty

eprasa.pl f4e3c581c3

politycznej i militarnej bloku, w którym mogą/powinny znaleźć się też inne narody Europy Środkowo-Wschodniej. Taki blok stanowiłby poważny ośrodek siły, z którym mocarstwa Europy Zachodniej i Rosja musiałyby się liczyć.

Współpracy polsko-ukraińskiej boją się na Kremlu. Moskale musieliby zapomnieć o budowaniu swego imperium dziś „po trupie" Ukrainy i następnie Polski. Nic więc dziwnego, że atakują ten zamiar rosyjska propaganda i różni jej podwykonawcy w Polsce – mamy takich biadolących „patriotów", że Polska daje się „wkręcać" w nieswoją wojnę, nawołujących głośno, aby nie drażnić i nie prowokować Rosji, bo rakiety Putina spadną na Polskę.

Także unijnym partnerom Polski (Niemcy, Francja) bardzo dobre relacje Polaków z Ukraińcami są nie w smak. Nie tylko dlatego, że w UE może pojawić się ośrodek siły, z którym trzeba będzie się liczyć i którego nie da się pacyfikować, strasząc odcinaniem funduszy unijnych, ale nade wszystko uniemożliwi to robienie interesów z Kremlem. Są też odwołujący się do polskiego interesu narodowego i sięgający do tradycji narodowej, do myśli Dmowskiego. Od nich słyszymy, że związek Polski z Ukrainą stanowi śmiertelne zagrożenie dla istnienia narodu polskiego. Polacy wtopieni w ukraińską masę rozpłyną się, znikną – wieszczą oni. Tak więc żadnych mrzonek jagiellońskich, żadnej Rzeczypospolitej wielonarodowej, tylko trzymać się polskiego kawałka ziemi między Bugiem a Odrą.

W 1921 r. Polska w Rydze zawarła traktat pokojowy z Rosją bolszewicką. Wojsko Polskie pobiło bolszewików, żołnierze polscy wyzwolili Mińsk na Białorusi, w rękach polskich były Płoskirów, Kamieniec Podolski na Ukrainie. Podczas rozpoczęcia rozmów w Rydze Lenin podkreślił: „Teraz pozostaje nam tylko ich [Polaków] oszukać, gdyż nasze sprawy wojenne wyglądają źle. Postaramy się kupić od nich zawieszenie broni. W ciągu najbliższego miesiąca musimy za wszelką cenę skończyć z Wranglem". Bolszewikom zależało na szybkim zawarciu pokoju. Lenin uznał bowiem za najgroźniejszego wroga „białych" Rosjan gen. Piotra Wrangla, nacierających z Krymu i południa Ukrainy. Kontynuowanie wojny na dwóch frontach uznał za niemożliwe, toteż należało według niego przerwać walki z Polską za każdą cenę.

Dla Sowietów było oczywiste, że muszą zrezygnować z ziem, gdzie stoi polskie wojsko, i będą musieli terytorialnie ustępować Polakom. Toteż ze zdziwieniem usłyszeli od polskiej delegacji, że Polska nie chce Mińska (w tej kwestii najpierw w delegacji polskiej doszło do ostrego sporu z piłsudczykiem Leonem Wasilewskim, który nie chciał oddawać Mińska bolszewikom). Oświadczono też, że na Ukrainie Wojsko Polskie wycofa się z Kamieńca Podolskiego na linię rzeki Zbrucz. Dlaczego?

Narody ukształtowane w jednej cywilizacji mogą współpracować, tworzyć wspólnoty, ponieważ mają podobne wizje swej egzystencji

W polskiej delegacji dominowali zwolennicy Dmowskiego, którzy byli przeciwni koncepcji Piłsudskiego wielonarodowej Rzeczypospolitej. Obawiali się, że zatrzymanie Mińska umożliwi Piłsudskiemu zbudowanie federacji z Białorusinami. Zgodzono się na udział w rokowaniach przedstawicieli sowieckich „republik" Białorusi i Ukrainy, którzy – jak się okazało w czasie rokowań – nie znali „swoich" języków narodowych, wersje traktatu w językach białoruskim i ukraińskim musieli napisać Polacy! Nie było natomiast w składzie delegacji polskiej przedstawicieli Białorusi i Ukrainy, mimo sojuszu zawartego przez Piłsudskiego z ukraińskim przywódcą atamanem Petlurą. Piłsudczyk Tadeusz Hołówko wspominał: „Zdradziliśmy Ukraińców, którzy wiernie dotrzymali nam braterstwa w dniach tragicznych. A tylko dwa tygodnie dalszej wojny i wojska Petlury byłyby w Kijowie i Joffe [stał na czele delegacji sowieckiej] zgodziłby się prowadzić rokowania wspólnie z nami i delegatami Petlury, uznałby niepodległą Ukrainę, gdyż chodziłoby mu wówczas o ratowanie samego bytu bolszewików".

Polscy narodowcy postarali się, aby Polska zdradziła białoruskich i ukraińskich sojuszników. Piłsudski odwiedził później internowanych oficerów ukraińskich, mówiąc: „Ja bardzo panów przepraszam!". Nie trzeba mówić, jak ważnym argumentem dla środowisk wrogich związkom Białorusi i Ukrainy z Polską była polska zdrada w Rydze.

Decydujący o stanowisku polskiej delegacji narodowy demokrata Stanisław Grabski, krytykowany później, bronił się, że w sprawach granic trzeba było bolszewikom ustąpić, zawrzeć kompromis, aby zapewnić od strony Rosji trwały pokój. Rosja oczywiście nie wywiązała się z zapisów traktatu dotyczących zwrotu polskiego dorobku kulturalnego, mienia publicznego i prywatnego oraz wypłacenia odszkodowania za wkłady i kapitały mieszkańców byłego Królestwa Polskiego, znajdujące się w rosyjskich bankach, a we wrześniu 1939 r. odebrała Polsce niepodległość – „kompromis" okazał się nic niewart. I najgorsze – po traktacie pokojowym w 1921 r. za granicą wschodnią Polski na ziemiach oddanych bolszewikom pozostały rzesze Polaków, w tym tereny zamieszkane przez polską szlachtę zaściankową nad Berezyną. Polaków pozostawionych w Sowietach w bliskiej przyszłości czekała śmierć („operacja polska" NKWD 1937–1938), czego delegaci polscy nie mogli przewidzieć, chociaż musieli wiedzieć o zbrodniach, których dopuszczali się bolszewicy na jeńcach polskich w czasie wojny 1919–1920.

ODŻYWA CYWILIZACJA ŁACIŃSKA

Polacy są ukształtowani w cywilizacji łacińskiej. Dobrze to wyraża polska dewiza: Bóg – Honor – Ojczyzna. Widzimy, że za wschodnią granicą Polski zachodzi proces kształtowania się narodu ukraińskiego. Jeśli dostrzeżemy, do jakich wartości odwołują się współcześni Ukraińcy, to okazują się one tożsame z wartościami wybranymi przez Polaków. Dowodzą tego wzajemne zrozumienie i podejmowane przez nas działania. Okazało się, że dawny polski zasiew cywilizacyjny na ziemiach naddnieprzańskich w starciu z rosyjskim agresorem przynosi teraz plon.

Należy sobie uświadomić, że narody ukształtowane w jednej cywilizacji mogą współpracować, tworzyć bloki, wspólnoty, państwa bowiem mają podobne wizje swej egzystencji, odwołują się do tych samych wartości, nie pojawi się więc żadne „zderzenie cywilizacji". Nie mogło być wspólnoty między Polakami a ukraińskimi nacjonalistami, oni należeli, tak jak Kozacy, do innej cywilizacji, turańskiej. Tę odmienność współczesna Ukraina znosi, pojawia się łącząca nas, a nie dzieląca podstawa cywilizacyjna. W związku Polski z Ukrainą naród polski i naród ukraiński mogą funkcjonować niezagrożone, bezpieczne. W naszym położeniu „między Niemcami a Rosją" ma to zasadnicze znaczenie, także dla realizacji polskiego interesu narodowego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4e3c581c3

REPUBLIKA
OKO
na niedzielę
nowy program
w Telewizji Republika
sobota
premiera
21:50
niedziela
powtórka
14:50
zaprasza
ks. prof. Dariusz Oko
RepublikaTV
@RepublikaTV
Telewizja Republika
@RepublikaTV
Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, w internecie na stronie www.tvrepublika.pl
oraz droga naziemną w systemie DVB-T w Katowicach i okolicy oraz w systemie DVB-T2
w Warszawie na kanale 23, Wrocławiu na kanale 41 i w Gdańsku na kanale 31.

Polityka zamiast nauczania

Paweł Chmielewski

Papież Franciszek zrealizował wreszcie główny cel swojego pontyfikatu: przeprowadził reformę Kurii Rzymskiej. 5 czerwca weszła w życie konstytucja apostolska „Praedicate evangelium", która głęboko przeorganizowuje funkcjonowanie centralnej administracji Kościoła katolickiego

FOT. FRANCO ORIGLIA/GETTY IMAGES

Jak wynika z licznych świadectw, na spotkaniach poprzedzających konklawe w 2013 r. kardynałowie rozmawiali przede wszystkim o konieczności reformy Kurii Rzymskiej. Purpuraci oczekiwali, że nowy papież posprząta bałagan, który rok wcześniej, w atmosferze skandalu, został ukazany całemu światu za sprawą afery Vatileaks. Jorge Mario Bergoglio, jak sam niedawno przyznał, był tego samego zdania. Jako Franciszek wziął się do dzieła: powołał elitarną Radę Kardynałów, której powierzył zadanie opracowania reformy kurialnej, dokładnie tak, jak proponował to kard. Carlo Maria Martini, duchowy mentor Bergoglia. Prace szły bardzo powoli. Rada Kardynałów koordynowana przez kard. Oscara Maradiagę z Hondurasu potrzebowała niemal dziewięciu lat, by wykonać powierzone jej zadanie.

Konstytucja apostolska „Praedicate evangelium" („Głoście Ewangelię"), stanowiąca zwieńczenie tego dzieła, ogłoszona została przez Franciszka 19 marca, w uroczystość św. Józefa i zarazem w dziewiątą rocznicę inauguracji jego pontyfikatu, symbolicznie podkreślając wagę, jaką papież Bergoglio przykłada do reformy.

Symboliczna jest również data jej wejścia w życie. 5 czerwca 2022 r. Kościół katolicki obchodził święto Zesłania Ducha Świętego, upamiętniające wydarzenia w Wieczerniku 50 dni po Zmartwychwstaniu. Duch Święty zstąpił na apostołów, a ci poczęli mówić językami; rzecz określa się dlatego mianem narodzin Kościoła dla świata po okresie ukrycia związanego z żydowskimi prześladowaniami.

SPYCHANA KONGREGACJA NAUKI WIARY

Dziewięć lat pracy, symboliczne daty: a mimo wszystko trudno powiedzieć, gdzie dokładnie miałaby się kryć istota całej reformy. Nowa Kuria Rzymska ma być wprawdzie priorytetowo nakierowana na głoszenie Ewangelii (stąd tytuł konstytucji); najwyraźniejszym tego wyrazem jest powołanie nowego urzędu kurialnego – Dykasterii ds. Ewangelizacji, powstałej z połączenia dwóch wcześniej niezależnych organów, Kongregacji ds. Ewangelizacji oraz Papieskiej Rady Nowej Ewangelizacji. Na czele wykreowanej przez Franciszka dykasterii papież stanął osobiście, tym samym wskazując na siebie jako

na czołowego ewangelizatora Kościoła. Gesty, symbole… – co jednak miałoby z tego wynikać w praktyce? W ostatnich latach Stolica Apostolska zajmuje się przede wszystkim upowszechnianiem „braterstwa międzyludzkiego" i nic nie wskazuje na to, by miało się to zmienić. W nowej Kurii Rzymskiej utrzymano bowiem wierzchołek piramidy hierarchii, którą ustanowił Paweł VI: to Sekretariat Stanu pozostaje najważniejszym urzędem kurialnym.

To, co jest w zakresie wagi urzędów nowością, to powierzenie Dykasterii ds. Ewangelizacji miejsca drugiego – i zepchnięcie tym samym na trzecią pozycję Kongregacji Nauki Wiary (teraz również zwanej Dykasterią). Stawiam tezę, że to właśnie jest najważniejszym krokiem reformy Franciszka, nawet jeżeli nie wydaje się szczególnie spektakularne. Światowe media wolały skupiać się na tym, że odtąd częścią urzędów kurialnych będą mogli kierować świeccy, albo na tym, że podniesiono znaczenie posługi charytatywnej Kościoła.

Mimo wszystko właśnie degradacja doktryny jest najbardziej wymownym elementem „Praedicate evangelium". Jako pierwszy Kongregację Nauki Wiary osłabił właśnie Paweł VI, nadając większą rangę Sekretariatowi Stanu, Franciszek poszedł jeszcze dalej. Hierarchia jego Kurii Rzymskiej zaskakuje na planie logicznym: Kościół niejako najpierw ma głosić, a dopiero później określać, co tak właściwie głosi. Jednakże czy nie odpowiada to lepiej faktom? Skoro przedmiotem przepowiadania Kościoła są już nie tyle prawdy wiary, ile program walki z ubóstwem i socjalnej pomocy bliźnim, to słuszne jest, by był on definiowany właśnie przez watykańskich dyplomatów. Dykasteria Nauki Wiary nie jest już tak istotna, bo wagę straciła sama doktryna.

Od rewolucji II Soboru Watykańskiego obserwujemy w Kościele stopniowe odkładanie oficjalnego nauczania Kościoła na półkę. Papieże, owszem, wydają kolejne encykliki, urzędy kurialne publikują nierzadko ortodoksyjne dokumenty, ale znaczna część tej kościelnej „produkcji" pozostaje wiążąca tylko na papierze; doszło do rozdzielenia praktyki duszpasterskiej od doktryny. Watykan ani nie upomina tych, którzy głoszą różnego rodzaju herezje, ani nie dba o to, by święcenia episkopatu otrzymywali ludzie wierni nauczaniu Kościoła.

W rosnącym stopniu liczy się wierność politycznej agendzie papieża. Kościół upodabnia się do autorytatywnie zarządzanej partii politycznej, w której referencyjna jest wyłącznie aktualna opinia lidera. Kto się z nią nie zgadza, ten powinien milczeć, a jeżeli milczeć nie potrafi – to musi się pożegnać z karierą kurialną. W tej sytuacji nie jest już potrzebny specjalny urząd ds. czystości doktryny, bo ta czystość nie ma żadnego przełożenia na rzeczywistość. Jaka partia utrzymywałaby specjalny organ sprawdzający, kto jest wierny jej programowi, skoro w praktyce od członków wymaga się tylko tego, by byli wierni przekazowi dnia? W takim ujęciu potrzebny jest raczej policjant, który będzie szybko dyscyplinował tych, którzy „robią problemy" i nie chcą powtarzać zadekretowanego przekazu. Tę funkcję mogą pełnić specjalni delegaci Franciszka. Z jednym z nich zapoznał się niedawno bp Daniel Fernández Torres z Portoryko. Po wizycie liberalnego kard. Blase'a Cupicha został przez Franciszka zdjęty z urzędu. Powodów nie podano; nieoficjalnie mówi się jednak, że bp Torres naraził się krytyką sanitaryzmu i odmową współpracy przy budowie ponaddiecezjalnego seminarium… Problemy z tymi, którzy nie zgadzają się z polityczną linią Franciszka, można rozwiązywać właśnie w ten sposób. To wystarczy.

UPADEK URZĘDU

Kongregacja Nauki Wiary stała się ostatnio karykaturą samej siebie. W ciągu minionych kilku lat urząd ten wydał wiele dokumentów, które później zlekceważyli… sam papież i jego najważniejsi kardynałowie. Dotyczyło to m.in. szczepień i homoseksualizmu.

Kongregacja, która przypomina o nauczaniu, raczej przeszkadza w realizowaniu zadań politycznych i budowie globalistycznego braterstwa. Dlatego, być może, ostatnim dokumentem, który wydał ten urząd, było przypomnienie z marca 2021 r. o niemożności błogosławienia par jednopłciowych. Arcybiskupa Giacomo Morandiego, który sporządził tekst, papież z Kongregacji za karę usunął, a sama Kongregacja od tamtej pory milczy. Z drobnym wyjątkiem: w ubiegłym roku przy jej pomocy Watykan przeprowadził ofensywę w Stanach Zjednoczonych, uniemożliwiając kierownictwu amerykańskiego episkopatu wydanie pisma, które uświadomiłoby Joe Bidenowi i innym proaborcyjnym politykom, że nie mogą przyjmować Komunii Świętej. Poza tym Kongregacja nie wypowiadała się. Pytanie, czy to się w przyszłości w ogóle zmieni: zgodnie z „Praedicate evangelium" została podzielona na dwa osobne piony, doktrynalny i dyscyplinarny. Ten drugi będzie zajmować się przypadkami nadużyć seksualnych w Kościele. Sądzę, że rychło okaże się o wiele ważniejszy od doktrynalnego – i Dykasteria Nauki Wiary stanie się de facto Dykasterią ds. Pedofilii. Jako taka może pozostać w Kurii – w związku z rozpowszechnieniem problemów homoseksualnych wśród wysokich rangą duchownych pracy w tej dziedzinie jeszcze długo nie zabraknie.

Czy poza dalszą marginalizacją doktryny reforma Kurii Rzymskiej przyniesie jakieś konkretne owoce? Skandale finansowe i personalne, które wybuchają w Watykanie, nie są przecież owocem strukturalnych braków watykańskich urzędów, tylko generalnej atmosfery, która panuje za Spiżową Bramą. Pokazuje to zresztą dobrze sprawa kard. Angelo Becciu – poważne nadużycia finansowe, z przekazywaniem watykańskich pieniędzy na kampanię oczerniania kard. George'a Pella włącznie, zarzuca się hierarsze, który kluczowe funkcje kurialne pełnił już za pontyfikatu Franciszka, a więc w czasie, w którym dochodziło do rzekomego „oczyszczania" kurii.

Być może jakieś poszczególne techniczne rozwiązania pozwolą wytworzyć w Watykanie większą transparentność finansową. Czy tak będzie, pokaże dopiero przyszłość. Prawdziwe bolączki Kościoła to jednak nie ten czy inny malwersant w koloratce, ale postępujący globalny kryzys wiary, który kończy się na pustych seminariach i pustych kościołach, a zaczyna się w samym Watykanie w postaci désintéressement papieży tym, czy biskupi i teologowie pozostają wierni nauce Kościoła czy też wygłaszają herezje. Kurialna reforma Franciszka nie pomoże nawet w najmniejszym stopniu na naprawę w tym zakresie; może problem tylko pogłębić. To, że papież i kardynałowie, którzy wybrali go na urząd, widzieli i być może nadal widzą główne jego zadanie w przeprowadzeniu strukturalnych roszad w administracji centralnej, pokazuje, z jak wielkim upadkiem mamy do czynienia: nikt nawet nie próbuje wziąć się za rozwiązywanie autentycznych problemów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl f4e3c581c3

Jacek Komuda

Orkowie w Europie

Najazdom rosyjskich hord towarzyszyły masowe gwałty, rabunki i morderstwa. Jednak charakterystyczną ich cechą jest cywilizacyjny szok, przeżywany w krajach Zachodu zarówno przez sołdatów Stalina, jak i dzisiejszych bojców Putina

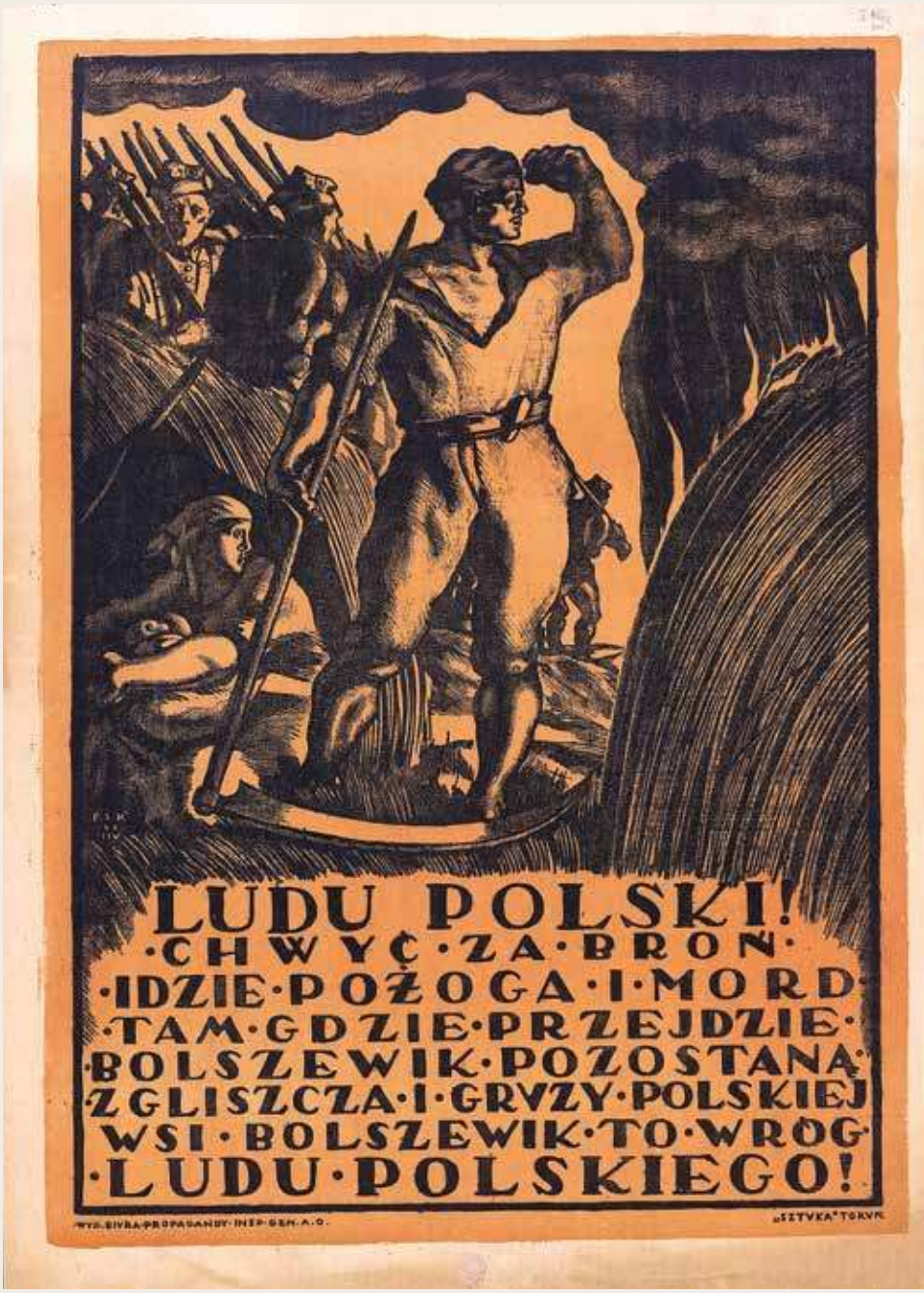

W 1920 r. najazd bolszewicki odsłonił nędzę postcarskiej Rosji. Najeźdźcy rabowali tak nieznane w ich kraju dobra luksusowe, jak brzytwy, lusterka i mydło. Kolejna horda nadeszła po 17 września 1939 r., przynosząc terror i zniszczenie; Polacy i inni mieszkańcy Kresów byli zszokowani cywilizacyjnym zapóźnieniem Rosjan.

„W mojej obecności oficer kupował grzechotkę – pisała mieszkająca we Lwowie Karolina Lanckorońska. – Przykładał ją do ucha towarzyszowi, a gdy grzechotała, podskakiwali wśród okrzyków radości. Wreszcie ją nabyli i wyszli uszczęśliwieni. Osłupiały właściciel sklepu po chwili milczenia zwrócił się do mnie i zapytał bezradnie: – Jakże to będzie, proszę Pani? Przecież to są oficerowie!”.

Nie tylko grzechotki wzbudzały pożądanie orków. Sowietki i enkawudzistki paradowały po ulicach w nocnych koszulach zrabowanych lwowiakom, sądząc, że to najnowsze paryskie kreacje. Urzędnicy, jak wspominał prof. Krzysztof Jasiewicz, używali biustonoszy jako nauszników. Sołdaci uważali zaś zrabowane budziki za specjalny rodzaj zegarków, gdyż nosili je… na paskach od spodni.

Najeźdźcy przez cały czas powtarzali propagandowe tezy o bogactwie w Rosji.

Wszelakie dobra miały tam być dostępne, w dużo większej ilości i tańsze niż w Polsce. „A Kopehanga jest?” – pytali lwowiacy? Zapewniali, że jest, i to milionami. „A pomarańcze są?”. „Jeszcze i ile! Zawsze było dużo, ale teraz, gdyśmy zbudowali tyle nowych fabryk, to jest jeszcze więcej!”.

Pierwszy kontakt z orkiem Karolina Lanckorońska przeżyła we własnym mieszkaniu. Trafił do niej na kwaterę

eprasa.pl f4e3c581c3

kpt. Pawłyszeńko, który pierwszej nocy zabarykadował się w pokoju: „Widocznie zaniepokoił go los kilku lokatorów sowieckich, których we lwowskich mieszkaniach robotniczych przeprowadzono nocą na tamten świat". Rano zażądał od właścicielki złotych mebli, gdyż wiedział dobrze z propagandy, że taka „pomieszczyca" – czyli dziedziczka – przed wojną na pewno miała meble szczerozłote.

Oficer miał kłopot ze zrozumieniem obsługi urządzeń sanitarnych. Mył głowę w ubikacji, a kiedy okazało się, że woda nie chce lecieć bez przerwy po pociągnięciu spłuczki, ganiał z rewolwerem za służącą, twierdząc, że to jej wina i spisek.

Autorka sama miała sporo kłopotów, gdyż była hrabianką, córką Karola Lanckorońskiego, podróżnika i właściciela licznych dóbr. Po pozbyciu się kłopotliwego lokatora nachodzili ją komisarze NKWD, pytając, co robiła przed wojną, i twierdząc: „A że wy grafini". Kiedy oświadczała, że konstytucja nie uznawała jej tytułów, i pokazywała dokument tożsamości, Sowieci baranieli. „A wasz batko kto był?" – pytali. Na odpowiedź: „Mój ojciec był mecenasem sztuki" nie znajdywali żadnych argumentów. W zamian próbowali skonfiskować węgiel z kamienicy, gdyż ZSRS przodujący we wszystkich dziedzinach, podobnie jak dzisiejsza Rosja, nie był w stanie sprowadzić własnego do ogrzewania urzędów.

Na uwagę zasługuje fakt, że niektórzy bolszewicy potajemnie przychodzili do spowiedzi. Pewnego razu jeden z lwowskich księży, który rozdawał Komunię, przystanął i zawahał się, widząc klęczącego przed sobą sowieckiego żołnierza. Ten podniósł głowę i powiedział półgłosem: „Dawajtie mi Boha".

Czy było jednak coś, co Armia Czerwona przyniosła mieszkańcom wschodnich ziem Rzeczypospolitej? Owszem, pomniki Lenina, Stalina i innych wodzów dzikiej rewolucji; ich portrety wieszane bałwochwalczo we wszystkich instytucjach, eksponowane na licznych pochodach i uroczystościach. Do Zabłudowa przywieźli posąg w kawałkach. Jak wspominają mieszkańcy: „W kilku olbrzymich skrzyniach, jeszcze przed zmontowaniem, leżały części wodza rewolucji. Nie było wtedy żadnego WC, każdy wychodził na ulicę i skrzynie z wodzem służyły do wiadomych celów". Podczas umieszczania figury na postumencie przyjechał przedstawiciel Rejkomu – niejaki Margolin – dopilnować, aby wodza nie podnosili, założywszy mu pętlę na szyję.

Rabunki z lat 1939–1941 były jedynie wstępem do terroru, jaki zapanował po zajęciu centralnych i zachodnich ziem Polski w latach 1944–1945. Jak pisze Dariusz Kaliński w książce „Czerwona Zaraza", po wejściu Sowietów stosunki z nimi bywały zrazu serdeczne. Szybko jednak najeźdźcy przechodzili przemianę. W Grudziądzu – jak wspomina Kazimierz Mróz – mieszkańcy najpierw częstowali wyzwolicieli herbatą. „Jednak po chwili przyszedł radziecki starszyzna, który nienaganną polszczyzną zaczął ostrzegać przed żołnierzami radzieckimi. Prosił mieszkańców o ukrycie kosztowności i zegarków, ponieważ za chwilę zacznie się rabunek. Po kilku godzinach wtargnęli rozwydrzeni Azjaci w radzieckich mundurach i rozpoczęli gwałty oraz grabieże".

DAWAJ „CZASY"!

Legendarnym przedmiotem pożądania hordy są po dziś dzień zegarki. Po 1945 r. popularne było pytanie o godzinę. Kiedy Polak zegarek wyjmował, ork spokojnie zabierał go i chował do własnej kieszeni. Zegarki przypinał wszędzie, ich liczba świadczyła bowiem o statusie. Umieszczano je na obu rękach, a jeśli nie było miejsca – na nogach. Tadeusz Graś, który został wywieziony na roboty i po „wyzwoleniu" napadnięty przez Sowietów, nie chciał oddać swojego. Jednak: „Ojciec odpiął zegarek, oddał Rosjaninowi, który na rękach miał już kolekcję około 15 sztuk, więc nową zdobycz musiał zapiąć na nodze".

Gdy horda doszła w 1945 r. do Berlina, stała się bardziej wybredna – trofiejne czasy dzielone były na lepsze i gorsze. Za najcenniejsze uważano takie ze stoperem, z obrotowym cyferblatem i w metalowej kopercie, za szczególnie cenne – te ozdobione obrazkami. Światowcy z Armii Czerwonej nastawiali sobie na jednym z zegarków czas berliński, a na drugim – moskiewski, aby zawsze i wszędzie być należycie poinformowanym, która godzina. „Dlaczego nosicie po kilka zegarków naraz?". Odpowiadali: „Bo niemieckie zawsze się spóźniają". Łukasz Kamiński w artykule „Obdarci, głodni, źli. Sowieci w oczach Polaków" cytuje doskonały dowcip z tamtych czasów. Otóż gdy w kinach pokazywano kronikę filmową, w której Stalin wyciąga rękę do Roosevelta, publiczność wznosiła znany okrzyk sowieciarzy: „Dawaj czasy!".

Kolejnym dobrem potwierdzającym wysoki status właściciela był rower. W przedwojennej Polsce kosztował tyle, co miesięczna pensja robotnika. W „wielikoj i swobodnoj stranie" był dorobkiem życia, prawie nieosiągalnym dla przeciętnego mieszkańca. Sowieci rabowali je masowo, ale rzadko kiedy potrafili na nich jeździć. Na Kujawach opowiadano sobie, jak pewien Moskal, który ciągle się przewracał,

eprasa.pl f4e3c581c3

zobaczył Polaka jadącego na rowerze. Wyciągnął zatem pepeszę i zatrzymał go: „Dawaj pomieniajem!" – wykrzyknął. „Mój popsuty!". Anonyma, czyli Marta Hillers, autorka wstrząsającego pamiętnika „Kobieta w Berlinie", opisywała podobne wyczyny bojców: „Na jezdni Rosjanie jeżdżą na świeżo skradzionych rowerach. Pokazują sobie nawzajem, jak się jeździ, siedzą sztywno na siodełku jak szympansica Susi w zoo, wpadają na drzewa i wrzeszczą rozbawieni".

Największy szok cywilizacyjny przeżyła horda po wkroczeniu na ziemie należące do III Rzeszy i jej sojuszników. Widok porządnych domów, nieznanych wcześniej towarów i bogactw sprawiał, że u wielu zachwiała się wiara w jedyny słuszny ustrój. „Skoro komunizm był taki dobry – pytali – to dlaczego tym chłopom żyje się dużo lepiej?". Poziom cywilizacji w Prusach i na Śląsku doprowadzał do wściekłości. W Królewcu, chociaż zniszczonym, rzucono się na sklepy, bo znajdowały się w nich luksusy. „Mają tu masło, miód, dżem, wino i kilka rodzajów koniaku" – wspominał Wasilij Jermolenko. „Nikt nie potrafił pojąć, dlaczego bogaci Niemcy zapragnęli zaatakować swych wschodnich sąsiadów. Dlaczego ktoś, kto miał wszystko, mógł pragnąć jeszcze więcej?" – pisała Catherine Merridale w „Wojnie Iwana". Politrucy objaśniali tę sytuację prosto. „Fryce splądrowali cały świat – dlatego tyle mają" – mówił niejaki Lew Kopielow. „Spalili wszystko w naszym kraju, teraz my robimy to samo u nich". Kto nie wierzył w te słowa, tym zajmowało się NKWD.

Wszędzie, gdzie się pojawiali, orkowie masowo rabowali wszystkie dostępne rodzaje alkoholu, począwszy od podłego bimbru, drogich koniaków i win, a kończywszy na spirytusie drzewnym, odmrażaczach i benzynie lakowej. Gabriel Tomkin, który zdobywał Węgry, wspominał, jak horda znalazła skład tokaju. „Kiedy wszedłem do wielkiej piwnicy na wina, z szeregami wysokich, poczerniałych beczek, ujrzałem niewiarygodną scenę – podłoga była po kolana zalana winem i unosiło się w nim trzech utopionych żołnierzy. Użyli pistoletów maszynowych, żeby zrobić dziury w beczkach, co miało ułatwić im napełnianie manierek, a potem, posmakowawszy, najwyraźniej nie przestali pić, aż upojeni, utopili się w winie".

Po podboju połowy Niemiec i reszty Europy Wschodniej rozpoczął się zorganizowany rabunek wszelakich dóbr uznawanych za luksusowe. Jak podaje Bogdan Musiał w „Wojnie Stalina", każdy żołnierz mógł raz w miesiącu wysłać do domu paczkę ważącą do pięciu kilogramów, oficerowie do dziesięciu, a generałowie do szesnastu. Rabunki Sowietów okazywały się komiczne; do domów wysyłano nie tylko patefony, zegarki i rowery, ale… kawę, cukier, buty. Rarytasem stawały się: boczek, wędzona kiełbasa, mydło, perfumy, obrusy, instrumenty, serwisy do kawy, a nawet… szczoteczki do zębów, grzebienie i chustki do nosa. Sowieci mieli problem z niektórymi przedmiotami – np. radia potrzebowały prądu, który nie wszędzie był, dlatego Kola Taraniczew wysłał do domu buty dla dzieci, skórę i materiały dla żony. Z kolei stacjonujący w Polsce Kirił Kiryłowicz z Turkiestanu pozyskał koce, maszynę do pisania i wózek dla córki – które wymusił jako haracz od miejscowych Polaków. Inni bojcy wysłali z Berlina szyby, worki pełne gwoździ, piły zwinięte w rulon, podobnie jak dzisiaj z Ukrainy rabują tokarki i szlifierki. A jednocześnie, jak pisze Anonyma, nie potrafili skorzystać z toalet, używając zamiast nich zlewów lub załatwiając się na dywany. A jeśli nawet chodzili do łazienki i WC, to nie bardzo wiedzieli, do czego służy ubikacja, więc załatwiali się na podłogę.

W futra obrośli wyżsi dowódcy wojskowi – generałowie i marszałkowie. W 1948 r., kiedy Stalin szukał haków na Żukowa, NKWD znalazło w jego willi skrzynie pełne srebra, porcelany i kryształów, cztery tysiące metrów bieżących materiałów, setki futer, 44 dywany, 55 obrazów, 20 drogich strzelb myśliwskich. Jak pisał Wiktor Abakumow, siepacz NKWD i Smierszu: „Dacza Żukowa przypomina sklep z antykami lub muzeum. Zdobią ją cenne obrazy, tak liczne, że część z nich wisi nawet w kuchni. Meble, dywany, zastawy, ozdoby ścienne, słowem cały sprzęt domowy, pochodzi z zagranicy, głównie z Niemiec". Inny generał, Konstanty Tielegin, zgromadził 16 kg kosztowności ze srebra, porcelanę, futra, gobeliny, antyki – skazano go za ich posiadanie na 25 lat gułagu.

Jest niemal pewne, że w czasie szturmu na Berlin dochodziło do walk pomiędzy nacierającymi oddziałami Armii Czerwonej Koniewa i Żukowa. Marszałkowie rywalizowali o to, kto pierwszy zdobędzie stolicę, a ich bojcy – kto szybciej dobierze się do łupów i kobiet. „Teraz nie powinniśmy bać się przeciwnika, ale naszych sąsiadów. Nakazałem wykorzystanie zniszczonych w walce czołgów, aby zablokować drogę sąsiadom do Reichstagu. Trudno o coś bardziej przygnębiającego niż wiadomość, że to sąsiad, nie ja, odniósł sukces" – mówił jeden z dowódców do korespondenta wojennego Wasilija Grossmana.

DZIKI WSCHÓD W POLSCE

Dariusz Kaliński w „Czerwonej zarazie" zwraca uwagę na mało zbadany aspekt sowieckiej okupacji, jakimi stały się po 1945 r. napady na pociągi. O rabunkach na polskich pasażerach można by napisać książkę, np. 30 października 1945 r. w Czechowicach-Dziedzicach orkowie napadli na Amerykanów – gdyż usiłowali obrabować wagon ze środkami przyznanymi Polsce przez UNRRA. Około 100 bojców wywołało bitwę na stacji, żołnierze strzegący wagonu zostali zaatakowani, a dowodzący nimi sierżant

eprasa.pl f4e3c581c3

rozbrojony i pobity. Inne rabunki bywały wręcz żenujące. W Szywałdzie, obecnie części Gliwic, Rosjanie napadli na wracające ze szkoły dzieci, które obrabowano z ubrań, bardzo cenionych w ZSRS.

Do dziś mało opisane są napaści i rabunki, których ofiarami stawali się byli więźniowie obozów i ocaleni z Holokaustu Żydzi, którzy wycieńczeni byli łatwym łupem hordy. W Poznaniu Sowieci obrabowali do naga grupę ukraińskich dziewcząt; wracającemu z obozu w okolicach Drezna Romanowi Halterowi, Żydowi, który cudem uniknął śmierci, sowiecki oficer zniszczył zapasy żywności. Potem kazał zdjąć spodnie, sprawdzając, czy nie ma gdzieś ukrytych zegarków, a na koniec przyłożył pistolet do głowy i niczym niemiecki oprawca pociągnął za spust – na szczęście broń nie była załadowana.

KOBIETA JAK ROWER – PRZEDMIOT POŻĄDANIA

Wejściu Armii Czerwonej do Europy Wschodniej, podobnie jak na Ukrainę w 2022 r., towarzyszyła fala bestialskich gwałtów. Szacuje się, że w samym Berlinie ofiarą przemocy seksualnej padło ponad 100 tys. kobiet, a w Niemczech nawet 2 mln. Dla Polski nie mamy takich danych – nawet szacunkowych. Masowa przemoc seksualna nie może być tłumaczona tylko warunkami stresu bojowego orków, lecz także niskim poziomem kultury seksualnej w ZSRS. Sfera intymna, jak twierdzi Dariusz Kaliński, praktycznie tam nie istniała. Robotnik pracujący dzień i noc dla dobra kraju nie miał czasu na amory. „Zdarzały się przypadki czerwonoarmistów, którzy w wieku 40 lat nigdy nie kochali się z kobietą! Jedynym doświadczeniem seksualnym jednego z nich, kirgiskiego pasterza, było spółkowanie z oślicą podczas wypasu owiec. Po raz pierwszy posiadł kobietę w poniemieckim burdelu w podbitej Rzeszy" – pisze autor. „Jak niemal wszystkie przyjemności w kraju braterstwa seks zszedł do podziemia. Publiczny popyt na surową moralność i ciężką pracę zepchnął go w mrok, w szare opary potu, tytoniu i taniej wódki" – wspomina o tym Cartherine Merridale w „Wojnie Iwana".

Orkowie, którzy wreszcie dorwali się do patefonów i rowerów, zdobywali także nigdy przez nich niewidziane kobiety. Polki, podobnie jak Niemki, oszpecały się, aby nie zwracać uwagi zdobywców. Sowieci jednak byli agresywni nawet wobec więźniarek i chorych. Na Węgrzech zajęli szpital dla psychicznie chorych w Nagykallo, gdzie zgwałcili i zabili wszystkie pacjentki w wieku od 16 do 60 lat. Janina Bąk, więziona w obozach Ravensbruck i Neubrandenburg, wspomina, że teren okupowanych Niemiec był tak niebezpieczny dla kobiet, że angielscy oficerowie zorganizowali więźniarkom transport w konwoju ciężarówek, osłanianych przez żołnierzy na motocyklach.

Czego nie zrabowali, Sowieci splugawili albo zniszczyli. Po 1945 r. powszechne było demolowanie kwater i urządzeń, z których wycofywały się sowieckie dowództwa i urzędy. W Bydgoszczy, w willi zajmowanej przez sowiecki sztab, wannę wyrzucili przez okno, piec centralnego ogrzewania wywieźli, glazurę potłukli, wodociąg zatkali, drzwi i futryny okienne spalili. W ścianie domu wycięto dziurę, wykarczowano piękny ogród. W Szczytnie, w gmachu, w których stacjonował sztab, powybijano szyby w oknach, połamano poręcze, zniszczono urządzenia centralnego ogrzewania i rurociągi.

MANUSKRYPTY NA ŚMIETNIKU

Pod koniec wojny powołano brygady ds. sztuki zdobycznej, rabujące poniemieckie muzea, galerie sztuki i prywatne zbiory. Pierwsze zaczęły działać, jak pisze Bogdan Musiał w „Wojnie Stalina", na Śląsku pod koniec lutego 1945 r. Jednak członkowie tych komand często nie potrafili ocenić wartości zdobyczy. W Świerklańcu na Śląsku zrabowano meble i zabytki, ale zniszczono bezcenny zbiór starogreckich waz z Krety, gdyż orkowie nie wiedzieli, ile są warte. W innych miejscach zagrabiono rękopisy i zbiory biblioteczne, które potem zostały zaprzepaszczone na skutek niedbałości zwycięzców. Dość wspomnieć losy niektórych zbiorów niemieckiego Archiwum Muzycznego Biblioteki Królewskiej, Narodowego Instytutu Badań Muzycznych w Berlinie, Hamburskiej Opery Narodowej. Były tam rękopisy Beethovena, Mozarta, Schuberta, Webera, Rossiniego. Sowieci zupełnie nie przywiązywali do nich wagi. Autografy Bethoveena i Mozarta umieszczone w Moskiewskim Muzeum Kultury Muzycznej zostały ukradzione i sprzedane na czarnym rynku. Wiele książek i dokumentów przekazanych do Biblioteki publicznej im. Sałtykowa-Szczedrina w Leningradzie spłonęło w piwnicy jednej z cerkwi. Książki, rękopisy, zapisy nutowe składowano gdzie popadnie, jedne na drugich, bez żadnego zabezpieczenia, w piwnicach, drewnianych szopach, na korytarzach i w innych podobnych miejscach. Wiele rozkradziono, inne zjadły myszy i szczury.

Chociaż od drugiej wojny minęło ponad 70 lat, rosyjskie wojska nie zmieniły się ani trochę. Sankcje, które nie są w stanie rzucić Moskwy na kolana, zwiększą tylko cywilizacyjne zapóźnienie pomiędzy nią a Europą. Dlatego jeśli orkowie zaatakują kiedyś Polskę, to starcie będzie zapewne jeszcze większą grabieżą i gwałtem niż podczas drugiej wojny.

Wszystkie zamieszczone w tekście ilustracje to plakaty ostrzegające w 1920 r. przed Armią Czerwoną. Jakże aktualne i dziś

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4e3c581c3

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Rzeź w Samborze

Był 27 czerwca 1941 r. Od pięciu dni trwała operacja „Barbarossa". Niemieckie zagony pancerne wdzierały się coraz głębiej w teren Związku Sowieckiego, bolszewicy cofali się na całej linii. Czerwony kolos chwiał się w posadach.

Dziesiątki tysięcy czerwonoarmistów przechodziły na stronę Wehrmachtu, drogi usiane były popsutymi czołgami i porzuconym sprzętem. Ludność entuzjastycznie witała wkraczających Niemców jako wyzwolicieli spod sowieckiego jarzma.

Kazimierz Wesołowski był młodym Polakiem, przetrzymywanym w więzieniu NKWD w Samborze. Tego dnia w swojej celi słyszał dochodzący z Zachodu pomruk artylerii – front się zbliżał. Nagle strażnicy więzienni otworzyli drzwi i kazali wychodzić.

Na dziedzińcu Sowieci zebrali kilkudziesięciu więźniów. A potem… zaczęła się masakra. Oprawcy otworzyli ogień. Wesołowski przewrócił się i został przywalony ciałami innych nieszczęśników. To go ocaliło. Leżąc pod zwałem trupów, słyszał serie z broni maszynowej, eksplozje granatów i krzyki zabijanych.

Inną grupę więźniów Sowieci zgładzili w piwnicy. Inny świadek – Marcin Honcz – zeznał po latach, że bolszewicy wypełniali usta ofiar tłuczonym szkłem, trocinami i piachem. Następnie kat dusił ich kneblem. Węzeł wkładał pod język i skręcał końce knebla z tyłu głowy.

Wstrząsający artykuł Beaty Śmiechowskiej o masakrze w Samborze znalazł się w tomie IPN „Nazwać zbrodnię po imieniu". Autorka opisała podobne masakry w Drohobyczu, Dobromilu i Żółkwi. A to przecież tylko wycinek! Sowieci mordowali więźniów wzdłuż całej linii frontu. Zamordowali wówczas dziesiątki tysięcy ludzi, w tym wielu Polaków.

Sowieckie władze bezpieczeństwa uznały, że więźniowie polityczni nie mogą zostać wyzwoleni przez Niemców. Już nazajutrz po rozpoczęciu wojny – 23 czerwca – Mierkułow wydał ściśle tajną dyrektywę 2445/m, która nakazywała organom NKWD likwidację więźniów.

Zbrodnie te miały kolosalne konsekwencje. Niemieckie wojska w kolejnych zdobywanych miastach znajdowały bowiem więzienia wypełnione zmasakrowanymi trupami. Wywołało to żądzę odwetu i – jak pisał swego czasu Bogdan Musiał – brutalizację wojny niemiecko-sowieckiej. ©℗

★★★★★★

(PRACA ZBIOROWA) „NAZWAĆ ZBRODNIĘ PO IMIENIU" IPN

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Powrót Cata-Mackiewicza

Trudno wyobrazić sobie przedwojenne Wilno bez jego postaci. Publicysta, zwolennik monarchii i wielbiciel Polski jagiellońskiej, a także: żarłok, miłośnik pięknych kobiet i szlachecki rębajło, który urodził się o 200 lat za późno. I z tego powodu wyżywał się w pojedynkach. Przez całe życie pozostawał sobą, także na emigracji w Wielkiej Brytanii. Gdy miał pieniądze, to oddawał się ulubionemu obżarstwu, miał też wiele romansów. Najważniejszym z nich był związek z hrabianką Renatą Ostrowską, a gdy porzuciła go, wyjeżdżając do Argentyny, jedną ze swoich książek zatytułował „Zielone oczy". Ukochana miała właśnie ten kolor oczu, a Mackiewicz zupełnie nie przejmował się faktem, że była to książka typowo polityczna i tytuł do niej nie pasował.

Na emigracji uznano go za zdrajcę, zerwał z nim kontakty rodzony brat

W listopadzie 2006 r. zaprezentowano w Gdańsku wystawę fotografii z archiwum Cata (nie rozstawał się z aparatem), a wśród zdjęć szczególną uwagę zwracały portrety kobiet. Modelki bez wątpienia pozostawały z Mackiewiczem w bliskich relacjach i na większości zdjęć raczej nie miały zbyt wiele odzieży na sobie. Było ich kilkanaście, Cat prowadził bogate życie erotyczne, a czasami korzystał też z płatnej miłości.

W 1955 r. został mianowany premierem rządu emigracyjnego, był to czas kłótni i rozłamów wśród polskiego wychodźstwa. Być może dlatego zdecydował się na powrót do kraju, miał dosyć awantur i ubóstwa. Pierwsze rozmowy na ten temat prowadził już kilka lat wcześniej z ówczesnym ambasadorem PRL w Paryżu. Był nim jego dawny podopieczny z wileńskiego czasopisma „Żagary", Jerzy Putrament.

Ostatecznie powrócił 18 czerwca 1956 r., zrezygnowawszy wcześniej z urzędu premiera. Na emigracji uznano go za zdrajcę, zerwał z nim kontakty rodzony brat, a Marian Hemar porównał go do Judasza. Cata to bardzo dotknęło, wyzwał go nawet na pojedynek i żądał od władz PRL, by wystawiły poecie „list żelazny". Chciał, by Hemar przyjechał do Polski, ale decydenci partyjni odmówili, sam Hemar zresztą nie wybierał się nad Wisłę.

Inna sprawa, że choć władze uznały powrót Mackiewicza za wielki sukces, Cat musiał spłacić dług wobec nich. W kolejnych książkach opluwał emigrację i rząd brytyjski. Z czasem jednak zaczął stwarzać problemy. Pisywał pod pseudonimem do paryskiej „Kultury", został też jednym z sygnatariuszy „Listu 34". Gdy odmówił wycofania podpisu, zarzucono mu działalność na szkodę socjalistycznego państwa i rozpoczęto przygotowywania do procesu. Cat go nie doczekał, zmarł w lutym 1966 r. w Warszawie. ©℗

eprasa.pl f4e3c581c3

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Wywiad z lotnikiem, który zbombardował Hiroszimę!

Jacek Bartosiak – **Atomowe groźby Putina**
David Holloway – **Wielka bomba Stalina**
Grzegorz Janiszewski – **Świat na krawędzi apokalipsy**
Wiktor Suworow – **Zabójczy urok „Tatiany"**
Tymoteusz Pawłowski – **Jak działa bomba atomowa**
Mikołaj Iwanow – **Wielka czystka w Mińsku**
Tomasz Stańczyk – **Nadbałtyckie Zakopane**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Polemika z Mearsheimerem**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl f4e3c581c3

Kremlowski jastrząb

Maciej Pieczyński

Architekt pełnowymiarowej agresji na Ukrainę. Zwolennik twardego kursu wobec Zachodu. Wierny współpracownik, a być może i następca Putina. Kim jest Nikołaj Patruszew?

Trzy dni przed inwazją na Ukrainę, 21 lutego, odbyło się słynne już posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej. Putin zapoznawał się z opiniami swoich najbliższych współpracowników na temat sytuacji w Donbasie. Tematem posiedzenia była kwestia uznania niepodległości tzw. republik ludowych Donieckiej i Ługańskiej. Wtedy jeszcze wydawało się, że Putin może się zadowolić legalizacją okupacji już zajętych terenów. Jednak przedstawiciele Rady Bezpieczeństwa, oficjalnie komentując przed kamerami sprawy Donbasu, najpewniej już wtedy wiedzieli, że czeka ich pełnowymiarowy konflikt, a nie kontynuacja hybrydowych przepychanek. Stąd też ogromna nerwowość. Świat zapamiętał przede wszystkim roztrzęsionego i gubiącego się w zeznaniach Siergieja Naryszkina, który pod wpływem stresu zaczął mówić o włączeniu ludowych republik w skład Rosji, o czym oficjalnie w ogóle nie było mowy. Putin zbeształ i wyśmiał szefa Służby Wywiadu Zagranicznego.

Zestresowani byli wszyscy – poza Nikołajem Patruszewem. Sekretarz Rady Bezpieczeństwa siedział wygodnie, rozluźniony, a gdy przyszło mu przemawiać, pewnie i mocno wyraził swój pogląd. Stwierdził mianowicie, że dla Rosji partnerem do negocjacji nie jest ani NATO, ani Unia Europejska, ani OBWE, tylko Stany Zjednoczone, bo „wszyscy inni [na Zachodzie] będą robić to, co im każą Amerykanie". Jednocześnie, odnosząc się do wysuniętej przez Waszyngton propozycji spotkania Bidena z Putinem, zaznaczył: „Nam rozmowy dla samych rozmów nie są potrzebne. My potrzebujemy osiągnąć konkretne cele". Takim celem nazwał „obronę integralności terytorialnej i suwerenności" Rosji. Z kolei Stany Zjednoczone, według Patruszewa, ukrywają swój prawdziwy cel, którym jest „zniszczenie Federacji Rosyjskiej".

To właśnie sekretarz Rady Bezpieczeństwa FR uważany jest za prawą rękę Putina – najbardziej wpływowego spo-

eprasa.pl f4e3c581c3

Nikołaj Patruszew jest nie tylko najbardziej zaufanym człowiekiem Putina, lecz także, według ukraińskich mediów, ma go nawet zastępować w czasie, gdy ten będzie się zajmował swoim podupadającym zdrowiem FOT. MAXIM SHEMETOV/REUTERS/FORUM

śród moskiewskich jastrzębi. To właśnie Patruszew miał być architektem inwazji oraz tym, który najgłośniej doradzał władcy Kremla kurs na zderzenie z Ukrainą i Zachodem.

CZŁOWIEK KGB

Rocznik 1951; urodził się i wychował w Leningradzie, podobnie jak Putin. Jego matka, chemik z wykształcenia, podczas wojny zimowej z Finlandią oraz w czasie blokady Leningradu przez Niemców służyła jako sanitariuszka. Ojciec walczył w czasie wojny w szeregach marynarki wojennej. Nikołaj Płatonowicz tylko częściowo poszedł w jego ślady – studiował budowę okrętów. Wcześniej, w liceum, chodził do jednej klasy z przyszłym wpływowym politykiem putinowskiej Jednej Rosji – Borysem Gryzłowem. W 1974 r. odbył roczny kurs dla pracowników KGB w Mińsku. Tak się zaczęła jego wieloletnia kariera w służbach specjalnych. Po roku wrócił do rodzinnego miasta. Pracował w pionie kontrwywiadowczym leningradzkiego KGB; później zajmował się również sprawami przemytu i korupcji. Po upadku ZSRS został ministrem bezpieczeństwa we władzach autonomicznej republiki Karelii. Do jego zadań należała walka z tendencjami separatystycznymi na tym terenie.

W 1994 r. trafił do Moskwy. Pracował w Federalnej Służbie Kontrwywiadu, a następnie w powstałej na jej miejsce Federalnej Służbie Bezpieczeństwa. Przez cztery lata stał na czele Zarządu Bezpieczeństwa Wewnętrznego FSB. Był więc szefem bezpieki kontrolującej bezpiekę. Był też zastępcą kierownika departamentu organizacyjno-kadrowego. Pełniąc tak newralgiczne stanowiska, miał niewątpliwie duży wpływ na indywidualne kariery funkcjonariuszy najważniejszej służby specjalnej w Rosji. Jego wpływy w FSB były ogromne.

Pod koniec lat 90. na szczytach władzy krzyżują się drogi Patruszewa i Putina. Przyszły szef Rady Bezpieczeństwa obejmuje kolejno stanowiska wcześniej zajmowane przez przyszłego prezydenta. W 1998 r. Patruszew zostaje szefem Głównego Zarządu Kontroli w administracji prezydenta Borysa Jelcyna, zastępując Putina, który awansował na pierwszego zastępcę szefa administracji. Kariera obu byłych oficerów KGB z Leningradu rozwija się w zawrotnym tempie. Trzy miesiące później wiceszefem administracji Jelcyna jest już Patruszew, a Putin przenosi się na Łubiankę, zostając dyrektorem FSB. Niedługo potem ściąga tam też swojego krajana.

Tym razem Patruszew zostaje już nie następcą, ale zastępcą Putina – i jednocześnie szefem Departamentu Bezpieczeństwa Ekonomicznego FSB. W sierpniu 1999 r. Patruszew awansuje na dyrektora FSB, a Putin obejmuje fotel premiera. Do zabawnej sytuacji doszło podczas oficjalnego ogłoszenia nominacji. Putin zażartował: „Pułkownik Putin opuszcza stanowisko". Jego następca odpowiedział: „Generał pułkownik Patruszew obejmuje stanowisko". Już ta wymiana zdań pokazuje charakter relacji pomiędzy dwoma czekistami. Patruszew, rok starszy wiekiem i starszy stopniem od Putina, nie był – i do tej pory nie jest – jedynie biernym, pozbawionym własnego zdania wykonawcą jego poleceń.

JAK CZEKISTA Z CZEKISTĄ

Współpraca obu czekistów od początku układała się bardzo sprawnie. Bardzo możliwe, że Putin objęcie władzy zawdzięcza właśnie Patruszewowi. Swoje pierwsze wybory prezydenckie wygrał jako zwycięzca wojny czeczeńskiej. Pretekstem do jej rozpętania były zamachy bombowe, do których doszło w kilku miastach Rosji – według oficjalnej wersji zorganizowane przez „czeczeńskich terrorystów", których Putin obiecał „topić w kiblu". Jeden z zamachów udaremniono. Na gorącym uczynku zostali złapani funkcjonariusze FSB, którzy podkładali ładunki. Ich przełożeni tłumaczyli, że to były tylko ćwiczenia, po czym sprawę zamieciono pod dywan. Wszystko jednak wskazuje na to, że „zamachy" były prowokacją Patruszewa, dzięki której Putin mógł zdobyć serca i głosy Rosjan, stęsknionych po latach obserwowania słabego Jelcyna za rządami silnej ręki. Na tej krwi ufundowana została nowa epoka w dziejach postsowieckiej, z biegiem czasu coraz bardziej autorytarnej, Rosji.

Patruszew nie był – i do tej pory nie jest – jedynie biernym, pozbawionym własnego zdania wykonawcą poleceń Putina

Co najmniej dwa razy za rządów Patruszewa FSB zaliczyła tragiczne w skutkach wpadki, które świadczą albo o niekompetencji, albo o nieliczeniu się z życiem ludzkim, albo o jednym i drugim. Szturmując teatr na Dubrowce oraz szkołę w Biesłanie, funkcjonariusze doprowadzili do śmierci nie tylko terrorystów, lecz także przetrzymywanych przez nich zakładników. Patruszew żadnych konsekwencji nie poniósł. FSB pod jego kierownictwem wyrosła na najważniejszą i najbardziej wpływową służbę specjalną w Rosji. Patruszew to dumny czekista. W 2000 r., opisując na łamach „Komsomolskiej Prawdy" oficerów FSB, nazwał ich „nową szlachtą".

eprasa.pl f4e3c581c3

Jak przystało na „szlachcica", Patruszew zadbał o przyszłość swojego „rodu". Obaj synowie ukończyli Akademię FSB. Starszy, Dmitrij, był prezesem banku, ministrem rolnictwa, a jednocześnie zasiadał w radzie nadzorczej Gazpromu. Młodszy, Andriej, był doradcą szefa Rosnieftu, by po pewnym czasie zająć się poszukiwaniem i eksploatacją węglowodorów w Arktyce.

NIENAWIŚĆ DO ZACHODU

W 2008 r. Patruszew objął stanowisko sekretarza Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej – czyli organu formalnie wchodzącego w skład administracji prezydenta, pełniącego przy głowie państwa bardzo istotną funkcję doradczą. Patruszew stał się szarą eminencją Kremla. Jeszcze kilka lat temu ideologiem Kremla był Władysław Surkow. Wysublimowany intelektualista, który potrafił moskiewski autorytaryzm i imperializm sprzedawać światu w atrakcyjnej formie, nęcąc eufemizmami w rodzaju „suwerennej demokracji". Patruszew jest o wiele bardziej prostolinijny. W mniej oficjalnych relacjach wulgarny, lubi zaglądać do kieliszka. W oficjalnym przekazie – bijący propagandowym cepem antyzachodni krzykacz. Zdaniem wielu komentatorów i ekspertów to właśnie Patruszew wywarł radykalizujący wpływ na Putina. To właśnie m.in. jego podszepty sprawiły, że władca Kremla postanowił odrzucić hybrydowy fałsz na rzecz otwartej konfrontacji nie tyle nawet z Ukrainą, co z całym Zachodem. Patruszew na przestrzeni wielu lat swojej działalności publicznej w swoich wywiadach właściwie nigdy nie krył nienawiści do Stanów Zjednoczonych, NATO czy Unii Europejskiej.

„Zachód stworzył imperium kłamstwa, którego celem jest zniszczenie Rosji" – oznajmił w wywiadzie udzielonym pod koniec kwietnia „Rossijskiej Gaziecie". Rozmowa zawiera właściwie wszystkie najbardziej radykalne tezy propagandy rosyjskiej wygłaszane po 24 lutego. Według Patruszewa Rosjanie i Ukraińcy to tak naprawdę jeden naród, który został cynicznie podzielony przez Amerykanów. Postanowili oni stworzyć z Ukrainy „antypodę" Rosji (to samo stwierdził Putin, nazywając Ukrainę „anty-Rosją"). „Nie znajdując żadnej pozytywnej podstawy do tego, by przeciągnąć Ukraińców na swoją stronę, Waszyngton już na długo przed zamachem stanu w 2014 r. [chodzi oczywiście o rewolucję godności – przyp. M.P.] wmawiał Ukraińcom rzekomą wyjątkowość ich nacji i nienawiść do wszystkiego, co rosyjskie" – stwierdził Patruszew. Jego zdaniem jedyne, co jednoczy dziś mieszkańców Ukrainy, to strach przed… bestialstwem ze strony nacjonalistycznych batalionów. Nie wiadomo, czy to opinia jedynie na użytek propagandy czy Patruszew sam w to wierzy. Możliwe, że częściowo również to drugie. Niedocenienie potencjału oporu ze strony przeciwnika niewątpliwie jest jedną z przyczyn porażek armii rosyjskiej. Odpowiadają za to służby specjalne. W FSB parę głów już za to poleciało. Główny doradca Putina ds. bezpieczeństwa, a tak należy rozumieć rolę Patruszewa, wciąż jest nietykalny.

Zdaniem wielu komentatorów i ekspertów to właśnie Patruszew wywarł radykalizujący wpływ na Putina

Sekretarz Rady Bezpieczeństwa znany jest też z szerzenia teorii spiskowych. Kilka miesięcy przed inwazją stwierdził, że Amerykanie prowadzą tajne badania biologiczne przeciwko obywatelom republik postsowieckich. Dawał też do zrozumienia, że jego zdaniem koronawirus został wyprodukowany w laboratoriach Pentagonu, we współpracy z ponadnarodowymi koncernami farmaceutycznymi. W cytowanym już wywiadzie dla „Rossijskiej Gaziety" stwierdził, że w Stanach Zjednoczonych na lekcjach matematyki trzeba śpiewać i tańczyć, bo rozwiązywanie zadań to dyskryminacja uczniów.

Patruszew ma też nawet jak na przedstawiciela rosyjskiej elity władzy radykalne przemyślenia na temat historii. Twierdzi mianowicie, że Zachód tak naprawdę zawsze był nazistowski – amerykański biznes wspierał Hitlera, a III Rzesza korzystała z „maszyny liczącej" firmy IBM do planowania eksterminacji. Dziś nazizm znów podnosi głowę i próbuje zniszczyć Rosjan przy użyciu Ukraińców. Czasem Patruszew w swoich historiozoficznych wynurzeniach sięga dalej wstecz. Wychwala Święte Przymierze, zawarte między Rosją, Prusami i Austrią po pokonaniu Napoleona, za to, że tłumiło „nacjonalizmy" (czytaj: walkę narodowowyzwoleńczą, m.in. Polaków). Wyraża dumę ze wspaniałomyślności Rosji, która zawsze w historii wyzwalała świat (czy to od Napoleona, czy to od Hitlera), użalając się jednocześnie na niewdzięczność tego świata. Utyskuje na Zachód, który chce „walczyć do ostatniego Ukraińca", podczas gdy przecież Moskwie zależy na takim zakończeniu konfliktu, w którym obie strony poniosą jak najmniejsze straty (sic!). Ponadto, oczywiście, po zakończeniu specoperacji to sami Ukraińcy zadecydują o swojej przyszłości, bo przecież Rosja nigdy żadnemu krajowi nic nie narzuca (sic!).

Niedawno Patruszew zasłynął też typową dla rosyjskiej propagandy absurdalną wypowiedzią na temat Polski. „Tak zwani zachodni partnerzy reżimu w Kijowie nie sprzeciwiają się wykorzystaniu obecnej sytuacji dla ich własnych, samolubnych interesów i mają specjalne plany wobec ziem Ukrainy. Najwyraźniej Polska już zamierza działać na rzecz zajęcia terytorium zachodniej Ukrainy" – stwierdził. Dlaczego z kolei Rosja tak opieszale działa na rzecz zajęcia terytorium całej Ukrainy, co jest niezbędne dla przeprowadzenia „denazyfikacji"? Taki sens miało pytanie, ostrożnie zadanie przez dziennikarza „Argumentów i Faktów", który powołał się na „czytelników wyrażających zaniepokojenie" z powodu przeciągających się terminów specoperacji. „My nie gonimy za terminami. Nazizm trzeba wykorzenić na 100 proc. W przeciwnym wypadku znowu podniesie głowę" – odpowiedział Patruszew.

Jest nie tylko najbardziej zaufanym człowiekiem Putina, lecz także, według ukraińskich mediów, ma go nawet zastępować w czasie, gdy ten będzie się zajmował swoim podupadającym zdrowiem. Czy to oznacza, że Patruszew szykowany jest na następcę obecnego prezydenta? Tego nie wiadomo. Patruszew jest od Putina starszy, ale też zdrowszy. Z drugiej strony, wiele będzie zależało od rozwoju sytuacji na froncie i w relacjach z Zachodem. Antyamerykański jastrząb na pewno nie byłby wygodną twarzą Kremla, gdyby Rosja zamierzała zawrzeć jakiś kompromis. Z trzeciej strony, kurs na konfrontację jest tak konsekwentny, że trudno sobie wyobrazić, aby rosyjskie elity potrzebowały w najbliższym czasie gołąbka pokoju na swoim czele…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4e3c581c3

FOT. SEAN GALLUP/GETTY IMAGES

NIEMCY NAJBARDZIEJ POMOCNI

Ci sami Niemcy, którzy tygodniami nie mogli przesłać Ukrainie starych hełmów wojskowych, dziś uważają, że to oni niosą największą pomoc napadniętym przez Rosję. Kanclerz Olaf Scholz podczas wizyty na Litwie stwierdził, że żaden inny kraj nie dostarcza Ukrainie broni na taką skalę jak jego. – Niemcy są jednym z krajów, które wykorzystują swoje możliwości na bardzo dużą skalę – stwierdził Scholz. „Kłamstwo" to jest nawet zbyt łagodne określenie słów kanclerza.

ZABIĆ W OBRONIE PRAWA DO ZABIJANIA

W USA policja przed domem sędziego Sądu Najwyższego Bretta Kavanaugha zatrzymała uzbrojonego napastnika. 26-latek miał przy sobie naładowany pistolet, dodatkową amunicję, gaz pieprzowy, opaski zaciskowe i młotek. Został oskarżony o próbę zabicia sędziego. Po aresztowaniu wyznał, że zdenerwowała go rola Sądu Najwyższego w debacie o aborcji – niewykluczone, że jej legalność w USA zostanie zakwestionowana. Jedno trzeba przyznać: zabijanie w obronie prawa do zabijania wskazywałoby w sumie na konsekwencję myślenia i działania.

FRITZL JUŻ WYDOBRZAŁ?

Josef Fritzl, Austriak, którzy przez 20 lat więził i gwałcił córkę w piwnicy własnego domu, odsiaduje wyrok w więzieniu dla chorych psychicznie. Miał tam spędzić resztę życia. Jednak sąd w Krems nad Dunajem uznał, że „nie stanowi już zagrożenia" i miałby szansę przedterminowo wyjść sobie na wolność w przyszłym roku. Zablokował to sąd w Wiedniu, który stwierdził, że 87-letni sadysta ma „nieuleczalną chorobę umysłową".

KAMYK Z WAKACJI

Na lotnisku w Sardynii zatrzymany został turysta z Norwegii. Bo wziął na pamiątkę z plaży kamień. O wadze 5 kg. W dodatku chciał zabrać pełną walizkę piasku. Próba wywozu piasku, muszelek czy kamieni z plaży jest uznawana na wyspie za kradzież, za którą grozi grzywna od 500 do 3 tys. euro.

POMYLIŁ ALIGATORA Z PSEM

Gość motelu Warm Mineral Springs w Nort Port na Florydzie miał mało udany spacer. Zauważył jakiś kształt w krzakach i pomyślał, że to pies na długiej smyczy. Tymczasem był to aligator, który ugryzł go w prawą nogę. Mężczyzna został przewieziony do szpitala, pod opieką medyczną musiał pozostać przez dwa dni. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Szansa na tańszą energię

Minister klimatu i środowiska Anna Moskwa ogłosiła w ubiegłym tygodniu, że rząd planuje rozszerzyć przepustowość terminalu FSRU w Zatoce Gdańskiej – planowaną pierwotnie na 6 mld m sześc. gazu rocznie – do co najmniej 12 mld m sześc. Dzięki temu w niedalekiej przyszłości za pośrednictwem Polski surowiec będzie mógł trafiać także do Czech, na Słowację, a także – być może – dalej, np. na Węgry. Niezwykle istotny interkonektor gazowy łączący Polskę i Słowację jest już w fazie testów i wkrótce ma zostać uruchomiony komercyjnie. Jesienią obecnego roku ruszyć ma również Baltic Pipe, strategiczny projekt infrastrukturalny mający na celu utworzenie nowego korytarza dostaw gazu ziemnego ze złóż norweskich. Czesi chcą zaś wrócić do budowy zarzuconego za rządów Babiša projektu gazociągu Stork II.

Prowadzone od lat inwestycje w dywersyfikację źródeł energii, jak choćby w działający gazoport w Świnoujściu, znacząco zwiększyły nasze bezpieczeństwo energetyczne w czasie wojny na Ukrainie. Polska już stała się europejskim liderem w dziedzinie dywersyfikacji źródeł energii i może pomóc w dywersyfikacji krajom Europy Środkowej. Nasz kraj ma też ogromny potencjał w energetyce wiatrowej (i to zarówno lądowej, jak i morskiej).

Przetrwanie okresu wysokich cen surowców energetycznych ułatwić może zaś import tańszej energii z Ukrainy. Jak podała KE, synchronizacja systemu elektroenergetycznego Ukrainy z unijnym może wejść w nowy etap. Handel energią, pochodzącą głównie z elektrowni jądrowych, może pomóc w obniżeniu rachunków za prąd w Polsce i innych krajach UE, a jednocześnie przynieść istotne przychody napadniętej przez Rosję Ukrainie. ©℗

eprasa.pl f4e3c581c3

Z prof. Markiem Janem Chodakiewiczem, amerykańskim historykiem polskiego pochodzenia
rozmawia Piotr Włoczyk

Działać głową, a nie sercem

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

PIOTR WŁOCZYK: Kto prowadzi bardziej roztropną politykę wobec wojny na Ukrainie? Warszawa czy Budapeszt?

PROF. MAREK JAN CHODAKIEWICZ: Budapeszt. Działa głową, a nie sercem. Pisałem już, że Viktor Orbán wykoncypował sobie, że trzeba prowadzić politykę taką, jaką przez długi czas prowadził Berlin w stosunku do Rosji, czyli wyciskać z Moskwy jak najwięcej zysków, a jednocześnie się przymilać. Węgrzy mają długą tradycję twardego realizmu. Polacy raczej nie. Polską politykę można scharakteryzować jako święte oburzenie w obliczu brutalnej i podłej napaści na Ukrainę. Jednak co z tego wynika? W najlepszym wypadku mamy do czynienia z realizowaniem przez Warszawę koncepcji zakładającej wspieranie Kijowa, aby walki toczyły się z dala od Polski.

Czy to nie jest jak najbardziej racjonalna polityka z punktu widzenia państwa leżącego na wschodniej flance NATO?

Zakładamy tutaj, że Warszawa świadomie wybrała koncepcję wspierania ukraińskiej walki, wiedząc, że, po pierwsze, Ukraina na dłuższą metę sama nie może takiej wojny wygrać, a po drugie, że mimo wszystko taka walka odwleka przyjście Rosjan do Polski. Na jak długo? Dziesięć lat? Pięć lat? Czyli w najlepszym wypadku obecny rząd ma raczej krótkofalową strategię. A w najgorszym wypadku żadnej strategii nie ma. Mamy za to do czynienia jedynie z mesjanistycznymi wypowiedziami i romantycznymi zagraniami. Zbliżanie się w tej chwili do Ukrainy, będącej pod tak wielkim obstrzałem, jest – delikatnie mówiąc – bardzo groźne. To tak, jakbyśmy rzucili się na szyję tonącego człowieka, aby go uściskać i mu pogratulować. Taka polityka być może przyśpieszy nieuniknioną rosyjską ekspedycję karną przeciw RP.

Czy jednak w interesie całej wschodniej części UE nie jest takie osłabienie Rosji, by nie była ona już w stanie zagrażać nam w przyszłości? Czy mocne zaangażowanie w pomoc Ukrainie, tak jak robi to obecnie m.in. Polska, nie jest najlepszym sposobem na osiągnięcie tego celu?

Nic nie trwa wiecznie, a więc nawet jeśli Rosja w tej chwili zostanie osłabiona, powiedzmy – zadowoli się Donbasem, to przecież za kilka lat znowu ruszy. Faktyczne osłabienie Rosji może nastąpić tylko w wyniku jej rozbicia na kilka państw. Można to osiągnąć albo przez wspieranie ruchów odśrodkowych i regionalizmu, albo przez wojnę. A kto jest w stanie takową prowadzić po naszej stronie? Tylko USA. Ameryka jednak za bardzo się do tego nie pali. Bo kto chce wojny nuklearnej? Ostrzegam: Rosjanie zwykle dobrze się biją o swój kraj. Ponadto z historycznego punktu widzenia łatwiej przychodzi podbić ten obszar od wschodu. Wspomnijmy choćby najazd mongolski na Ruś. Gdzieś tam w przyszłości szykuje się poważny konflikt między Rosją a Chinami. Nie może bowiem być wielkich Chin z wielką Rosją i vice versa. To naturalni wrogowie. Obecnie jednak są taktycznie sprzysiężeni przeciwko USA. Ameryki nie należy mylić z Zachodem, bo Unia Europejska zdominowana jest przez tandem Berlin-Paryż. Ten z kolei wcale się nie pali do solidarności ze światem anglosaskim i jej sojusznikami, w tym z Polską. Co więcej, Stany Zjednoczone wcale nie chcą zniszczenia Rosji. Uważają ją bowiem za

eprasa.pl f4e3c581c3

naturalną zaporę geopolityczną przeciw Chinom. I jak tu realizować buńczuczne plany rzucenia Moskali na kolana?

Nie podoba się panu naciskanie przez polski rząd na wprowadzanie przeciw Rosji jak najdalej idących sankcji? Czy odcięcie tego państwa od technologii i dopływu twardych walut nie leży w naszym interesie?

Ale czy Warszawa musi o tym najgłośniej bębnić? Polska powinna być postrzegana nie jako krzykacz, tylko jako posłuszny sojusznik NATO i USA. Przykładowo Wielka Brytania i jej „splendid isolation" pozwalają Anglikom na jak najgłośniejsze domaganie się nakładania sankcji i kar na Rosję. Polska może sobie tak myśleć i czynić tak wraz z innymi. Ale po co wychodzić przed szereg? Ponadto sankcje gospodarcze mają ograniczoną skuteczność. Rosja może się zawsze odwrócić od świata zachodniego i wprowadzić rodzaj autarkii, przynajmniej częściowej. Zawsze może sobie handlować z Chinami, Iranem czy Indiami. Rynków zbytu na energię nigdy nie zabraknie.

Jak wyglądałaby sytuacja bezpieczeństwa naszego regionu, gdyby wszyscy dookoła prowadzili wobec Ukrainy taką politykę jak Węgrzy, m.in. nie pozwalając na transfer broni przez swoje terytorium? Czy nie jest to w gruncie rzeczy polityka krótkowzroczna?

Gdyby tak było, Ukraina by już pewnie upadła. Już jest odcięta od morza. Odcięcie Ukrainy przez Polskę byłoby gwoździem do trumny Kijowa. Gdyby tak się stało i wojska rosyjskie na razie zatrzymałyby się, „kupiłoby" to czas państwom Europy Środkowej. A potem Rosja znowu przeszłaby do działania. Tylko niekoniecznie militarnie. Tak zresztą było na Ukrainie. Najpierw Moskwa starała się kontrolować Kijów pośrednio – przez swoje marionetki. Potem przez V Kolumnę, następnie przez rozbiór Donbasu, a w końcu przez otwartą inwazję i wojnę. Tak więc polityka Węgier nie jest krótkowzroczna, tylko dalekowzroczna. W najgorszym razie Węgry pracują na pozycję państwa, z którym Kreml może się dogadać i może na nie liczyć. Wedle czarnego scenariusza nie będzie okupacji Węgier, a jedynie finlandyzacja tego kraju. Orbán sobie na to zasłużył. Tylko w wypadku trzeciej wojny (atomowej) światowej wszystkie kalkulacje nie mają już sensu – chociaż z rosyjskiego punktu widzenia Budapeszt mniej sobie zasłużył na „atomówkę" niż Warszawa. Tutaj nie będzie żadnych względów.

A może właśnie to jednoznaczne zaangażowanie Polski jest w naszych realiach geopolitycznych bardziej racjonalne? USA widzą, że Warszawa jest gotowa na bardzo daleko idące działania, by powstrzymywać Rosję. Nie ma pan wrażenia, że w ten sposób znacząco wzrasta nasza „waga" w relacjach z naszym kluczowym sojusznikiem?

Powtarzam: Polska nie jest żadną potęgą. Nie ma nawet swojej broni nuklearnej. Czy to ma znaczenie, że USA widzą Polaków wyskakujących przed szereg? Jasne, Waszyngton wie, że można zawsze Polskę naciągnąć na każdą awanturę. A tak nie powinno być. Jeśli RP nie ma siły, aby w pojedynkę powstrzymać Rosję, to powinna sprawić, by, po pierwsze, Moskwa zwracała jak najmniej uwagi na Warszawę, a po drugie, żeby Waszyngton był jak najbardziej zaangażowany w obronę tej części Europy. Oczywiście bez niepotrzebnej eskalacji, aby nie wywołać trzeciej wojny światowej.

Jakiej konkretnie polityki oczekiwałby pan w tym kontekście od polskich władz?

Najważniejsze jest samouświadomienie. Przede wszystkim nie można wyskakiwać przed szereg. Skąd wziął się pomysł, że polskie wojsko ma wejść na Ukrainę jako misja pokojowa?! Polska musi zapomnieć o byciu sumieniem narodów, Chrystusem narodów etc. Trzeba zrozumieć grozę sytuacji. Polska jest na rosyjskim menu. Musimy dostrzec, że dla Ukraińców Polska jest, po pierwsze, schronieniem dla ich kobiet i dzieci, a, po drugie, krajem tranzytowym dla dostaw broni i innych materiałów. Ponadto RP jest rywalem, którego Rosja chciałaby wykorzystać do przeprowadzenia rozbioru Ukrainy, co Ukraińcy uważają za możliwe i odnajdują analogie w historii (rozejm w Andruszowie w 1667 r. i traktat w Rydze z 1921 r.). Ponieważ Polska nie jest potęgą, Ukraina patrzy dalej na zachód i szuka zbawienia i partnerstwa w Niemczech czy we Francji, oczywiście z mizernym skutkiem. No i naturalnie także w USA, tu już z pewnym sukcesem. Rola Stanów Zjednoczonych jest kluczowa. Pomoc amerykańska przedłuża opór – ktoś może powiedzieć: agonię – Ukrainy. Bez Waszyngtonu Polska i jej sąsiedzi małe mają szansę przetrwać drapieżne zachowanie Moskwy. Szczególnie jeśli – skrycie bądź otwarcie – Berlin udzieli jej swojego błogosławieństwa.

Możemy liczyć na USA? Na razie wygląda na to, że Ameryka bardzo poważnie podchodzi do obrony wschodniej flanki NATO.

Ponieważ Polska jest w NATO, istnieje szansa na aktywną obecność i wsparcie USA. Ale do czasu. W Ameryce, na prawicy szczególnie, ujawniają się, a może nawet dominują – szczególnie w tzw. grassroots (u populistów i narodowych konserwatystów, którzy stanowili trzon wsparcia Trumpa) – potężne wpływy izolacjonistyczne i prorosyjskie. Ukraina jawi się amerykańskiej prawicy jako matecznik George'a Sorosa, Clintonów, Bidenów oraz miejscowych oligarchów, których marionetką jest Wołodymyr Zełenski. To trzeba wiedzieć, aby nie dać się zaskoczyć, kiedy – albo jeżeli – Stany Zjednoczone zmienią swoją politykę zagraniczną. Nie można polegać zawsze na USA. Można i powinno się polegać przede wszystkim na sobie.

Tymczasem UE pokazuje, że potrafi wykorzystać kryzys na Ukrainie, aby narzucić Polsce swoje ideologiczne pęta. Nie tylko mamy ekologiczne szaleństwo, na które Warszawa musiała się zgodzić, lecz także mamy całe mnóstwo przykładów wtrącania się Brukseli do wewnętrznych spraw RP. Na przykład pojawiła się propozycja, by zmienić regulamin Sejmu tak, aby się podobał eurokratom. I to wszystko za pożyczkę w wysokości 39 mld euro. Pożyczkę, którą Polska bierze, aby zapłacić głównie za uchodźców z Ukrainy. Pieniądze te trzeba spłacić, a jednocześnie trzeba do tego przywileju dopłacić, zgadzając się na całą masę nowych podatków i innych obciążeń. Tak to jest, gdy działa się przede wszystkim sercem, a nie głową.

Węgrzy mają długą tradycję twardego realizmu. Viktor Orbán wykoncypował sobie, że trzeba prowadzić politykę taką, jaką przez długi czas prowadził Berlin w stosunku do Rosji, czyli wyciskać z Moskwy jak najwięcej zysków, a jednocześnie się przymilać

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4e3c581c3

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Węgiel na kartki, kartki na węgiel?

Jak niedawno napisałem w tytule jednego z felietonów: „Mamy górników, a węgiel z Rosji". Od tamtej pory sytuacja zmieniła się o tyle, że węgla z Rosji – w związku z przyjęciem antyrosyjskich sankcji – już nie mamy, za to oczywiście pozostały nam dziesiątki tysięcy polskich górników. A po węgiel, którego ceny oszalały, ustawiają się gigantyczne, coraz dłuższe kolejki – nie tylko „w realu", lecz także „w wirtualu". Za legendarny ekogroszek, którego tona rok temu kosztowała 800 zł, teraz trzeba płacić 2 tys. zł, a bywa, że i 3 tys. zł. Rzecz jasna, pod warunkiem że się go gdzieś – cudem – zdobędzie.

Tymczasem doniesienia z frontu handlu węglem „w realu", czyli z wymiecionych do cna – już tylko z nazwy – składów węgla, a jeszcze bardziej z handlu węglem „w wirtualu" coraz bardziej przypominają sceny z „Misia" Stanisława Barei. Ot, słynna PGG, czyli Polska Grupa Górnicza, żeby „ulżyć" klientom, od końca maja „udostępnia" im węgiel w swym internetowym sklepiku już nie codziennie, a jedynie we wtorki i czwartki; „by nie musieli wysiadywać przed komputerem przez pięć, a tylko przez dwa dni w tygodniu". We wtorek 31 maja PGG „udostępniała" go w ten sposób, że po sześciu godzinach węgiel „się skończył" i co prawda 6 tys. szczęśliwców udało się go kupić, lecz aż 100 tys. musiało się obejść „chrustem z lasu".

Jeszcze komiczniej wyglądają doniesienia z frontu walki o zwiększenie wydobycia polskiego „czarnego złota". Jak wiadomo, polscy górnicy należą nie tylko do najdroższych w utrzymaniu dla podatników, lecz także do najmniej wydajnych na świecie. Polski górnik wydobywa rocznie średnio nieco ponad 800 ton węgla, a np. amerykański ponad 10 tys. ton, czyli… więcej niż 12 razy więcej. Ale to polscy górnicy dostają 14 pensji w roku, to im podatnicy od dekad dopłacają na różne sposoby co roku po prawie 10 mld zł, czyli każdy Polak – niezależnie od wieku – po 250 zł rocznie. A że pieniądze idą głównie na płace – o ile bowiem w całym polskim przemyśle udział płac w kosztach firm stanowi niecałe 15 proc., to w kopalniach węgla kamiennego aż… 43 proc. – to nie starcza ich już na takie bzdety jak inwestycje w nowe ściany wydobywcze.

A przecież… A przecież wystarczyłoby, żeby polskie kopalnie – co do jednej – zostały sprywatyzowane. Wówczas pewnie szybko by się okazało, że węgla mamy pod dostatkiem, i to węgla w dobrej cenie, ba, że jesteśmy jego eksporterem na pół Europy. A za to górników mielibyśmy – wreszcie! – dużo mniej, i to niewyciągających rąk po pieniądze podatników.

Skoro jednak prywatyzacji nie będzie, a nie będzie, bo „to się panom górnikom nie podoba", to i górników (z gwarancją pracy do emerytury – kto by tak nie chciał) ubywać będzie wolniej niż szybciej, a może nawet będzie ich przybywać, a za to węgiel – drogi jak wszyscy diabli – będzie pewnie na kartki. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

KPO, czyli Polski Ład 2.0

Rzadko się zdarza w TVP, ale się zdarzyło. Michał Rachoń zadał rzecznikowi rządu Piotrowi Müllerowi trudne pytanie: Dlaczego wśród warunków KPO (zwanych paskudnie „kamieniami milowymi") jest zmiana regulaminu Sejmu? Pan rzecznik odpowiedział, mówiąc najdelikatniej, jakby nieco obok tematu. Oznajmił, że to my sami proponowaliśmy wspomniane warunki, a w ogóle to Włosi mają ich więcej. Nie mam pojęcia, w jaki sposób ma z tego wynikać, że wśród tych warunków w polskim przypadku musiała się znaleźć zmiana regulaminu Sejmu, ale może ja po prostu za głupi jestem.

Pan rzecznik potwierdził coś, co było trudne do wyobrażenia, ale od początku afery z KPO nasuwało się samo: że rząd poczynił bardzo daleko idące ustalenia z Komisją Europejską w całkowitej tajemnicy, stawiając nas przed faktem dokonanym

Istotne jest natomiast stwierdzenie, że warunki wymyśliliśmy sobie sami. Ze słów pana rzecznika wynika, że spór był jedynie wokół sądownictwa. Można zatem zrozumieć, że nie było go w ogóle wokół ozusowania umów cywilnoprawnych, podatku od samochodów spalinowych czy opłat na wszystkich drogach ekspresowych oraz setek innych spraw, obejmujących niemal wszystkie dziedziny życia. Ba, wygląda na to, że to sam polski rząd te sprawy zgłosił.

Pan rzecznik potwierdził tym samym coś, co wydawało się trudne do wyobrażenia, ale od początku afery z KPO nasuwało się samo: że rząd poczynił bardzo daleko idące ustalenia z Komisją Europejską w całkowitej tajemnicy, stawiając nas teraz przed faktem dokonanym. Co więcej, z wypowiedzi Piotra Müllera można było wywnioskować, że skoro każdy kraj „coś tam" musiał do KPO wstawić, to Polska „coś tam" wstawiła, nie zastanawiając się nad konsekwencjami.

Historia z KPO zaczyna do złudzenia przypominać tę z Polskim Ładem. Miał być wielki sukces, ale zamiast niego były długie miesiące handryczenia się z reformą Sądu Najwyższego; gdy zaś tę kwestię zamknięto, okazało się, że zamiast sukcesu jest narastająca awantura wokół warunków wypłaty środków, o których nikt w Polsce nie wiedział. ©℗

eprasa.pl f4e3c581c3

Poznań

Grupa Inwest®

WILDA CORNER

DZIEŃ OTWARTY
25 czerwca 2022 r.

Odbiór kluczy w lipcu 2022

www.wilda-corner.pl

HORYZONT
NARAMOWICE

SYSTEM PŁATNOŚCI 10/90%

Odbiór kluczy do końca 2022

www.horyzont-naramowice.pl

NOVA ŁACINA
NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl

www.**grupainwest.pl** +48 **882 818 848**

eprasa.pl f4e3c581c3

Bez euro lżej

Jakub Wozinski

Wybuch wojny na Ukrainie wznowił w Polsce po raz kolejny dyskusję o przystąpieniu do unii walutowej. Obecna wojna i związane z nią zawirowania gospodarcze udowadniają jednak, że korzyści płynące z posiadania własnej waluty są trudne do przecenienia

Gdy pod koniec lutego całkiem realna stała się wizja błyskawicznego opanowania przez Rosję całego terytorium Ukrainy, niemal natychmiast pojawiły się głosy wskazujące, że Polska powinna jak najszybciej zabezpieczyć swoją przyszłość poprzez przyjęcie euro. Z pewnością Niemcy i Francja patrzyłyby na ewentualne ryzyko agresji na Polskę zupełnie inaczej, gdyby miało ono wpływ również na kondycję ich własnej waluty. Czy jednak w ogóle zechciałyby dopuścić Polskę do unii walutowej w tak dramatycznych okolicznościach?

CIERPIENIA W KRAJACH BAŁTYCKICH

Dywagacje na temat alternatywnego biegu historii są do pewnego stopnia uprawnione, lecz podstawowe znaczenie mają przede wszystkim fakty. Te zaś pokazują wyraźnie, że mniej zamożne kraje naszego regionu, które zdecydowały się przyjąć euro, mają w ostatnim czasie problemy, z którymi nie mierzyły się od dekad. W Estonii inflacja osiągnęła w maju poziom 20,1 proc., co stanowi dla niej rekord wszech czasów, choć jeszcze rok temu wynosiła zaledwie 3,6 proc. Na sąsiedniej Łotwie sytuacja wygląda nieco lepiej, gdyż wzrost cen w kwietniu wyniósł 16,4 proc., lecz na Litwie inflacja wyniosła w tym samym okresie 18,5 proc.

Tak jak na całym świecie, powodów występowania najwyższego od lat 70. wzrostu cen jest co najmniej kilka. Państwa bałtyckie płacą za wojnę szczególnie wysoką cenę ze względu na to, że zdecydowały się pospiesznie zrezygnować z dostaw surowców z Rosji. Bez względu jednak na zawirowania na rynku energii czy żywności bodajże najważniejszą przyczyną, dla której Litwa, Łotwa i Estonia pozostają wciąż niechlubnymi rekordzistami całej wspólnoty w zakresie inflacji, jest brak możliwości regulacji stóp procentowych przez miejscowe władze. Podczas gdy w Polsce przy inflacji przekraczającej w maju 13,9 proc. stopa referencyjna Narodowego Banku Polski wynosi już 5,25 proc., a w Czechach przy inflacji 14,2 proc. główną stopę ustalono na poziomie 5,75 proc., na Litwie pomimo galopującej inflacji główna stopa Europejskiego Banku Centralnego wynosi wciąż –0,5 proc.

Pomimo najwyższej od 1996 r. inflacji władze litewskiego państwa pozostają

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl f4e3c581c3

w większości bezradne i tak jak ich sąsiadom pozostaje im jedynie wywieranie wpływu na unijną politykę pieniężną poprzez zasiadającego w Radzie Prezesów EBC swojego przedstawiciela. Wedle doniesień medialnych w ramach Rady zawiązała się swego rodzaju koalicja przedstawicieli, m.in. Słowacji, Irlandii i państw bałtyckich, którzy wzywają do jak najszybszego podniesienia stóp, lecz jak doskonale wiadomo, w unijnych instytucjach liczy się zawsze przede wszystkim zdanie najsilniejszych.
W Niemczech problem inflacji pojawił się dopiero niedawno i z dużo mniejszym natężeniem, dlatego prezes Bundesbanku Joachim Nagel wyraził w końcu zgodę na podniesienie stóp, ale dopiero począwszy od lipca. Szefowa EBC Christine Lagarde stwierdziła natomiast, że mogłoby się to wydarzyć najwcześniej we wrześniu. Możliwe więc, że zanim Niemcy i Francuzi ustalą wspólne stanowisko w krajach bałtyckich, inflacja sięgnie już nawet 20 proc. (lub więcej).

Perspektywa zamożnych krajów europejskich i pozostających wiecznie na dorobku sąsiadów z Europy Wschodniej jest zdecydowanie odmienna, ponieważ dla Niemiec wielkim wyrzeczeniem było już niedawne odejście od polityki luzowania ilościowego (czyli zakupu aktywów na ogromną skalę), które z kolei dla Litwy czy Łotwy miało marginalne znaczenie. Gdyby Polska przynależała do strefy euro, mogłaby w obecnej sytuacji jedynie biernie przyglądać się, jak jej gospodarka pogrąża się coraz bardziej w recesji, gdyż Niemcy i Francja nie widzą wciąż potrzeby pilnego działania.

SKŁADANIE SIĘ NA ROZRZUTNYCH

W ostatnim czasie nie przeprowadzono żadnego badania poparcia Polaków dla przyjęcia euro, lecz ubiegłoroczne wykazało jego wzrost o 8 pkt. proc. do poziomu 56 proc. Część komentatorów sugeruje, że gdy stopy procentowe w Polsce przyczynią się do nagłego wzrostu rat kredytowych, wielu naszych rodaków zacznie spoglądać ku euro w jeszcze bardziej przychylny sposób. Wydaje się jednak, że los krajów „nowej Europy", które w ostatnich latach przystąpiły do unii walutowej, posłuży jako środek ostrzegawczy. Wysoka inflacja, słaby wzrost gospodarczy i wysokie deficyty prześladują nie tylko kraje bałtyckie, lecz także m.in. Słowację. Nie wolno zapominać, że przynależność do strefy euro wiąże się nie tylko z przywilejem korzystania z niskich stóp, lecz także z poważnym ryzykiem i kosztami związanymi z koniecznością nieustannego udzielania wsparcia zadłużonym ponad stan krajom południa Europy.

Cała strefa euro siedzi wciąż tak naprawdę na swego rodzaju nierozbrojonej minie, którą jest nieuregulowany pomimo kryzysu z lat 2012–2013 problem nadmiernego zadłużenia niektórych państw. Zamiast go rozwiązać, władze Europejskiego Banku Centralnego doprowadziły do jeszcze większej eskalacji, stając się przez ostatnie kilka lat głównym nabywcą obligacji krajów mających chroniczne problemy z gospodarnością (bilans EBC osiągnął już poziom 70 proc. PKB całej Unii, stając się proporcjonalnie dwukrotnie większy niż bilans amerykańskiego banku centralnego). W efekcie w najbardziej „pandemicznym" 2020 r. średni poziom zadłużenia państw strefy euro wzrósł z 83,8 proc. do aż 97,2 proc. PKB. Mimo iż dług Grecji sięga niemal 200 proc. PKB, jeszcze rok temu inwestorzy wręcz zabijali się o jej obligacje. W ostatnim czasie ich rentowność już jednak wyraźnie wzrosła, a wobec narastających problemów w różnych obszarach gospodarczych należy się spodziewać, że wbrew optymistycznym ocenom polityków problem zadłużenia powróci – i to nawet z jeszcze większą siłą.

KONWERGENCJA EKONOMICZNA I POLITYCZNA

Gdyby jednak nawet nagle w Polsce zapanował powszechny konsensus co do potrzeby przyjęcia euro, nasz kraj i tak nie spełniałby – i zapewne jeszcze przez dłuższy czas nie spełni – podstawowych wymogów konwergencji. W obecnych warunkach utrzymanie stabilnych cen, długoterminowych stóp procentowych czy też odpowiedniej równowagi finansów publicznych wydaje się czymś wręcz niemożliwym. Rzeczywistość ekonomiczna już od bardzo dawna nie była naznaczona tak wieloma niewiadomymi i poddana tak gwałtownym przemianom.

Oddawanie Niemcom faktycznej kontroli nad polskimi kwestiami walutowymi byłoby zresztą w kontekście obecnej wojny i trwających już od kilku lat nieustannych przepychanek z Brukselą aktem wręcz dywersyjnym. Jeżeli Komisja Europejska świadomie blokowała miesiącami Polsce wypłatę należnych jej środków w ramach Krajowego Planu Odbudowy, a Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej bez mrugnięcia okiem nakłada na nas kolejne kary finansowe, to nie ma niestety żadnych podstaw do tego, aby zakładać, że przystąpienie polskiego państwa do dużo bardziej „intymnej" unii walutowej przyniosłoby ze sobą bardziej partnerskie relacje. Pomimo 18 lat obecności naszego kraju w Unii Europejskiej konwergencja dążeń politycznych Polski i zachodnich liderów wspólnoty pozostawia bardzo wiele do życzenia.

W trwającej od wielu lat dyskusji na temat ewentualnego przyjęcia przez Polskę wspólnej europejskiej waluty dominują na ogół argumenty ściśle ekonomiczne, kładące najczęściej nacisk na korzyści płynące m.in. z przewidywanego spadku ryzyka związanego z eliminacją ryzyka kursowego czy też likwidacji kosztów wymiany walut. Tego rodzaju profity nie zrównoważą jednak nigdy strat politycznych wynikających z możliwości samodzielnego kształtowania polityki pieniężnej. Trwająca wciąż wojna na Ukrainie nauczyła nas przede wszystkim tego, że w relacjach międzynarodowych nie można nigdy uzależniać się od jednego podmiotu i dzięki temu możemy z większym komfortem niż pozostałe kraje odchodzić od rosyjskich dostaw surowców. Ta sama zasada powinna być również brana pod uwagę przy dyskusji na temat euro, którego przyjęcie jeszcze bardziej uzależniłoby naszą wymianę handlową od Berlina i Paryża. Z naturalnych przyczyn ponad 80% polskiego handlu odbywa się z krajami należącymi do Unii Europejskiej, lecz ewentualne przystąpienie do unii walutowej jeszcze bardziej pogłębiłoby tę zależność – na naszą niekorzyść.

Od 1 stycznia 2023 r. strefa euro będzie miała nowego członka – Chorwację. Dla kraju, w którym turystyka odpowiada aż za 25 proc. całego PKB, przyjęcie wspólnej waluty to przede wszystkim decyzja podyktowana chęcią przyciągnięcia jak największej liczby zachodnich turystów. Wyludniająca się i niewiele znacząca w technologicznym wyścigu zbrojeń Chorwacja dobrowolnie przyjmuje niestety rolę ośrodka wypoczynkowego dla kilkuset milionów użytkowników wspólnej waluty. Polska to kraj o zdecydowanie większych ambicjach i choćby dlatego unia walutowa nie jest dla niej dobrym pomysłem. Zaczynająca się właśnie recesja pokaże nam zresztą ponownie, jak wiele korzyści zapewnia walutowa suwerenność.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4e3c581c3

Jacek Przybylski

W dobie dwucyfrowej inflacji i wojny tuż za wschodnią granicą ochrona kapitału przed utratą wartości jest piekielnie trudna. Na szczęście pod wpływem „perswazji" premiera oprocentowanie lokat wzrosło w ostatnim czasie ponad dwudziestokrotnie. Sam rząd również wprowadził na rynek nowe krótkoterminowe obligacje

Siódemka z przodu

Przez ostatnich kilkanaście miesięcy trzymanie pieniędzy w polskich bankach wymagało od klientów mocnych nerwów. Mimo wysokiej inflacji większość instytucji finansowych nad Wisłą, korzystając z uprzywilejowanej pozycji oraz ogromnego zastrzyku kapitałowego od rządu, który sprawił, że banki nie musiały zacięcie walczyć o kapitał od klientów, na lokatach i rachunkach oszczędnościowych oferowała stawki kuriozalnie niskie.

Według danych NBP średnie oprocentowanie rocznych lokat wynosiło przed rokiem ok. 0,14 proc. Wiele depozytów o krótszym terminie było zaś oprocentowanych na zaledwie 0,01 proc. i w niektórych bankach nadal taką właśnie stawkę można zobaczyć na lokatach jednomiesięcznych. Przy tak niskich stawkach nawet ci, którzy na rachunkach trzymają setki tysięcy złotych, otrzymywali jedynie symboliczne odsetki.

„PIĄTKA" TO JUŻ MAŁO

Oferty nie poprawiło zakończenie przez bank centralny okresu rekordowo niskich stóp. Bankierzy, którzy przy podnoszeniu oprocentowania kredytów żwawo reagują na każdą podwyżkę stóp procentowych dokonaną przez Radę Polityki Pieniężnej, długo zapominali, że wypadałoby jednocześnie podnieść oprocentowanie depozytów.

– Mam bardzo konkretny apel do prezesów banków. Koledzy, przebudźcie się! Nie może być tak, że 1,25 bln zł depozytów bieżących jest oprocentowane na poziomie 0,1 proc. czy 1 proc. To niezdrowy model gospodarczy, kiedy bardzo dobrze dokapitalizowany sektor finansowy jest beneficjentem tej wysokiej inflacji. Ta pobudka musi nastąpić szybko – mówił na przełomie kwietnia i maja premier Mateusz Morawiecki, dodając, że w rozmowach z bankowcami zauważył głęboką „refleksję" w tej kwestii, i dając subtelnie do zrozumienia, że jeśli bankowcy sami się nie obudzą, to rząd sięgnie po systemowe narzędzia „perswazji".

Po apelu szefa rządu podwyżki lokat szybko ogłosiły Pekao SA, PKO BP oraz Alior Bank, a także takie banki jak ING

eprasa.pl f4e3c581c3

FOT. ADOBE STOCK

czy Getin Noble Bank. Za nimi dołączyły też kolejne banki, a oprocentowanie lokat jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaczęło szybować w górę.

Magiczną granicę 7 proc. w skali roku przekroczył niedawno Bank Ochrony Środowiska, który właśnie 7 proc. oferuje na trzymiesięcznej Ekolokacie Promocyjnej. Kwota minimalna wynosi 10 tys. zł, a maksymalna 500 tys. zł, nie ma jednak ograniczenia liczby otwieranych lokat. Depozyt można założyć przez Internet, a za każde ulokowane 20 tys. zł bank zobowiązuje się do posadzenia jednego drzewa. Bank Nowy nowym klientom, którzy założą rachunek depozytowy, oferuje jednomiesięczną lokatę na 6,5 proc. w skali roku (maksymalna kwota wkładu to 10 tys. zł). Oprocentowanie w wysokości 6,25 proc. na rocznej lokacie oferuje polskim klientom włoski Bank Facto – w jego przypadku trzeba jednak pamiętać, że depozyty nie są objęte gwarancją polskiego BFG, ale jego włoskiego odpowiednika. Za ulokowanie pieniędzy na trzy miesiące, sześć i dziewięć miesięcy Facto płaci 5,75 proc. w skali roku. Miesięczna lokata jest zaś oprocentowana na poziomie 5 proc.

A jak wygląda oferta depozytów i rachunków oszczędnościowych w największych polskich bankach? PKO Bank Polski w ostatnich tygodniach wprowadził do oferty lokaty z oprocentowaniem sięgającym 5,75 proc. w skali roku. Tyle właśnie można uzyskać, otwierając np. miesięczną lokatę mobilną (można na nią wpłacić od 1 tys. zł do 50 tys. zł) lub otwierając lokatę na sześć miesięcy (oferta tylko dla nowych klientów bankowości osobistej i prywatnej z ograniczeniem kwoty lokaty do 300 tys. zł). Zarówno nowym, jak i obecnym klientom bank oferuje także lokatę 60+ na okres 24 miesięcy z oprocentowaniem 5,75 proc. – można na nią wpłacić od 1 tys. do 50 tys. zł, ale ten depozyt dostępny jest wyłącznie dla osób, które ukończyły już 60. rok życia. Wzrost oferowanych stawek jest wyraźny – przed 20 maja trzymiesięczna wówczas lokata mobilna oprocentowana była zaledwie na 2,5 proc.

Bank Pekao SA oferuje obecnie 5 proc. w skali roku na koncie oszczędnościowym (przez sześć miesięcy do 100 tys. zł), 5,5 proc. w skali roku w przypadku lokaty zawieranej na dziewięć miesięcy lub 6 proc. w skali roku na lokacie rocznej. Pekao oferuje również trzyletnią lokatę rentierską oprocentowaną na 6 proc. w skali roku z kwartalną wypłatą odsetek. W banku z żubrem w logo można też ulokować pieniądze na lokacie PeoPay, ale przy oprocentowaniu na poziomie 5 proc. nie ma większego sensu zamrażać kapitału nawet na krótki okres, gdy tyle samo można uzyskać na zwykłym rachunku oszczędnościowym, nie ryzykując utraty odsetek w razie konieczności wypłaty pieniędzy przed końcem umowy.

Santander Bank Polska oferuje 5 proc. w skali roku na czteromiesięcznej lokacie mobilnej (maksymalnie można na nią wpłacić 20 tys. zł, bank pozwala założyć taką lokatę tylko jeden raz). 4 proc. w skali roku do 300 tys. zł dla nowych środków na Koncie Max Oszczędnościowym.

mBank w promocji lokaty na nowe środki oferuje 5,5 proc. w skali roku dla posiadaczy mKonta Intensive oraz 5,25 proc. dla posiadaczy innych rodzajów kont. Maksymalna kwota wszystkich lokat, które można założyć w ramach tej promocji, wynosi 200 tys. zł.

ING Bank Śląski oferuje 5 proc. w skali roku na Otwartym Koncie Oszczędnościowym dla kwot poniżej 200 tys. zł przez trzy miesiące od założenia konta. Wadą oferty „Bonus na start" jest jednak to, że bank co miesiąc wypłaca jedynie odsetki standardowe (0,5 proc. w skali roku), a odsetki wynikające z podwyższonego oprocentowania obiecuje wypłacić dopiero po trzech miesiącach od założenia konta.

7 proc.

TAKĄ STAWKĘ W SKALI ROKU NA LOKACIE TRZYMIESIĘCZNEJ OFERUJE BOŚ

BNP Paribas oferuje posiadaczom konta osobistego lub rachunku oszczędnościowego otwieraną w aplikacji mobilnej lokatę GOmobile. Do wyboru są dwa okresy lokacyjne: zakładając depozyt trzymiesięczny, można zyskać 3 proc. w skali roku, a pięciomiesięczny – 5 proc. w skali roku. W obu przypadkach na lokatę można wpłacić od 1 tys. do 50 tys. zł. Bank oferuje również lokatę GOonline (kwota minimalna: 1 tys. zł), na której można otrzymać od 2,5 proc. w skali roku w przypadku lokaty miesięcznej

eprasa.pl f4e3c581c3

do 5,25 proc. w skali roku, jeśli wybierze się lokatę na 24 miesiące. W BNP Paribas można też założyć lokatę na nowe środki, której oprocentowanie wynosi 5 proc. w skali roku niezależnie od tego, czy zamrozi się kapitał na trzy miesiące, sześć, dwanaście czy osiemnaście miesięcy.

Bank Millennium na Koncie Oszczędnościowym Profit oferuje 4,5 proc.

13,9 proc.

TYLE WEDŁUG WSTĘPNYCH DANYCH GUS WYNIOSŁA W POLSCE INFLACJA W MAJU

w skali roku przez 62 dni dla nowych środków do 200 tys. zł. Lokata Horyzont Zysku (kwota minimalna to 1 tys. zł) daje możliwość zarobienia 4,5 proc. w skali roku przy lokacie półrocznej lub 5 proc., jeśli kapitał zamrozimy na 12 lub 18 miesięcy.

Alior Bank na koncie megaoszczędnościowym oferuje 4 proc. w skali roku. Jeszcze lepiej, bo na 5 proc. w skali roku, oprocentowana jest roczna lokata na nowe środki (od 1 tys. zł, bez ograniczenia kwoty maksymalnej). Ta sama lokata na 92 dni da 4 proc. w skali roku, a na 182 dni – 4,5 proc. Pięć procent w skali roku można otrzymać, zakładając trzymiesięczną lokatę mobilną w Alior Banku. Oferta skierowana jest jednak tylko do nowych użytkowników Alior Mobile, a maksymalna kwota lokaty wynosi 20 tys. zł.

Citi Handlowy oferuje 5,5 proc. w skali roku na koncie oszczędnościowych (do 20 tys. zł). Oferta jest jednak bezpłatna wówczas, gdy w danym miesiącu wpływy z tytułu wynagrodzenia na Konto Osobiste wyniosą minimum 3 tys. zł. Citi Handlowy dla najbogatszych klientów wprowadził również do oferty sześciomiesięczną Lokatę Powitalną z oprocentowaniem 5,5 proc. do kwoty 300 tys. zł.

Getin Bank podwyższył oprocentowanie do 6 proc. w skali roku na Elastycznym Koncie Oszczędnościowym. Aby uzyskać takie odsetki od kwoty 10 tys. zł (maksymalna kwota), trzeba być jednak nowym klientem, który nie miał konta w tym banku od 1 września 2019 r. do 31 maja 2022 r., zapewnić wpływ wynagrodzenia na konto osobiste (minimum 2 tys. zł miesięcznie). Bank na Elastycznym Koncie Oszczędnościowym oferuje też 5 proc. w skali roku na nowe środki do 400 tys. zł przez trzy miesiące. Getin oferuje również 5,5 proc. na rocznej lokacie na nowe środki (można na niej ulokować od 5 tys. do 180 tys. zł). Za zamrożenie środków na pół roku bank oferuje 5 proc. w skali roku, a lokata trzymiesięczna oprocentowana jest na 4,5 proc.

Nowe oferty zaczęły skutecznie ściągać nadmiar pieniędzy z rynku. Polacy wpłacają na nowe depozyty miliardy złotych, a jeśli oprocentowanie lokat nadal będzie rosło, to w tym roku może paść historyczny rekord napływu oszczędności na depozyty.

Duża część atrakcyjnych ofert jest jednak wciąż ograniczona np. maksymalną wysokością depozytu lub też dodatkowymi warunkami – koniecznością założenia konta, przelania nowych środków, uruchomienia bankowości mobilnej etc. Oprocentowanie standardowych lokat (trzy miesiące, sześć, dwanaście miesięcy) nadal waha się jednak w niektórych bankach od 0,5 proc. do 1 proc. w skali roku. Niewykluczone więc, że rząd sięgnie w końcu po mechanizmy mające zmusić banki do urealnienia swojej oferty i ograniczenia zysków czerpanych z niekorzystnej dla Polaków inflacji.

OBLIGACJE URATUJĄ KAPITAŁ?

Szybki wzrost oprocentowania lokat robi wrażenie, ale ciesząc się z „siódemki" z przodu, warto pamiętać, że według GUS inflacja konsumencka w maju wyniosła w ujęciu rocznym aż 13,9 proc. A kolejne proinflacyjne działania rządu – wakacje kredytowe, zwiększenie płacy minimalnej, dalsze transfery socjalne – nie ułatwiają walki ze wzrostem cen. Nawet najlepsze lokaty nadal zdecydowanie przegrywają więc z inflacją.

Rząd, aby skłonić bankowców do dalszego podnoszenia oprocentowania, a także aby rozwiązać problem ze słabnącym popytem na polskie obligacje skarbowe, od czerwca wprowadził na rynek nowe obligacje, których oprocentowanie – po raz pierwszy – jest oparte na ogłaszanej przez NBP stopie referencyjnej. W przypadku Obligacji Rocznych ROR obecnie oprocentowanie wynosi więc 5,25 proc. w skali roku, a w przypadku dwuletnich obligacji DOR – 5,5 proc. w skali roku. W obu przypadkach oprocentowanie jest zmienne i dotyczy pierwszego okresu odsetkowego. Po ubiegłotygodniowej podwyżce stóp przez bank centralny do 6 proc. wiadomo już więc, że w lipcu oprocentowanie tych obligacji wzrośnie. Nie jest jednak wykluczone, że – jeśli inflacja i stopy zaczną spadać – np. za półtora roku stopa referencyjna będzie się obniżać, a więc oprocentowanie obligacji dwuletnich DOR też zacznie się obniżać. Przewagą obligacji nad lokatami jest możliwość wcześniejszego zakończenia oszczędzania bez utraty całości odsetek. W przypadku obligacji DOR opłata wynosi 0,70 zł od każdej wartej 100 zł obligacji dwuletniej, a przypadku obligacji ROR – 0,50 zł.

6 proc.

DO TYLU Z ZALEDWIE 0,10 PROC. WE WRZEŚNIU 2021 R. WZROSŁA STOPA REFERENCYJNA NBP

Można również zdecydować się na zakup obligacji czteroletnich indeksowanych inflacją, które w pierwszym rocznym okresie odsetkowym dają 5,5 proc., a w kolejnych ich oprocentowanie to suma ogłaszanego przez GUS wskaźnika inflacji powiększona o jeden punkt procentowy.

W przypadku obligacji 10-letnich oprocentowanie w pierwszym rocznym okresie odsetkowym wynosi 5,75 proc., a w kolejnych okresach do wskaźnika inflacji dodawana jest marża 1,25 proc. Jeszcze więcej mogą zarobić posiadacze obligacji rodzinnych (12-letnie papiery dają 6 proc. w pierwszym roku oraz doliczaną do inflacji marżę w wysokości 1,75 proc.). W obligacje w ubiegłym roku zainwestował m.in. premier Mateusz Morawiecki, który – jak napisał „Fakt" – kupił papiery skarbowe za 4,6 mln zł. – Skoro nakłaniamy wszystkich Polaków, aby kupowali polskie obligacje, bo to jest coś, czego Polska dzisiaj w kryzysie rzeczywiście potrzebuje, ponieważ zmniejszyło się zainteresowanie polskimi obligacjami, to chyba dobrze, że w ślad za słowami, także moimi słowami, idą moje czyny – skomentował swój zakup szef polskiego rządu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4e3c581c3

Narodowy Bank Polski informuje:

Wynik finansowy NBP w 2021 r. wyniósł prawie

11 mld zł

Suma bilansowa NBP na koniec 2021 r. wyniosła ponad

825 mld zł

131 mld zł

więcej niż rok wcześniej

Na koniec 2021 r. Narodowy Bank Polski odnotował najwyższą w historii sumę bilansową w wysokości 825,3 mld zł oraz najwyższy wynik finansowy, który wyniósł prawie 11 mld zł.

Wypracowany przez NBP zysk za 2021 r. zgodnie z ustawą o NBP zostanie przekazany do budżetu państwa jako wpłata w wysokości 10,4 mld zł (95% zysku), a pozostałe 0,5 mld zł (5% zysku) zwiększy fundusz rezerwowy NBP.

W 2021 r. NBP odnotował wzrost wartości aktywów i pasywów o 131 mld zł.

- Suma bilansowa NBP na koniec 2021 r. wyniosła 825,3 mld zł. To o 131 mld zł więcej niż w rok wcześniej.
- Najwyższy wynik finansowy NBP w historii – prawie 11 mld zł.

Źródłem tak wysokiego zysku NBP za 2021 r. były operacje przeprowadzane w ramach zarządzania rezerwami w walutach obcych i złocie.

Definicje:

Suma bilansowa NBP – wielkość aktywów i pasywów Banku.

Aktywa NBP – kontrolowane przez NBP zasoby powstałe w wyniku przeszłych zdarzeń, które zgodnie z oczekiwaniami spowodują w przyszłości wpływ do NBP korzyści ekonomicznych.

Pasywa NBP – pieniądz w obiegu, zobowiązania i kapitał własny NBP.

Wynik finansowy NBP – różnica pomiędzy osiągniętymi przychodami a poniesionymi kosztami dotyczącymi danego roku obrotowego.

nbp.pl

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

eprasa.pr/4e3c581c3

TEST „DO RZECZY": ECOVACS WINBOT W1 PRO

Możliwość łatwego mycia szyb nawet w dużych oknach, system spryskiwania krzyżowego umożliwiający czyszczenie nawet mocno zabrudzonych powierzchni, kilka programów mycia do wyboru, zdalne sterowanie za pomocą aplikacji na smartfona oraz banalnie prosta konfiguracja i obsługa – to największe zalety robota do mycia chińskiej firmy ECOVACS.

Niewielki kwadratowy robot waży zaledwie 1,7 kg. Nowoczesne wzornictwo, dobrej jakości materiały oraz niewielka elegancka walizeczka w zestawie sprawiają, że nie ma wątpliwości, iż jest to urządzenie klasy premium. Sama walizeczka może być przydatna zarówno do bezproblemowego przechowywania robota, jak i do łatwego przenoszenia go, gdy ma się więcej mieszkań lub gdy rodzina i znajomi dowiedzą się o naszym robocie i będą chcieli koniecznie go wypróbować.

Urządzenie jest bajecznie proste w konfiguracji oraz w obsłudze. W porównaniu z innymi modelami podobnych maszynek do mycia testowanego Winbota W1 Pro wyróżnia system spryskiwania krzyżowego, dzięki któremu robot sam spryskuje powierzchnię, którą za chwilę zamierza wyczyścić. Ułatwia to mycie bez pozostawiania smug i zacieków. Pojemność zbiornika jest zupełnie wystarczająca, aby umyć duże okno bez potrzeby zdejmowania robota w celu uzupełnienia zbiornika.

Testowany model Winbota posiada również wbudowany system nawigacji Win-Slam 3.0, który optymalizuje trasę czyszczenia i umożliwia mycie szyb zarówno w oknach z ramą, jak i szyb bez obramowania. Użytkownik w prosty sposób może również wybrać jeden z trzech trybów czyszczenia: szybki, dogłębny lub punktowy, gdy bardziej zabrudzony jest tylko fragment szyby.

Plusem jest też to, że robot ma w zestawie dwie dopasowane do swojego kształtu ściereczki z mikrofibry, dzięki czemu, gdy jedna się zabrudzi, można założyć drugą, wysłać robota do roboty, a samemu, nie marnując czasu, przepłukać zabrudzoną sztukę.

Zaletą jest również wbudowana bateria o pojemności 650 mAh, która co prawda nie pozwala na korzystanie z robota bez podłączenia do sieci elektrycznej, ale minimalizuje ryzyko, że nagła, chwilowa awaria zasilania doprowadzi do utraty siły ssącej i zniszczenia robota. Oczywiście urządzenie w każdej chwili może być również zabezpieczone mechanicznie specjalną linką asekurującą. Robot jest też uzbrojony w system jazdy antypoślizgowej oraz technologię wykrywania krawędzi. Może też reagować na głosowe ostrzeżenia użytkownika.

Wady? Pierwsza to dość wysoka cena, choć z drugiej strony miło jest widzieć, że roboty do mycia szyb z półki premium kosztują już minimalnie mniej niż 2 tys. zł. Drugi minus wynika z kwadratowego kształtu – urządzenie nie ma więc szans, aby doczyścić szyby w oknach o mniej typowym kształcie, np. trójkątne, bo po prostu nie jest w stanie wjechać w róg. Trzeba też pamiętać, że robot działa tylko na płaskim szkle o grubości co najmniej 3 mm. Mimo to Winbot W1 Pro przynosi ogromną ulgę w codziennych obowiązkach, zwłaszcza w nowoczesnych domach, w których przeszkleń jest bardzo dużo. Wystarczy bowiem podłączyć robota do prądu, umieścić go na szybie, nacisnąć jeden mały przycisk i, popijając mrożone latte, patrzeć, jak maszyna ciężko pracuje. Cena: 1999 zł. ©℗

Jacek Przybylski

PLECAK DO GIER VR

ZOTAC VR GO 4.0 to już czwarta generacja plecaka gamingowego wyposażonego w komputer z ośmiordzeniowym procesorem Intel Core i7 i profesjonalną kartą graficzną NVIDIA RTX A4500, 16 GB pamięci RAM oraz dysk SSD o pojemności 512 GB. Taki zestaw według producenta pozwala zanurzyć się w świecie wirtualnej rzeczywistości (VR) lub rozszerzonej rzeczywistości (AR) bez obaw o zaplątanie się w kable. Plecak jest też wyposażony w mikrofon, gniazdo słuchawkowe, wyjście HDMI oraz dwa wyjścia DisplayPort 1.4. Aby potężny komputer mógł być prawdziwie bezprzewodowy, w ważącym 5,2 kg sprzęcie znaleźć można m.in. dwa akumulatory litowo-jonowe i układ chłodzenia z aktywnym wentylatorem. Zestaw ma pozwalać na mniej więcej godzinę intensywnej rozrywki z goglami na oczach. Oficjalna cena jeszcze nie jest znana, ale wątpliwe, aby taki plecak kosztował mniej niż 11 tys. zł.

LAPTOP NA TRUDNE CZASY

TOUGHBOOK 40 to najnowszy model laptopa firmy Panasonic z serii zaprojektowanej z myślą o policjantach, strażakach, żołnierzach, pracownikach mobilnych, korespondentach wojennych itd. Toughbook może pracować w temperaturze od minus 29 do plus 60 st. C. Jest odporny na upadki z wysokości do 180 cm, a także na kurz oraz zalanie przez strugę wody (IP 66). Praca w deszczu nie powinna być więc problemem. 14-calowy ekran dotykowy pozwala na obsługę również mokrymi dłońmi lub w rękawiczkach. Laptop jest też wyposażony w procesor Intel Core i5-1145G7 vPro (lub w droższej wersji Intel Core i7 vPro), 16 GB pamięci RAM (z możliwością rozbudowy do 64 GB) oraz dysk SSD o pojemności 512 GB (z opcją rozbudowy do 2 TB). Czas pracy baterii producent szacuje na ok. 18 godzin. Cena zależy od konfiguracji. Za najtańsze wersje nowego modelu trzeba zapłacić 21 tys. zł. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl f4e3c581c3

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Niedoszła klęska Polski i Litwy

JACEK KOMUDA

Kurzętnik, dawniej Kauernik, dzisiaj wioska, a niegdyś miasteczko położone przy Drwęcy, to dziś zaledwie przystanek w drodze na Mazury. Nie ma tam wielu zabytków, zachował się tylko średniowieczny układ rynku, kościół św. Barbary i wzgórze z ruinami zamku. Miejsce ma jednak ciekawą historię. Od 1291 r. stanowiło własność kapituły chełmińskiej, a do 1361 r. wybudowano na wzgórzu zamek wzniesiony częściowo z kamienia polnego, wyższe kondygnacje zaś z cegły. Nie należał do Krzyżaków, jednak wpisywał się w średniowieczną architekturę Prus. Składał się z domu mieszkalnego, przypominającego fortecę zakonu, dwóch wież i położonej na krańcu wzgórza baszty wjazdowej. Zamek i położone u stóp pagórka miasteczko odgrywały ogromną rolę w planach wojny zakonu krzyżackiego z Polską i Litwą w 1410 r. Tutaj bowiem już na początku lipca wielki mistrz krzyżacki Ulryk von Jungingen przygotował zasadzkę. Pod Kurzętnikiem miała odbyć się najważniejsza bitwa tej wojny, która z powodu przewagi terenu miała skończyć się klęską sprzymierzonych wojsk.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. QBA

Do 9 lipca pod Kurzętnikiem, dokładnie w Kurzętniku Nowym, za rzeką, zgromadzono całą armię krzyżacką oraz przywiezione z Malborka zapasy. Wielki mistrz, spodziewając się marszu wojsk Jagiełły i Witolda na Malbork, umocnił brzegi Drwęcy, która w tamtym czasie miała inny przebieg, płynęła bliżej dzisiejszych ruin zamku, jednak nie opuszczając dzisiejszej doliny. Krzyżacy ufortyfikowali cały północno-zachodni brzeg – nie tylko w okolicach Kurzętnika, lecz także być może aż do Nowego Miasta Lubawskiego. Umocnienia – zapewne palisady, ostrokoły i jakieś samodzielne ostróżki – ciągnęły się nad rzeką, przede wszystkim zabezpieczając brody – wzdłuż dzisiejszych ulic: Nad Drwęcą oraz Mikołaja Kopernika. Częściowo zbudowano je także na drugim brzegu rzeki – w rejonie miasteczka Kurzętnik.

Plan Krzyżaków był prosty – zamierzali zmusić armię polsko-litewską do forsowania brodów pod ogniem dział oraz kuszników i łuczników, których kilka tysięcy obsadzało umocnienia. Na wykrwawioną jazdę rycerską uderzyć miała konnica zakonu, zmieść i utopić jej resztki w rzece. „Plan wielkiego mistrza nie był nierealny. Wystarczyło, by na czele wojsk przeciwnika stał wódz o gwałtowniejszym usposobieniu i mniejszym doświadczeniu bojowym, a wypadki mogły się potoczyć w myśl życzeń krzyżackich" – pisał o tym Stefan M. Kuczyński w „Wielkiej wojnie z Zakonem Krzyżackim". Dlatego 11 lipca 1410 r. miał stać się dniem największej klęski polsko-litewskiej pod Kurzętnikiem, swoistym połączeniem Crécy, Azincourt i Nikopolis.

Sprzymierzone wojska nadchodziły nie dzisiejszą drogą nr 15, od strony Brodnicy, ale od Lidzbarka, mniej więcej przez Gwiździny i Mroczno. Chociaż Krzyżacy przygotowali się do bitwy, to ich czeladź pojąca konie w rzece została zaskoczona 10 lipca przez podjazd Jagiełły, który zgarnął ok. 50 bojowych rumaków, a następnie wrócił do króla. Jednocześnie władca wyprawił do obozu wroga posła Piotra Korzboga, którego prawdziwą misją było rozpoznanie umocnień pod Kurzętnikiem. Wrócił, przynosząc wieści, że pozycja krzyżacka jest bardzo silna, w dodatku wynegocjował 24-godzinną przerwę w walkach. Obozująca w okolicach jeziora Rubkowa i dzisiejszego Kaczego Bagna armia polsko-litewska miała przeciwko sobie przede wszystkim ufortyfikowany i obsadzony przez artylerię Kurzętnik na lewym skrzydle, miasteczko u jego stóp i dalej bród lub kilka brodów przez Drwęcę, a na północy Nowe Miasto Lubawskie otoczone solidnymi murami. Jak wyglądały, można przekonać się, oglądając zachowaną do dziś Bramę Brodnicką.

W tych warunkach atak byłby szaleństwem, ale, jak pisze Andrzej Nadolski, silna pozycja Krzyżaków jednocześnie byłaby zawadą w przypadku, gdyby wielki Mistrz chciał zaatakować przeciwnika na wschodnim brzegu Drwęcy. Nieliczne przeprawy, które zmuszałyby armię polsko-litewską do rozdzielenia sił i atakowania przepraw wąskimi kolumnami, tak samo zmusiłyby Krzyżaków do podzielenia wojsk, gdyby chcieli uderzyć na nieprzyjaciela po drugiej stronie rzeki.

Jagiełło zwołał więc radę, na której postanowiono po prostu odskoczyć od wroga i znaleźć inną drogę do serca Prus. Armia polsko-litewska wróciła z powrotem do Lidzbarka i 12 lipca obozowała już pod Działdowem. Krzyżacy pościgu nie podjęli, natomiast postanowili zagrodzić drogę przeciwnikom po raz drugi – przechodząc Drwęcę pod Bratianem. Ostatecznie przygotowali się do walki pod Stębarkiem i Grunwaldem. Jaki był finał tych zmagań – wszyscy wiemy. ©℗

eprasa.pl f4e3c581c3

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Siga-siga

A gdyby tak po prostu pokochać życie takie, jakie ono jest. Troszkę chropawe, troszkę niedoskonałe. Owszem, męczące, ale przecież nasze własne. Gonimy za ideałem, ciągle chcemy więcej, wymyślamy kolejne cele do realizacji. I gdy wreszcie w napiętym grafiku naszych zajęć zaplanujemy wakacje i gdy na te wakacje wyjedziemy, to... też odpoczywamy w pośpiechu. Żeby zdążyć, żeby zobaczyć, żeby spróbować, pędzimy przez nowe, piękne krajobrazy, niosąc w sobie dotychczasowy niepokój.

No, chyba że wyjedziemy do Grecji. Tam okazuje się, że ludzie żyją inaczej i ten grecki styl życia niepostrzeżenie nas przenika i dopiero wtedy zaczynamy odpoczywać. Bo tak, jak Duńczycy mają swoją hygge, tak Grecy obmyślili swoją siga-siga, czyli filozofię „powoli, powoli". Spokojnie, bez napięcia. W książce Sabiny Francuz pt. „Siga siga. Smak Grecji na twoim talerzu" autorka, która dłuższy czas mieszkała w Atenach, opisuje, jak wygląda ta filozofia życia w praktyce. Zresztą czy potrzeba wielkiej filozofii, aby cieszyć się dobrym towarzystwem podczas posiłku, żeby nie śpieszyć się przy jedzeniu, żeby smakować to, co jemy, i żeby delektować się kombinacją prostych smaków? Rodzina i przyjaciele to zaś najlepsza przyprawa naszego jedzenia. Ale aby to docenić, trzeba to zauważyć. Tego właśnie uczy Grecja.

Na czym polega smak greckich potraw? Na doskonałym smaku samych składników. Wygrzane słońcem, wychuchane ciepłym wiatrem pomidory, oliwki, papryka, cukinie, bakłażany owoce są pełne smaku i soczystości. Tak więc nawet kawałek sera z pomidorem polany oliwą jest wyśmienity. Jeśli planują państwo urlop w Grecji, to może już teraz rozpoczną państwo do niego przygotowania?

Oprócz – co oczywiste – znalezienia noclegu, najlepiej na którejś z wysp lub wysepek, i zabukowania lotu należy zrobić małe kulinarne wprawki i szykować greckie smakołyki.

Sałatka grecka to najprostszy wybór. Lubimy także tzatziki, czyli jogurt z tartymi ogórkami i czosnkiem. To dobry dodatek do młodych gotowanych ziemniaków i warzyw z grilla.

Proszę spróbować także pasty z buraków – przepis na nią jest we wspomnianej książce – 300 g ugotowanych buraków, 1 łyżka octu z czerwonych winogron, 1 łyżka jogurtu greckiego, 1 łyżka tahini. Buraki pokroić na drobne kawałki, dodać pozostałe składniki i zblendować, pastą smarujemy kromkę chleba, kładziemy na nią np. plastry koziego sera i zjadamy powoli i ze smakiem.

Sałatka grecka:

• 2–4 pomidory • 150 g świeżej fety • 2 ogórki • 1 cebula czerwona • 1 papryka zielona • 100 g oliwek ciemnych, np. Kalamata • 5 łyżek oliwy z oliwek • kilka listków mięty • 1 łyżeczka oregano, pieprz, odrobina soli

Warzywa myjemy, pomidory, paprykę suszymy, kroimy na ćwiartki, ogórki kroimy na plastry, cebulę w piórka, przekładamy do miski, dodajemy wszystkie oliwki, cebulę, ser feta pokrojony na kawałki. Posypujemy przyprawami, polewamy oliwą. Na końcu dodajemy świeżą miętę. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Królewski legion sprzątaczy

FOT. ADOBE STOCK

Mało kto lubi sprzątać, ale mało kto lubi brud i bałagan. Wybrańcy losu mają tego lub takich, którzy brudną robotę robią za nich. Większość musi od czasu do czasu złapać za ścierkę i odkurzacz. Sprawy stają się trudniejsze, kiedy do posprzątania jest 775 pokoi, 78 łazienek, do umycia 760 okien. Pałac Buckingham ma powierzchnię 77 tys. mkw., jest 15 razy większy od Białego Domu. Pokoje oficjalne, pokoje prywatne, biura, pokoje dla personelu, korytarze, schody...

Kto tam właściwie mieszka? Królowa, to wiadomo, William i Kate z dziećmi. Państwo Sussexowie wybrali jednak Kalifornię, a i tak przed wyjazdem mieszkali w Frogmore Cottage. Książę Karol z żoną Camillą mieszkają w Clarence House, książę Philip przed śmiercią także wolał zielone pastwiska Sandrigham w Norfolk.

Zresztą Jej Wysokość w pałacu Buckingham też nie przebywa cały czas. Jest tu od poniedziałku do czwartku (obowiązki służbowe), weekendy spędza w Windsorze, a w czasie pandemii była tam cały czas. Jakby stałych mieszkańców było za mało, pałac przyjmuje corocznie 50 tys. gości.

Jest co robić. Zajmuje się tym wszystkim 800-osobowa grupa sprzątaczy. Jak twierdzą angielskie gazety, słabo opłacanych. Roczna pensja – 17 tys. funtów, za to mieszkanie i wyżywienie, 33 dni urlopu. Mimo tego nie sądzę, żeby królewska ochmistrzyni, Master of the Household, osoba zarządzająca personelem, skarżyła się na brak kandydatów do pracy.

Odkurzacza nie używa się ze względu na hałas (czyszczenie tylko na mokro), okna myje się co sześć tygodni. W prywatnych apartamentach królewskich teleskopową szczotką, żeby królowej nie deranżować. Ważną funkcję pełnią zegarmistrz, duch opiekuńczy 350 zegarów, oraz konserwator, który wie, że obrazu Reynoldsa nie szoruje się drucianą szczotką. Są jeszcze wazony, meble, świeczniki... Oprócz pałacu jest ogród. Ci, którzy skarżą się, że nie mogą ogarnąć tysiącmetrowej działki, niech pomyślą, że tu trzeba panować nad obszarem 17-hektarowym.

Państwo w państwie, mówią lewacy: „Za to wszystko płacimy my, podatnicy". Mimo tego Wielka Brytania, choć nie jest już imperium władającym światem, wciąż trzyma się nieźle i stać ją na luksus posiadania króla. Szanuje się tradycję, a obywatele to rozumieją. Wystarczyło spojrzeć na tłumy wiwatujące królowej na jej ostatnim jubileuszu. ©℗

eprasa.pl f4e3c581c3

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Dwie medycyny

Ostatnio przydarzyła się w mediach, dowcipnie zwanych społecznościowymi, ciekawa dyskusja. Otóż nie wiem, czy pamiętają państwo, ale w czasach covidowych główną ofiarą restrykcji padło parę branż, a taką, która praktycznie odbyła wyrok bez przepustki, od dechy do dechy, były siłownie.

Teraz, po jakimś czasie, możemy zaglądać za naukowe kulisy takich decyzji. To znaczy możemy zaglądać, ale niczego się nie dowiemy dopóty, dopóki ktoś z grona się sam nie wysypie. Otóż pan profesor Pyrć, jeden z ultrasów sanitaryzmu, ostatnio wykazał, że decyzja w sprawie zamknięcia siłowni oparta była na badaniach zwiększonej emisji aerozoli podczas wysiłku. A gdzie się męczą? Wiadomo, w siłowni. Dlatego zamykamy. I teraz ciekawe – do cytowanych badań zabrał się dr Basiukiewicz i okazało się, że te dowody to badanie zrobione na… 16 osobach. Ja jestem w stanie wykazać sto biznesów, niezamkniętych, gdzie się ludzie równo męczą, a zamknięte nie były. Chociażby fenomen zerowej transmisji wirusa w sieciach spożywczych, gdzie lud pracujący i kupujący mocno tacha różności gabarytowo-ciężarowe.

Mało tego – Basiukiewicz przytacza randomizowane badania norweskie, przeprowadzone na 3647 osobach, z których wynika jasno, że w siłowniach nie było żadnych szczególnie korzystnych dla transmisji warunków.

Przypominam, że od czasów covidowych toczy się podziemny (niedługo sądowy) spór o to, kto używa argumentów opartych na nauce medycznej – mainstreamowa większość czy lekarze wyklęci, wrzucani do wora płaskoziemców czy antyszczepionkowców. Oczywiście ci pierwsi pławią się wręcz w dowodach naukowych, co, jak widać na przykładzie, bardziej polega nie na badaniach, ale na krzykach w wykonaniu samomianowanych autorytetów. Jest takie pojęcie w socjologii jak społeczny dowód słuszności, polegający na tym, że za prawdę obiektywną uznaje się coś, co sądzi większość, choćby ta się myliła. Dziś widzimy coś podobnego w przypadku nauk medycznych, a jest to sprzeczne z podstawą nauki.

Gdyby tak było, to Kopernik (który, jak wiadomo, dziś – nauka! – mógłby być kobietą, gdyby chciał) nie zaistniałby. Dziś mamy tylko taką różnicę, że to pan profesor Pyrć jest publicznym oskarżycielem pana Basiukiewicza przed sądem lekarskim. Tak, pan dr Basiukiewicz (w procesie 116 lekarzy) będzie odpowiadał za zbrodnie leczenia w trakcie COVID oraz za swoje nienaukowe tezy, przeczące ugruntowanej wiedzy medycznej. Na ławie oskarżonych stanie 3657 Norwegów, po stronie oskarżycielskiej zaś – 16 stękających na siłowni zakażaczy świata. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Kiedy Zuzia chce być Kubą

Osiemnastolatka, maturzystka jednej ze szkół artystycznych Trójmiasta, wyprowadzając się z domu, zakomunikowała rodzicom, że jest w trakcie procedury zmiany płci i jeżeli chcą się do niej zwracać, to powinni używać imienia Jakub, a nie Zuzanna.

Zrozpaczona matka, próbując zrozumieć, co się stało, wyrzuca sobie, że nie reagowała, gdy Zuzia, podczas lockdownu zamykała się w pokoju ze smartfonem i laptopem, a w trakcie zdalnych lekcji stale była podłączona do mediów społecznościowych. Z chwilą uzyskania dowodu osobistego dziewczyna rozpoczęła wizyty w klinice, gdzie na pierwszym spotkaniu właścicielka przychodni, psycholog i jej mąż endokrynolog zdecydowali, że nie ma przeciwskazań do tranzycji. Na następnym spotkaniu była już prawniczka (zaprzyjaźniona z właścicielami kliniki) i akcja ruszyła z impetem.

Z opowieści matki wyłania się obraz biznesowo-towarzyskiej kliki, która gwałcąc obowiązujące procedury, na skróty dąży do przeprowadzenia tranzycji u 18-letniej klientki. Przyznam, że nie wiedziałem, że zmiany, które zaledwie sześć lat temu nabrały tempa na Zachodzie, dziś stają się częstym problemem polskich rodzin. Rozmowa z matką ujawniła, że w środowisku córki jest więcej takich przypadków oraz że rodzice są pozostawieni sami sobie. Pomoc oferowana przez psychologów to terapia afirmująca zmianę płci, nazwana „dostosowaniem płci błędnie przypisanej przy urodzeniu". Fakt, że pacjentami/klientami klinik są nastoletnie dzieci i że takie zaburzenie można „skorygować", a natury nie, większość psychologów odrzuca jako herezję. Rodzice sami przedzierają się przez Internet i ogromną pomocą jest dla nich książka Ryana T. Andersona „Kiedy Harry stał się Sally". Pozycję, jako niepoprawną politycznie, wycofano z dystrybucji na Zachodzie (w Polsce jest dostępna dzięki WEI – gorąco polecam!)

Wiedza dotycząca problemu transpłciowości, po stronie konserwatywnej, jest na poziomie memów z toaletami dla niebinarnych lub muskularnego pływaka, który to ze środy na czwartek odkrył, że jest kobietą. Stąd brak odpowiednich regulacji prawnych, co pozwala psychologom/hochsztaplerom i lekarzom/rzeźnikom unieszczęśliwiać młodych ludzi, bo rządzący nie dostrzegają problemu.

I na koniec – z badań amerykańskich wynika, że ogromny zalew zgłoszeń o zmianę płci, szczególnie u młodych dziewczyn, jest skorelowany z intensywną obecnością tematu w popkulturze, czyli jest funkcją propagandy.

Ku przestrodze dodam, że zabiegi „tranzycyjne" nie zmniejszyły wyjątkowo wysokiego odsetka prób samobójczych wśród osób identyfikujących się jako transpłciowe. Osoby po zmianie płci są 19 razy bardziej obarczone ryzykiem śmierci samobójczej niż reszta populacji. ©℗

eprasa.pl f4e3c581c3

ĆWIERKOT

Koń refleksji

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Jak sobie przypomnę – zawsze się uśmiechnę, oprócz uśmiechu jest w tym ukryta mądrość. Wiem, że państwo znają ten dowcip, to go opowiem, razem się uśmiechniemy. Koń ciągnie pod górę ciężki wóz z węglem. Powoli, z trudem, ledwo, ledwo, ale daje radę. Dojechali na miejsce i woźnica się drze: – Węgieeel przywiooozłem! Koń odwraca łeb i mówi z politowaniem: – Ty przywiozłeś... Koń refleksji.

„Po rozmowie z prezesem PiS, wicepremierem Jarosławem Kaczyńskim oraz prezesem Partii Republikańskiej Adamem Bielanem, kierując się dobrem Zjednoczonej Prawicy, podjąłem decyzję o rezygnacji z funkcji ministra w kancelarii premiera" – napisał na Twitterze minister Michał Cieślak. Co na to koń refleksji? Koń na to: – Ty podjąłeś...

Fakty: minister z Partii Republikańskiej zderzył się werbalnie z naczelniczką Poczty Polskiej w Pacanowie. Ludziom z powodu drożyzny zaczynają puszczać nerwy, niestety. Będzie gorzej, niestety. Poskarżył się znajomkom na poczcie, że został niewłaściwie potraktowany i za dużo usłyszał nieprzyjemnych rzeczy, po czym naczelniczka nagle przestała pracować. Ona twierdzi, że ją zwolniono dyscyplinarnie, a Poczta, że sobie poszła na urlop zaplanowany już sto lat temu. Sprawa stała się głośna dzięki mediom, że arogancja władzy i pogarda dla ludu pracującego. I słusznie. Głos zabrał Rzym, czy tam Nowogrodzka. Kaczyński powiedział publicznie: „Oczekuję od ministra Cieślaka, że się poda do dymisji. Jak się nie poda, będzie odwołany". Wtedy właśnie minister Cieślak podjął starannie przemyślaną, samodzielną decyzję o rezygnacji, a woźnica przywiózł węgiel. Poczta wydała drugie oświadczenie, że naczelniczka jest już okejas oraz kul (zna się te określanie, nie?) i w ogóle sprawa była, ale się zmyła. Morał jest taki, że ważny jest szacunek dla koni i ludzi.

Chwilowo posłanka Lewicy Katarzyna Kotula nie podjęła jeszcze decyzji o rezygnacji czy przeprosinach, ale poczekajmy. Mniej znana polityczka (jak mi zgrzytają te formy, ale lewica się upiera, to robię jej dobrze) w czasie debaty o ustawie o resocjalizacji i wspieraniu nieletnich błysnęła, że aż zaniemówiło, audytorium zaniemówiło. Weszła na mównicę sejmową i powiedziała do posła Tadeusza Cymańskiego, ojca pięciorga dzieci: „To nie sztuka iść w ilość, ale sztuka iść w jakość". Jak na wrażliwość lewicową – to raczej słabo. Jak na nauczycielkę – jeszcze słabiej. Poczekajmy na wypowiedź Rzymu, czy tam Włodzimierza Czarzastego... ©℗

Minister zderzył się werbalnie z naczelniczką poczty w Pacanowie

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Mętniactwo nad Sekwaną

MAŁGORZATA WOŁCZYK

Małgośka – mówią mi – wy, Polacy, jesteście zawsze źródłem kłopotów Europy. Mój francuski rozmówca nawet nie był świadomy, że powtarza słowa Roosevelta. Francuzi nie życzą sobie, aby Polska napędzała „antyrosyjską histerię" i rozliczała ich moralnie. Szczerze powiem – hoduję w sercu urazę do Macrona (i jego ludu), tym bardziej że wojna uwydatniła szpetne rysy francuskich elit. To, co lata temu wywoływało moje zdziwienie nad Sekwaną i Rodanem, czyli słuchanie pytań w rodzaju: „Czy wy tam, w Polsce, znacie pomidory?", „Marguerite, dlaczego pijesz colę – napój imperialistów jankeskich?", niedawno ułożyło się w całość.

Francuzi wierzą w swoją wyjątkową oraz mocarstwową rolę i nie znoszą sprzeciwu. Ostatni raz, gdy spędzałam wakacje w Langwedocji, uparłam się, aby zorganizować sobie dłuższą chwilę w katedrze w Narbonie; mąż miał w tym czasie zatankować i znaleźć parking (co czasem zajmuje pół dnia). Wysiadłam z młodszym synem i weszłam do przybytku przekonana, że czekają mnie te same przeżycia co w innych Notre Dame, choć wzięłam poprawkę, że to dawna kraina katarów. Słowo „struchlałam" najlepiej oddawało mój stan ducha. Ołtarza wypełnionego demonicznymi figurami jeszcze w życiu nie widziałam, choć zjeździłam katedry od Włoch do Portugalii. Owszem, kościół objęty był pracami konserwatorskimi, ale miał niewiele wspólnego z ikonografią katolicką. Tam nawet nie można było znaleźć normalnego krucyfiksu, który skłaniałby do zgięcia kolan. Pamiętam tylko moje rosnące przerażenie na widok czaszek i demonicznych wizerunków. W końcu złapałam syna na ręce i wyskoczyłam jak z pożaru, nie dowierzając, że w tak potwornej scenografii sprawowane są nabożeństwa. Nawet w Internecie można poczytać o tej „katedrze szatana", która podobno służyła fundatorom – templariuszom – do odprawiania czarnych mszy. Zostałam na zawsze z poczuciem, że ktoś ze mnie drwi, nazywając toto kościołem.

Ale nie muszę tam wyjeżdżać, żeby mieć wrażenie, że Francuzi lubią robić mi wodę z mózgu. Ot, nawet dziś otwieram moją subskrypcję, a redakcja „Le Monde" wita mnie nagłówkiem: „Jak można być wciąż heteroseksualnym?". Dobrze, że na razie tylko pytają, a nie grożą sankcjami lub szczepieniem. Coraz częściej więc marzy mi się sytuacja, w której europejscy liderzy zakrzykną do Macrona to samo, co poirytowany król Juan Carlos wykrzyknął do Cháveza w 2007 r.: „Dlaczego się nie zamkniesz?!". Można by powiedzieć, że la vie est belle, ale tylko, gdy Francuzi „korzystają z okazji, aby siedzieć cicho". ©℗

eprasa.pl f4e3c581c3

ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Nowa chronologia

Nie było starożytności ani Egiptu faraonów, ani Grecji czy Rzymu. Taką teorię przedstawił w wydawanej za zgodą Feliksa Dzierżyńskiego od 1924 r. wielotomowej serii „Chrystus" Nikołaj Aleksandrowicz Morozow (1854–1946). Wszystko, co wmawia się nam na temat dziejów powszechnych do średniowiecza włącznie, jest wymysłem zachodnich katolickich falsyfikatorów.

Tę teorię szanowanego przez Stalina (i wyróżnionego nagrodą jego imienia), zasłużonego uczestnika ruchu antycarskiego w XIX w. rozwinął w czasach nam bliższych Anatolij Fomienko (ur. 1945 r.), członek zwyczajny Rosyjskiej Akademii Nauk, „zasłużony profesor Uniwersytetu Moskiewskiego". Urodzony w Stalino (obecnie Donieck), wychowany w Magadanie i Ługańsku genialny matematyk, związany całe dorosłe życie właśnie z Uniwersytetem Moskiewskim, Fomienko głosi „nową chronologię". Jej tezy wykładają setki już książek wykupywanych w księgarniach całej Rosji, w łącznym nakładzie przekraczającym już dekadę temu milion egzemplarzy.

Jakie to tezy? Całą historię przed X w. (przypomnijmy: czasy chrztu Mieszka) uznaje Fomienko za fikcję stworzoną wskutek globalnej falsyfikacji dokumentów historycznych. Jej celem było ukrycie znaczenia pierwszej rzeczywistej potęgi w dziejach świata: eurazjatyckiego imperium ruskich chanów. Owa wielka ruska orda obejmuje łącznie historię przypisywaną Scytom, Hunom, Gotom aż do dzisiejszych Rosjan, Ukraińców i Białorusinów, a dominowała nad światem (nie tylko nad Eurazją, lecz także nad Ameryką) przynajmniej do XVI w. – liczonego wedle starej chronologii. „Tradycyjna chronologia", czyli ta, do której jesteśmy błędnie przyzwyczajeni, została stworzona przez francuskiego falsyfikatora, Josepha Scaligera, w końcu tegoż XVI w., a dopełniona przez zakon jezuitów w następnym stuleciu.

Jak wygląda „prawdziwa historia" wedle nowej chronologii? Chrześcijaństwo jest w niej pierwotną religią, stworzoną w XII–XIII w., a dopiero mniej więcej dwa stulecia później oderwały się od niego inne formy religii: judaizm, islam, buddyzm. Prototypami historycznego Chrystusa były figury znane z „tradycyjnej chronologii" jako cesarz bizantyjski Andronikos Komnenos (1152–1185), papież Grzegorz VII (ok. 1020–1085) oraz cesarz chiński Li Yuanhao (1032–1048). Historyczny Chrystus urodził się na Krymie 25 grudnia 1152 r., a 20 marca 1185 r. został ukrzyżowany w Konstantynopolu. Tenże Konstantynopol to jednocześnie także Troja i Jerozolima, a zdobiąca go Hagia Sophia to świątynia Salomona (w rzeczywistości był nim sułtan Sulejman Wspaniały). Pierwszym Rzymem było średniowieczne królestwo Egiptu ze stolicą w Aleksandrii, drugim – Konstantynopol, trzecim – oczywiście Moskwa, stolica największego imperium ludzkości. Rzym w Italii, także ubiegający się o tytuł „trzeciego Rzymu", faktycznie został założony ok. 1380 r. (czyli w czasach naszej królowej Jadwigi, której rzecz jasna nie było wedle nowej chronologii).

Fomienko ma na wszystko „naukowe" dowody, m.in. z astronomii, matematyki oraz logiki. I licznych zwolenników. Wśród nich znaleźli się m.in. Aleksandr Zinowiew, logik i pisarz (autor pojęcia „homo sovieticus"), Eduard Limonow – inna pisarska znakomitość; przejściowo również zafascynował się nową chronologią Garri Kasparow, mistrz szachów, a „błogosławił" jej początkom akademicki mistrz Fomienki, Andriej Kołmogorow, jeden z największych matematyków XX w. Od 2019 r. historię według „nowej chronologii" można podziwiać w specjalnie poświęconym jej muzeum, w Jarosławiu nad Wołgą. Baczni obserwatorzy życia politycznego zwrócili uwagę, że prezydent Putin, odwiedzając siedzibę Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego w 2015 r., szczególnie długo stał przed mapą „Wielkiej Tatarii", przedstawiającą w istocie zarys imperium wyobrażonego przez Fomienkę, a ukrywanego przez „zachodnich falsyfikatorów". Były minister i doradca prezydenta Putina Siergiej Głazjew (przy okazji także członek rzeczywisty Rosyjskiej Akademii Nauk, tylko w dziedzinie ekonomii) uznał w końcu 2020 r. „nową chronologię" Fomienki za „solidną podstawę nowoczesnej ideologii, która skonsoliduje społeczeństwo rosyjskie".

Czy skonsoliduje? Większość rosyjskich historyków na razie odrzuca tę teorię, co nie przeszkadza w jej popularyzacji. Czy warto się nią zajmować? Czy tłumaczy fenomen masowego poparcia dla wysiłków Putina w dziele odbudowy „Wielkiej Tatarii"?

Być może. Przywołuję jednak fenomen „nowej chronologii" z innego powodu. Chcę powtórzyć nam, którzy spoglądamy z grozą i rozbawieniem na te brednie, słowa innego geniusza ze wschodniej Ukrainy: „Z czego się śmiejecie? Z siebie samych się śmiejecie…". Słowa Gogola warto sobie przypomnieć, gdy codziennie „łykamy" megabajty kłamstw, bredni, manipulacji, których dostarczają popularne portale „informacyjne" w Polsce i na świecie. Kiedy słuchamy z powagą wyznawców tezy, że to np. Jarosław Kaczyński kazał przez telefon bratu popełnić zbiorowe samobójstwo w Smoleńsku, albo gdy wsłuchujemy się w nowe teorie godnego rywala Fomienki, prezydenta Wałęsy, np. ostatnio o „Bogu z komputera". Głupota nie ma granic. Rosjanie mają tylko trochę większy rozmach swojej fantazji kłamstwa… ©℗

eprasa.pl f4e3c581c3

NA RAUSZU

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Co to znaczy „być na rauszu”? Czy chodzi o to, że ktoś jest „lekko podpity”? E-e. Chodzi tylko o to, że ktoś jest lekko wesoły, a przy okazji było pite. Ale nie aż tyle, by dało się stwierdzić, że wesołość wzięła się z alkoholu – być może alkohol był pity, bo człowiek miał już wcześniej wesoły nastrój wywołany czymś innym. I taka była ta Pani za Barem – zawsze wesoła i stale coś popijała. Nie aż tyle, by stracić dykcję, by jej ruchy przestały być sprawne, a rachunki precyzyjne. Robiła ludziom drinki, knajpę miała popularną i sama się w niej świetnie bawiła. Była barmanem, a jednocześnie uczestnikiem balangi. Rzadkie połączenie w tej branży.

Była świetna w swojej robocie. Pracowałem za barem na Karaibach, więc widzę takie rzeczy. Potrafię ocenić i docenić. Niczego nie notowała, a wszystko pamiętała. Klientów miała tłum, a jednak się nie myliła – wiedziała, kto co zamówił, od kiedy zamawiał i która to kolejka. Rachunki robiła w głowie i trzymała w pamięci. Nie oszukiwała, choć… mogła, i to łatwo. Nie oszukiwała, bo dbała o swój bar.

Gdy któryś z klientów miał już dość, a nadal zamawiał, robiła mu drinka bez prądu. Potem na końcu gość się dziwi, że przecież wypił osiem kolejek, to czemu ona mu liczy tylko za trzy. A ona na to:

– Miałeś dość, a ja tu nie chcę burdy, bełkotania ani nie chciałam, żebyś się zrzygał, bo mi to płoszy klientów, a w dodatku muszę sprzątać. No to ci zrobiłam kilka lewych drinków, za które nie płacisz. Bawiłeś się dobrze? I wszyscy dookoła? Zostaw ładny napiwek i idź spać. A jutro wróć z kolegami.

Mogła policzyć za osiem drinków i on by nie poznał.

***

Swoją knajpę nazwała adekwatnie do samej siebie... Żółw na Rauszu. Zapytałem ją, czemu akurat żółw? Ona mi na to:

– Popatrz na moją szyję, synu. Co ci to przypomina?

– Szyję żółwia?

– Tak, właśnie. Pomarszczona, stara, spalona słońcem, osmagana morskim wiatrem i… długa, synu. Kiedyś miałam najdłuższą szyję w okolicy, a przy okazji te moje głębokie oczy. Faceci ustawiali się do mnie w ogromnych kolejkach. Dawne czasy. A dziś ten bar jest mój i podpisuję się osobiście pod wszystkim. Żółw na Rauszu to ja.

– A czemu nie żółwica?

– Brzmi idiotycznie. Jak te feministyczne popaprane „psycholożki” i inne takie. Bar to instytucja męska w formie i taki ma być. Kobiety są mile widziane, ale bar to bar. Poker, rum, gin, burbon – to są wszystko męskie słowa, a „żółwica” nie pasuje do zestawu.

– Margarita pasuje – puknąłem palcem w mojego drinka.

– Nie mądruj, synu, bo zarobisz szmatą – powiedziała to niby z uśmiechem, ale był to uśmiech w stylu żółwia; lub rekina.

– A do margarity co było lane? – postanowiłem zaryzykować. – Tequila. Ha!

– Ostrzegam po raz ostatni: nie mądruj! Tequila może i rodzaj żeński, ale popatrz sobie na nazwy na tej półce za mną. Co tam widzisz? José Cuervo, Don Julio, Jimador. Same chłopy. Ja tu damskich flaszek nie trzymam. Jak ktoś chce popijać martini, to niech se jedzie do San Francisco. Tam mu podadzą szkiełko na cienkiej nóżce i tęczową chorągiewkę. U mnie same męskie flaszki, a do tego szklanki z grubego szkła. Nie mam tu niczego na cienkiej nóżce.

Rzeczywiście. Wszystkie szklanki zrobione były z oberżniętych butelek. Kwadratowe z flaszek po Johnniem Walkerze podobały mi się najbardziej. Dostałem jedną w prezencie.

– Gdzie to się kupuje?

– Sama robię. Mam na zapleczu szlifierkę do szkła. Odcinam od butelki górę z szyjką, szlifuję rant i mam. W zasadzie nic mi się nigdy nie tłucze, nawet gdy silnie wieje od morza lub któryś klient upuści na podłogę. Porządne grube szkło. A oberżnięte szyjki robią za świeczniki na stoły albo za abażury.

Pod sufitem rzeczywiście wisiało kilka żyrandoli z żarówkami osłoniętymi za pomocą tej górnej części z szyjką od butelki.

***

Bar na dzikiej plaży nad Zatoką Meksykańską. Dookoła NIC – puste kilometry plaż. Ludzie zjeżdżają się z daleka, bo wiedzą, czego szukać. Żadnej reklamy poza pocztą pantoflową. Na ścianach dowcipne ogłoszenia w rodzaju: „Tu wszyscy już przyjęli trzecią dawkę. A ty?”.

Na podjeździe stado motocykli i towarzystwo, które bardzo lubię. Oni nigdy się nie śpieszą, prawie zawsze jadą w jakąś „siną dal”, czyli bez konkretnego celu, a jeżeli mają cel, to tym celem jest wiatr we włosach dam, słońce odbite na łysinach kawalerów oraz komary na zębach (komary stąd, że stale się uśmiechają).

***

Dzięki temu, że bar zbudowano na palach, przetrwał kilkanaście huraganów i nie padł. Wszystko dookoła zalało lub zmiotło, a ten bar stoi już lat wiele. Podłoga na wysokości ośmiu metrów nad poziomem plaży. I na tym wysokim parterze dzieje się „wszystko”: polewanie, popijanie i znów polewanie, tańce, hulanki, a danie wieczoru to aligator z grilla. Są jeszcze inne rzeczy, ale aligatora robią wybitnego, więc każdy bierze raczej to. Gdzie indziej aligator wali błotem i dlatego w Luizjanie serwują go często w czymś takim jak nasz bigos lub gulasz, czyli ginie w dodatkach, a tu normalne mięcho z grilla, które trzeba nożem i zębami.

***

Byłem wtedy w drodze do Polski. Opisuję, com widział po drodze. Najpierw jadę samochodem na jakieś lotnisko, z którego złapię samolot wprost do Europy – bez dodatkowej przesiadki wewnątrz USA. Oglądam sobie Amerykę i takie miejsca jak ten bar. Łapię ostatnie oddechy wolnego świata, bo kiedyś takie bary na odludziu znikną. Przyjdzie biurokrata i zlikwiduje. Pozakłada kasy fiskalne i akcyzy, stwierdzi, że kible muszą być inne i że pompa, która tłoczy wodę wprost z morza, to nie jest wystarczający system przeciwpożarowy. Oglądam resztki prawdziwego kapitalizmu, resztki amerykańskiego snu i indywidualnej pogoni za szczęściem. Pani Żółwica za swoim barem na rauszu żyje jeszcze w świecie, który szybko znika. Nie! Ona żyje w świecie, który pilnie likwidują, bo chcą wszystkich zaprowadzić na smyczy do obozu z napisem „Nowy Porządek Świata”. ©℗

eprasa.pl f4e3c581c3

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

CARRIE GRESS
„OPCJA MARYI. BOŻA ODPOWIEDŹ NA KRYZYS CYWILIZACJI"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~438 ZŁ~~

211,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 227 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl f4e3c581c3

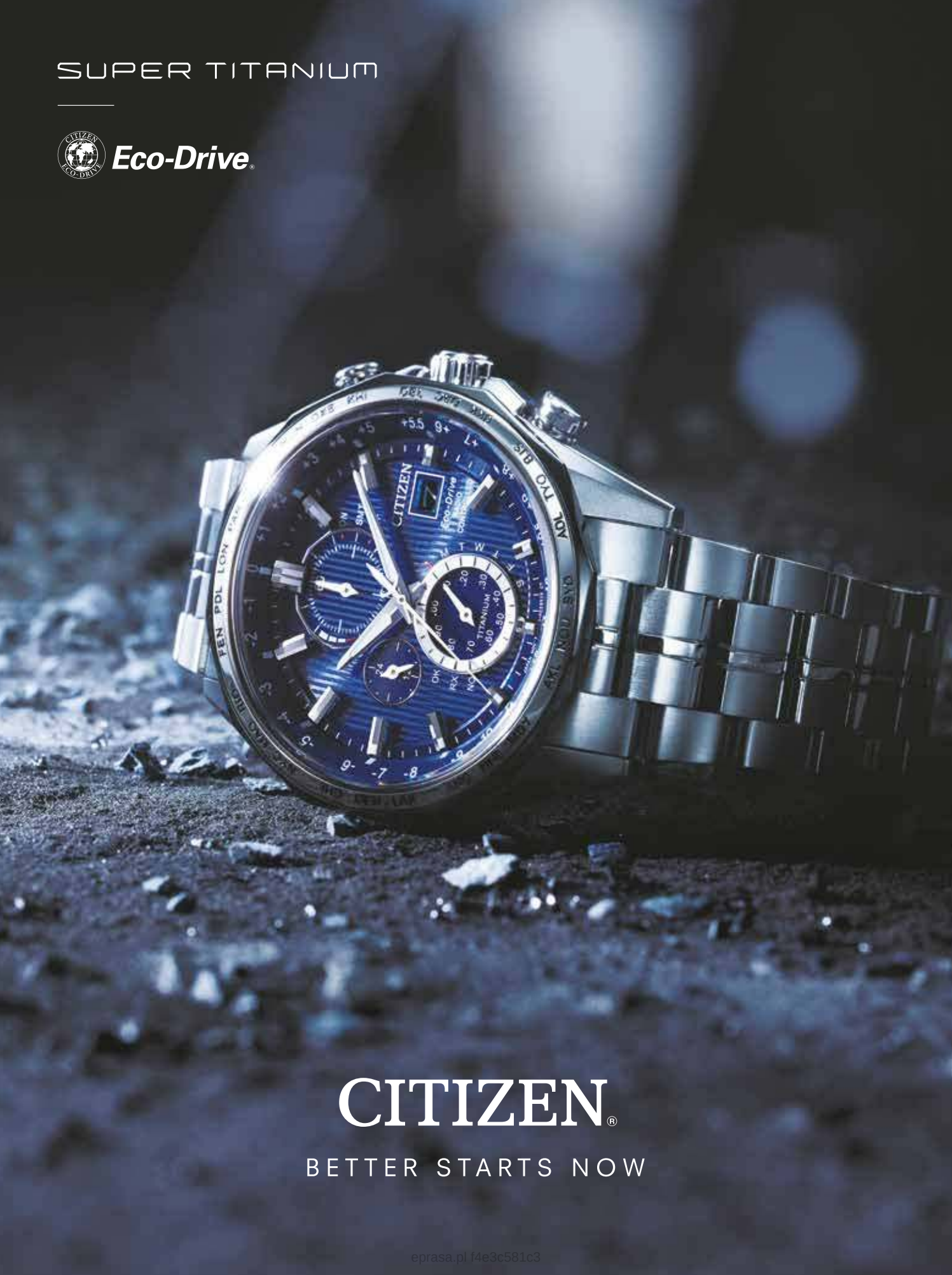

eprasa.pl f4e3c581c3